

# CENA WODY W FINISTERE



BODIL MALMSTEN  
CENA WODY W FINISTERE

PRZEŁOŻYŁ  
JAN ROST

WYDAWNICTWO LITERACKIE



Tytuł oryginału  
*Priset p& vatten i Finistere*

© by Bodil Malmsten  
© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo  
Literackie, Kraków 2007 © Copyright for the  
Polish translation by Jan Rost

Wydanie pierwsze

Tłumaczenie niniejszej książki zostało dofinansowane przez

**Si.**  
Svenska institutet

ISBN 978-83-08-04097-3

*Książkę tę dedykuję  
Karin Olwii Alm z domu Jónsson, 1891-1988  
Siv Malmsten z domu Munthe, 1894-1987*



## TAK DALEKO CAŁKIEM SAMA

Siedzę w swoim ogrodzie w Finistere i wypełniam kartki informujące o zmianie adresu. Jest popołudnie, początek września roku 2000, łagodna mgła wokół. Od Atlantyku czuć przyływ i wodorosty. Uspokajający dźwięk boi sygnalizacyjnej, jak głos sowy.

Mieszkam w Finistere, ponieważ się tu przeprowadziłam. Nie przez przypadek, w życiu doświadczona kobieta nie ma przypadków.

Ten, kto znalazł, śpi z otwartymi oczami.

Parę miesięcy, tyle to trwa. Zostawiłam kraj, gdzie przeżyłam pięćdziesiąt pięć lat, wystarczy. Oszołomiona wolnością pojechałam, znalazłam Finistere, nie szukałam, a znalazłam. Kawałek przed Brestem zaczynało już parzyć i zaraz potem stanęłam przed częścią rajy, która należy do mnie.

Tak samo jak partner, każdemu pisane jest miejsce. Trzeba tylko znaleźć to swoje wśród miliardów cudzych, trzeba być uważnym, trzeba wybierać.



Moje miejsce jest tam, gdzie kończy się ziemia Europy —*fin des terres, finis terrae* — Finistere.

Ta kraina jest moja, należymy do siebie, wśród zmiennej pogody, wśród jej skrajności. Uporczywy deszcz i słońce, co nagle rozdziera zasłonę chmur.

Wybrzeże zalicza się do niebezpiecznych, najniebezpieczniejszych w świecie. Rify i skały, prądy przyływu i odpływu. To tu ostatniej zimy dwudziestego wieku zatonął tankowiec „Erika”, zimą przed moim przyjazdem. Teraz to wybrzeże jest moje, moje są sztormy. Od pierwszego sztormu wiedziałam: tutaj umrę, ale nieprędko.

Drzewa, ścieżki, pola. Gigantyczne drzewa, przepastna pierwotna zieleń. Ścieżki biegną tunelami ku stromym brzegom zatoki.

Nie wyrzuciło mnie na brzeg, to ja tak postanowiłam; szczęście przychodzi tylko do tego, kto jest gotowy.

Od pierwszego wejrzenia wiedziałam: na całe życie.

Tu albo nigdzie — tu nie gdzie indziej.

Podpisuję się, adresuję kartki, przyklejam znaczki i naklejki „priorytet”. Wysyłam.

Nadchodzi czas szczęścia, absolutnej rozkoszy, euforii. Popadam w ten błogosławiony stan ducha, kiedy wszystko jest możliwe, wszystko można zbudować, naprawić, zaplanować. Na razie ogród to tylko paręset metrów kwadratowych wyschniętego



trawnika, a pokój gościnny — zatechły kąt w garażu. Wszystko jest do zrobienia, wszystko da się zrobić. Pokój gościnny może być na poddaszu: osobne wejście, okno w dachu, wpuszczona w podłogę wanna, cegły, marmur, szerokie deski. Ogród może stać się cieniastym rajem: basen, struga wody, bramki z róż.

Żadnej chmurki na moim niebie. Sucho, trzeba podlać.

Potem zaczyna dzwonić telefon, przychodzą maile, zapelnia się skrzynka na listy przy furtce. Moje kartki z nowym adresem dotarły na miejsce.

Zamiast ucieszyć swoich najbliższych, przyprawiłam ich o zgrozę. Przyjaciele z miasta są całkiem zbici z tropu, tak jak zbity z tropu byłaby moja mieszkająca w górach w środkowej Norrlandii babka, *momma*, Karin Olivia Alm, z domu Jónsson. Pali się, Ruscy idą. Wielka bieda, olaboga. Nie czeka nas nic dobrego.

Nie możesz się wyprowadzić tak daleko całkiem sama!

W każdym z nas straszy *momma*.

Miłość to uczucie, które w mojej dawnej ojczyźnie nierozzerwalnie wiąże się ze strachem.

Wyprowadzić się. Tak daleko. Całkiem sama.

Przez kilka dni staram się ich uspokoić, choć wiem dobrze, że spokój przychodzi od wewnątrz, nie pocztą.

. jest tu jakaś samotność, to ta, którą przy-n ze sobą — w Finistere pełno jest ludzi, Finisterian, przyjaznych i rozprzestrzenio-ik należy. Nie istnieje już żadne „tak dale-tpliwe, czy kiedykolwiek istniało. Centrum , gdzie się jest samemu, 'et jeśli zmierzamy ku epoce kamiennej, zie-ostaje kulista.

nowego pod słońcem, momma jest w nie-w Finistere.

e ludzkie to wielka bieda, się w Bretanii, Ruscy idą do Czeczenii, czeka nas nic dobrego. Nigdy nie czekało aie będzie, dopóki rządzi człowiek, a Bóg, ;o wierzyła momma, odwraca wzrok, ak jest. jestem sama, jestem 838 688 Finisteriani-

dłam się, ale teraz jestem tutaj, ojnie.

ylałam w drogę, bo nie wiedziałam, gdzie się zgubiłam się we własnym kraju, musiałam ' drogę, nie mając pojęcia dokąd. wiedziałam, że istnieje Finistere. Wiedzia-nie, że nie mogę zostać, jeśli nie chcę zgi-3 chciałam ginać.

To nic trudnego, jeśli się może, ja nie miałam wyboru.

Szesnastego kwietnia roku 2000, w niedzielę, wyjechałam. Zachmurzenie zmienne, ruch niewielki. Samochód zapakowany, mieszkanie sprzedane, meble porozdawane.

Żadnych pożegnań. Tych, których kocham, zabieram ze sobą, bez pożegnania. Rzut oka w lusterko wsteczne. Wspólnota mieszkaniowa Perstorps-plattan, już się nie spotkamy.

Wiedziałam, co zostawiam, ale nie, co mnie czeka. Pojechałam E4 na południe, zamiast na północ.

Do środkowej Norrlandii, w góry, gdzie się wychowałam, nie prowadzą międzynarodowe drogi. Tamtejsze drogi to głównie wyboje, wszystkie biegną w dół, do Sztokholmu.

Bez względu na to, ile call-centers urządzimy w Stenstavik.

Pojechałam pociągiem do Sztokholmu i zostałam. Tkwiłam tam całe życie, aż wszystko zostawiłam.

To nic trudnego, jeśli się może, ja byłam zmuszona.

— Gdyby tak było można — mówili wszyscy, na wieść, że wyjeżdżam. Tak mówili wszyscy. Ludzie, których znałam i nie, sąsiedzi w południowej Botkyrka. Urzędnicy z zamykanej poczty na



Cieszę się, że jest Autobahn. Że mam samochód i mogę jechać tak szybko, jak zdoła ten rover, zatruwać Europę, która zatruwa mnie, upajam się wolnością, oszalała ze szczęścia.

Przed tym, co stare, po tym, co stare, umykam dwieście na godzinę. Nikt nie wie, że jadę do Fi-nistere, nikt nie wie nic. Można umrzeć w każdej chwili — ot co.

Mam ochotę śpiewać hymny pochwalne do tego, co było, co nadejdzie, co jest, upojona prędkością, radosna. Mam ochotę śpiewać hymny, więc śpiewam.

Na drodze do Maastricht śpiewam Psalm 521, tak jak śpiewaliśmy każdego ranka w wiejskiej szkole:

Rześkim rankiem w górach  
Strumień u twych nóg, Płynąc  
po kamieniach, Śpiewa: dobry  
Bóg!

W lesie lśnią gałęzie, Wśród  
nich ptaków cud W jeden głos  
się łączy W śpiewie: dobry  
Bóg!

Duszo, zbudź się we mnie,  
Wtóruj im co tchu,



Wznoś swą pieśń poranną: Bóg,  
nasz dobry Bóg!

Bóg nie jest dobry, bo nie istnieje. Ja nie jestem  
dobra, bo się nie da; jestem człowiekiem i istnieję.  
Wolna i szczęśliwa, choć to niemożliwe.

Nic nie mijają, wszystko staje się od nowa, w jednej  
chwili.

Świat się niczego nie uczy, zaczyna wciąż od  
początku.

Najgorsze się zdarzyło i będzie zdarzać się nadal.  
Wielka rana krwawi, nie ma peryferii, granic. Nie da  
się przymknąć oczu, tak już jest, człowiek wie, a  
jednak musi żyć. Bezsilny, kruchy, nie jest wolny,  
lecz spętany i zagrożony. Ale z nieszczęśnika żaden  
pożytek, trzeba być szczęśliwym, być szczęśliwym to  
ludzki obowiązek i odpowiedzialność.

Świat jest pełen łez. Ktoś musi ich dostarczać, ja  
robię to ze szczęścia z prędkością dwieście na go-  
dzinę, aż kończy się autostrada.

*Me wieder, Autobahn. AufWiedersehen.*

Włączam wycieraczki.

Most w Normandii jak tęcza, staję u podnóża. Piję  
kawę na parkingu i palę. Kraina wielka jak środkowa  
Norlandia wraz z górami, tylko morze na horyzoncie  
zamiast łańcucha Oviksfjallen.

Parking jest na pagórku pełnym pierwiosnków, zbieram spory bukiet. Całe moje dzieciństwo w zapachu żółtych pierwiosnków o zielonych liściach.

Z siostrą na czerwonych rowerach jedziemy na pierwiosnkowe wzgórze. Jeszcze niedawno było minus trzydzieści pięć. Teraz śnieg stopniał, pędzimy na wyścigi. Spieszmy nam się, żeby nazbierać drogo-cennych pierwiosnków po zimie.

Trzeba to zrobić.

No bo po co całe wzgórze pokrywa się pierwiosnkami? Znikają równie prędko, jak podbiał na nasypie kolejowym, przylaszczki pod lasem, bazie na wierzbie. Trzeba zbierać wszystko po kolei. Rowery rzucamy do rowu, bo trzeba zebrać pierwiosniki, zanim przyjdzie przymrozek.

I żeby zdążyć przed konwaliami.

Zbieramy tak wielkie bukiety, że nie mieszczą się w dłoni.

Dłonie odziedziczyłam po mommie.

— Olaboga — powiedziała momma — biedne dziecko! Że też musisz mieć wielkie dłonie jak ja, jak u chłopca. Ola, olaboga.

Jedno olaboga się nie spełniło: nie urosłam wielka jak tyka, tak jak momma. W wieku jedenastu lat przestałam rosnać, żeby jej sprawić radość.

Nie sprawiłam. Suma olaboga zawsze była stała. Piegi. Rude włosy. Odziedziczyłam po niej wieczny lęk.

Pali się, trafimy do przytułku.

Ruscy idą, olaboga, nieboraku.

Zostawiam pagórek z pierwiosnkami w Normandii, tej od lądowania aliantów, czeka mnie Pi-kardia, ta z piosenki o różach, co *kwitną w pięknej Picardie*. Trzeciego dnia wieczorem docieram do Finistere, gdzie jestem już od ponad roku — bezcenny rok.

Tutaj mieszkam i to jest niesłychane, niewypowiedziane i nieopisane.

Brak słów.

A jednak obiecuję madame C. o tym napisać.

Mówię madame C, że jest tu tak pięknie, że powinno się napisać o tym książkę.

— Napisać książkę — mówię.

— To do dzieła! — mówi madame C.

Do mnie, nieboraczki.

#### PÓŁ ROKU W RAJU

Jest tak pięknie, że powinno się napisać książkę — tak się mówi.

Mając na myśli tylko tyle, że pięknie jest w Finistere.

Powinno się napisać książkę.

Tak się mówi, kiedy kwitną mimozy, a *Magnolia stellata* rozwija na gołej gałęzi białe kwiaty.



Pisarz nie powinien tak lekkomyślnie używać słów, ale ja jestem pisarzem, tylko kiedy piszę.

Jest słoneczne przedpołudnie w połowie września, mój pierwszy wrzesień w Finistere, i akurat moje urodziny. Chodzę po ogrodzie i składam sobie życzenia. Mój pierwszy ogród w życiu, mogę tu zrobić, co tylko zechcę. Nikt mi nie powie *co ty tu wyprawiasz* albo *no to ładnie, nie ma co*.

Żadnych rad, żadnych pouczeń.

Zdaję się na intuicję i pamięć. Próbuję sobie przypomnieć układ roślin w ogrodzie babki pod Sztokholmem i u mommy na północy.

U babki piwonie kwitły w trawie. Stały osobno w słońcu, ale w ciągu dnia schodził na nie cień od balsamicznych topól z alei.

Na grządkach mommy ziemia była wapienna i zimna. Pod domem od południa kwitły lilie tygrysie, irysy, orliki. Tam było słonecznie i zacisznie.

Babka miała bramkę z białych róż przy schodach od strony łąki.

Momma miała tojady od strony ziemianki.

Babka miała krzaki malin, a momma agrestu, ale odkąd najadłyśmy się z młodszą siostrą niedojrzałego, nie mam do niego serca. Dostałyśmy skrętu kiszek. Pogotowie zawiozło nas do szpitala, gdzie musiałyśmy leżeć z pipetkami w tyłkach, żeby nie umrzeć.

Żadnych krzewów owocowych.

Część ogrodu przylegająca do sąsiadów będzie aiąła, zainspirowana białym ogrodem Vity Sack-rille-West w zamku Sissinghurst. Te nazwiska!

Inna znana Angielka od ogrodów nazywa się Sertrude Jekyll. Czy po nocach zamienia się w Ger-rude Hyde i obsadza wszystko na czarno — o tym *lie* wspomina mój angielski poradnik ogrodowy.

Mam trzy poradniki — angielski, francuski i szwedzki — z żadnego nie mam pożytku. W szwedzkim pełno jest natchnionego pitolenia D kwiatkach, co *otwierają modre oczy, stają na przezroczystych nóżkach, mają podniecające wąsy, okręcają się ze wstrętem.*

Francuski jest po francusku, a angielski od rzeczy.

Według angielskiego trzeba czekać całe życie, żeby ogród zaczął wyglądać naturalnie. Pod wa--unkiem że w tym czasie człowiek nie zajmuje się liczym poza jego pielęgnacją. Jeśli chcemy mieć iziki ogród, musimy starannie zaplanować każdą jawkę. Zanim się w ogóle pomyśli, aby cokolwiek zasiać, trzeba dokładnie określić kąt padania promieni słonecznych o każdej porze dnia i wiedzieć, ak cień od drzew i domu kładzie się rano, w po-udnie i pod wieczór. Trzeba stworzyć wykres sło-leczny, według którego założymy ogród.

Nie jestem dobra w wykresach. A jak ktoś nie jest w tym dobry, to lepiej niech sobie daruje. Inaczej, zamiast małego rajy, o którym marzy, będzie miał istne piekło.

W białej części ogrodu będą białe prawoślazy, biała *Malva*, białe goździki, białe maki i ciemier-nik biały.

Białe narcyzy — *Narcissus poeticus*, narcyz poetów — białe hiacynty letnie, wielkie białe hiacynty.

Białe liliokształtne tulipany, białe lilie.

Od tyłu będę miała groszek pachnący w różnych kolorach: granatowy, czerwony, różowy, żół-topomarańczową nasturcję i modry powój *Cobaea*.

Po bokach furtki spłyną kaskady błękitnej lobelii, jak wodospad. Ogród otacza zielona siatka, puszcze na nią groszek pachnący. Parawan pachnącego groszku będzie zasłaniał ogród, dopóki nie wyrosnie żywopłot, wawrzynowy albo różany, jeszcze się zobaczy.

Wawrzynowy rośnie szybciej, ale co różany, to różany.

Od strony ulicy będą kwiaty czerwone. Szkarłatny groszek pachnący na tle lśniących zielonych liści krzaków *Pittosporum*, pospornicy. Na tle mięsistych kropłowatych liści delikatne czerwone falbanki.



Kiedy przekwitnie groszek, zastąpią go ciemnoczerwone słoneczniki. Mają ponad dwa metry i łatwo się przyjmują. *Łatwo się przyjmują, ulubione przez dzieci* — czytam na torebce z nasionami. Jeśli groszek jeszcze będzie kwitł, kiedy pojawią się słoneczniki, zaczniesz oplatać ich grube łodygi.

W moim ogrodzie wszystko będzie się wić i piąć, jak w dżungli, na pozór dziko.

Ponieważ nigdy nie miałam ogrodu, ten pierwszy rok będzie na próbę. Raczej za dużo niż za mało. Za dużo też często nie wystarcza, nigdy nie wiadomo, co naprawdę wejdzie.

W środkowej Norrlandii od Bożej woli zależy — mówiła momma — co wejdzie, a co zmarznie.

Na ogół wszystko marzło, poza trybulą i kocimi łapkami, ale to, co weszło, otaczano troskliwą opieką. Szczególnie troszczono się o storczyki.

Fakt, że na zimnych wapiennych gruntach udają się storczyki, jest na północy stałym powodem do dumy. Ceremonialnie odwiedzano te dzikie bóstwa pod ochroną, żeby je powąchać na klęczkach. Małego ciemnogłowa przy źródle u mommy, obu-wika nad jeziorkiem w lesie.

W przydrożnych rowach kwitły tysiące storczyków, jeden bardziej chroniony i rzadki od drugiego. Storczyk plamisty, skalnica liścieniolistna, gołka długoostrogowa, pszenic gajowy, tak było za moje-

go dzieciństwa. Potem zaczęto stosować DDT, a teraz znów zarząd dróg grozi, że wszystko wyrówna. Ostatnio słyszałam, że moja rodzina utworzyła ludzki łańcuch, żeby powstrzymać równiarki.

Kiedy tak sobie stoję i sprawdzam, czy mam dość próchnicy pod płotem — trochę mato — przy furtce zatrzymuje się czerwono-fioletowe renault.

Zza drzwi jak zza kurtyny wysuwa się kobieta w moim wieku; tak oto zjawiskowa madame C. robi entree. Całe światło pada na jej postać. Jeszcze nie widziałam, żeby ktoś nosił się z taką elegancją. Jakby w prezencie dla świata. Makijaż to arcydzieło — widać piękno, ale nie wysiłek. Z gracją i pewnie opuszcza cienkie sandały na żwir i na długich nogach lekko podchodzi do furtki, wołając „bonjour madame”.

Niechętnie wyciągam rękę z ziemi i ruszam do furtki. Czegóż może chcieć ta strzelista dama, że odrywa mnie od grządki?

Chciała tylko powiedzieć, że jest, istnieje. Podaje mi ładną wypielegnowaną dłoń, na której błyska cienki pierścionek z brylantem, przedstawia się: „madame C”.

Wycieram ziemię o spodnie, wyciągam rękę i mruczę swoje dziwaczne nazwisko, skąd pochodzę i że teraz tu będę mieszkać.

— Wiem — mówi madame C. z olśniewającym uśmiechem i ściska mi rękę tak mocno, jakby chciała zaprzeczyć swojej kruchej, szczupłej osobie.

Następnie mówi: „dobrego popołudnia”, wraca do samochodu, zbiera sukienkę i wsiada do czerwono-fioletowego renault, sandały na końcu. Błysłk purpurowego lakieru na paznokciach u stóp i już jej nie ma.

A ja stoję, mrugając oczami, jak podziemne zwierzątko w świetle, kret.

Samochód niknie w kierunku portu, ale wyraźny zapach groszku utrzymuje się jeszcze długo.

Od tego dnia madame C. będzie zawsze zatrzymywać się przy mojej furtce w drodze po gazetę albo skorupiaki kupowane w porcie, gdzie jest dwanaście rodzajów ostryg. A wkrótce ja będę składała takie same wizyty przy furtce madame C.

Będziemy zamieniać kilka słów. Na początku ja nie bardzo mam co zamieniać, za to madame C. ma aż zanadto.

Urzeknie mnie jej zwyczaj podawania synonimów do słów, których mi brakuje. Nigdy nie zadowolili się jednym — *le mot, la parole*.

Kiedy się nie zgadzamy, co zdarza się często, madame C. podsuwa mi słowa, za których pomocą mogę się z nią nie zgadzać — *porter la contradiction dans le debat*.

Rozmawiamy o pogodzie i o tym, jak najlepiej pozbyć się gryzoni. O Jacques'u Chiracu, o bohaterze ruchu oporu w Afganistanie, komendancie Massoudzie, dla którego obie żywimy podziw. O literaturze, o łasce życia. O śmierci, starzeniu się, o wszystkim, co rośnie.

O książce, tej przeklętej książce, wciąż nie wymyślonej — nie wymyślonej przez madame C, nie obiecanej przeze mnie.

Pierwsze, decydujące o każdym związku spotkanie się odbyło. Reguły zostały ustalone, role rozdane.

Gdybyśmy byli parą, byłoby już wiadomo, kto ścieli łóżko i myje samochód — ja.

Tylko że z madame C. nie będziemy parą, tak samo jak z monsieur Le R., moim eskawalerem różanym monsieur Le R.

Żadnych historii miłosnych.

Nie z ludźmi, to za trudne. Jestem w niższej klasie miłości, niedojrzała do czegoś więcej niż ziemia i szpadeł. Na razie.

Od piętnastego września do tego sądnego dnia w lutym dwa tysiące pierwszego, kiedy składam madame C. obietnicę napisania książki o Finis-tere, jestem absolutnie szczęśliwa, absolutnie wolna. Spokojny strumień dni, żadnych wymagań, chodzę sobie po ogrodzie i jestem uszczęśliwiona.

Pół roku w raju, tyle, ile wolno oczekiwać.

— Powodzenia — mówią sąsiedzi, kiedy widzą, jak pracuję w ogrodzie, *bon courage, madame*.

Niweluję ścieżkę, żeby wyłożyć ją kamieniami według szkicu w „Le Jardin”, na wzór jednej z tych idealnych kamiennych ścieżek w idealnym ogrodzie monsieur Le R., mojego ekskawalera różanego.

— Bon courage — mówią sąsiedzi. — Powodzenia przy niwelowaniu, madame.

Tak się mówi w Finistere. Jeśli właśnie zaczyna się przedpołudnie, mówi się: *dobrego początku przedpołudnia*, a jeśli się kończy, *dobrego końca przedpołudnia*.

Każda pora dnia, każde zajęcie ma swoje po-zdrowienie.

*Bon apres-midi, bon matin*. Dobrego przedpo-ludnia, dobrego popołudnia, dobry wieczór, dobrej pracy. Dobrego sadzenia, dobrego spaceru.

Kiedy maluję szopę w ogrodzie, dzieci wołają: „dobrego malowania szopy w ogrodzie, madame”. Kiedy odkażam Ingrid Bergman, nową odmianę róży, którą zasadziłam przy furtce, sąsiad może powiedzieć: „dobrego odkażania, madame”. Jego fini-sterski akcent jest mi równie trudno zrozumieć, jak przybyszom trudno było zrozumieć dialekt z wioski, gdzie się wychowałam.



dentysta, mój uroczy dentysta, mówi, że musimy chyba przesunąć następną wizytę, bo jego żona ma rodzić, pozwalam sobie na żart. To mój pierwszy żart, życzę im „dobrego porodu”. Dentysta się śmieje, nie tylko przez grzeczność.

— Dobrego kopania — wołają sąsiedzi, widząc, jak pracuję na ścieżce. Niekiedy się zatrzymują i gratulują pracowitości.

Z wszystkich prac ogrodowych — poza podlewaniem — najbardziej lubię kopanie. Wsuwać stalowe ostrze szpadla w ziemię, odgarniać próchnicę, czuć, jak szpadel trafia na kamień. Odkopać kamień, sprawdzić, że da się go obruszyć i przenieść. Mam talent do wykopywania kamieni, odziedziczyłam go po matce, wykopywanie kamieni mam we krwi.

Wokół gospodarstwa w środkowej Norrlandii matka wzniosła mur z kamieni, które sama wykopała. Własnymi rękami zbudowała mur nie gorszy niż chiński i dopiero teraz uczę się go doceniać. Nie zbudowała go w akcie męczeństwa, tylko z miłości do kamieni. Głęboką radość kamieni odziedziczyłam po niej.

Robię kamienną ścieżkę. Na taczkach przewiozłam kamienne płyty, które chcę tu ułożyć. Duże, ciężkie płyty, pół metra na pół metra, grube na pięć centymetrów, bardzo ciężkie. Z przeceny. Market

budowlany, gdzie jestem stałą klientką i mam Carte de Fidelite, ogłosił obniżkę na płyty kamienne.

Na płytach zaoszczędziłam kilkaset franków. Ojcu nie byłoby obce poczucie satysfakcji przy takiej okazji.

Nie potrafię oprzeć się obniżkom, odziedziczyłam to po ojcu. Dłonie po babce, impulsywno-prze-śladowczą naturę po matce.

Kiedy byłam młoda, nikt nie wierzył, że związki krwi w jakimś stopniu określają człowieka. Dla mojego pokolenia liczyło się wyłącznie środowisko. Do dziś trudno mi uwierzyć w jakiegokolwiek uwarunkowanie poza społecznym. Nawet jeśli za każdym razem, gdy spotykam się z matką, mam wody jak na dłoni.

U roślin decydujące jest pierwszych piętnaście dni, u człowieka to czas o wiele dłuższy, pokolenie za pokoleniem. Człowiek to coś więcej niż ziemia, woda i trochę słońca.

O obniżkach cen nie zdążyłam porozmawiać z ojcem, nie zdążyłam z nim porozmawiać o czymkolwiek, zanim umarł — śmiercią, która pozbawia wszystkiego.

Tylko ojciec by zrozumiał, z jaką radością prznosiłam te płyty do samochodu i dlaczego kupiłam trzydzieści opakowań płytek cementowych przecenionych z trzystu na dwadzieścia pięć franków. Wszystkie przecenione talerze, wszystkie rośliny.

Ta satysfakcja, z jaką zarabia się, kupując, z jaką oszukuje się społeczeństwo konsumpcyjne, kupując rzeczy drogie za obniżoną cenę; gdzie nie ma jakości, nie ma okazji. Nie jak w archeologii, gdzie każdy śmieć jest znaleziskiem tylko dlatego, że jest stary. Ojciec był agronomem, nie archeologiem.

Powiedzieć, że przynosił do domu dziesięć bidetów, bo była obniżka na sanitariaty, nie będzie wielką przesadą. Im więcej kupujesz, tym więcej zarabiasz. Tak uważał ojciec i tak uważam ja. Kupować na wyprzedazy to inwestycja; był komunistą, ale w takie inwestycje wierzył.

Wełniane szlafroki z Harnosandu w szkocką kratę. Nie do zdarcia, długie, wcięte w pasie, z paskiem i kieszeniami.

Nigdy tak wiele osób nie dostało na gwiazdkę wełnianego szlafroka w tak szkocką kratę. Nigdy wełniany szlafrok w szkocką kratę nie drapał nikogo tak długo jak ten, który mam do dzisiaj. Wisi w małym pokoju w domu, gdzie się urodziłam. Pięćdziesiąt lat, a wygląda jak nowy. Wełniany szlafrok w szkocką kratę — to mamy z ojcem na myśli, mówiąc „prawdziwa okazja”.

Nawet jeśli teraz już tylko ja mogę cokolwiek mieć na myśli.

W Wietnamie wierzy się, że zmarli nadal żyją w innym wymiarze i dzielą z żywymi ich potrzeby,

choć nie mają ich zmartwień. W świątyniach są ołtarze, gdzie pali się dary dla zmarłych.

Bogaty Wietnamczyk może spalić dla ojca samochód. W ten sposób samochód zostanie przeniesiony do tego wymiaru, w którym obecnie przebywa ojciec.

Gdybym była Wietnamką, spaliłabym dla ojca kamienie.

Zbudowanie ścieżki z kamieni wymaga o wiele więcej wysiłku, niżby się wydawało, kiedy patrzy się na gotową.

Najpierw trzeba ułożyć płyty według swojej miary kroków. Potem trzeba przejść na próbę, przesuwać, wyrównywać.

Jeśli ktoś zacznie się zastanawiać nad długością swoich kroków przy normalnym chodzeniu, chodzenie natychmiast przestanie być naturalne. Łapię się na tym, że albo drepczę, albo na ugiętych nogach wyrzucam kolana wysoko przed siebie, jak w skeczu Monty Pythona o śmiesznych sposobach chodzenia. Kiedy tylko coś ma wypaść naturalnie, wypada na odwrót, wszystko jedno, czy na kamiennej ścieżce, czy w książce.

Trzeba wrócić do stanu, kiedy się nie usiłowało udawać, nawet jeśli wtedy nie umiało się jeszcze chodzić czy pisać.

Kiedy już mamy długość kroku, wokół płyty złożymy rowek, po czym odkładamy ją na bok. Wyko-

pujemy dołek i wypełniamy go piaskiem. Dopiero wtedy można położyć płytę na dobre. Teraz jeszcze kępy trawy między płytami i kamienna ścieżka gotowa. Na miarę własnych kroków, wspaniale równa i ustronna.

Tyle tylko, że kiedy płyty już leżą, zawsze ta z przodu albo ta z tyłu jest za wysoko albo za nisko. Nigdy nie leżą płasko, zawsze przechylają się w którąś stronę.

Nie jestem poziomnicą.

Trzeba zaczynać od nowa, podnosić płytę, kopać, dosypywać albo odsypywać piasku, kłaść płytę z powrotem i przechodzić na próbę.

— Bon courage przy układaniu płyt — wołają sąsiedzi.

Od madame C. nie słyszę „bon courage przy układaniu”, ignoruje zupełnie tę trudną do przeoczenia pracę. Nikt nie potrafi tak ignorować jak madame C. — uważa, że powinnam się poświęcić swojej profesji. Madame C. twierdzi, że powinnam się zająć tym, do czego mam talent: fabułą, a nie kładzeniem kamieni. Przyznaję jej rację.

Ścieżka nie udaje się tak doskonała i harmonijna, jak na zdjęciach w pismach o ogrodach ani jak u monsieur Le R., kawalera różanego.

Jest jaka jest, i będzie tak trwać dopóty, dopóki jestem ja.

Jednak gdyby nie sąsiedzi ze swoim „bon cou-rage madame” i „powodzenia przy układaniu następnych płyt”, nigdy nie sprosttałabym tej absurdalnej pracy, nie położyłabym tylu płyt.

#### NIC DO UKRYCIA NA TYŁACH

Nie mówiąc już o tych wszystkich postanowieniach i zamiarach, z których nic nie wyszło.

Człowiek jest tylko człowiekiem. Wyjątkowo marna wymówka, żeby nie robić tego, co się miało zrobić na pewno. To tak, jakby definicja bycia człowiekiem sprowadzała się do niedotrzymywania obietnic danych samemu sobie.

Któregoś dnia, jadąc samochodem, usłyszałam, jak jeden z dyskutantów w programie „France Cul-ture” powiedział: „Zwierzęta nie słuchają «France Culture»”.

Nie zrozumiałam, za czym czy przeciwko czemu był to argument, ale był słuszny. Zwierzęta nie uczestniczą w debatach kulturalnych.

Zwierzęta nie robią postanowień, których nie dotrzymują.

Nie mieć nic do ukrycia — zakładałam, rozpoczynając pracę w ogrodzie.

Zupełnie nic do ukrycia. Ponieważ ogród jest taki mały, zdecydowałam, że każdy centymetr kwadratowy będzie zadbany. Nigdzie niczego nie będę

odkładać na chwilę. To, co do śmieci, natychmiast spalę albo wyrzucę na kompost, tylko że po pierwszym niepowodzeniu z kompostem jeszcze nie zdołałam założyć nowego. Z pierwszego zrobił się jeden wielki pleśniak na tyłach szopy.

Na tyłach, z tyłu.

Jakim prawem tak lekką ręką ustanawiam hierarchię? Kto powiedział, że strona z drzwiami to przód, a bez drzwi to tył?

Dłuższy bok szopy przylega do nie zabudowanej działki. Leżą tam wyplewione chwasty, skórki pomarańczy, dwie uschłe mimozy, para dziurawych kaloszy, kilka pudeł, pęknięte plastikowe wiadro i drewno na zimę. Śmieci, śmieci, śmieci.

Nikomu to nie przeszkadza, bo teren po drugiej stronie ogrodzenia jest nie zabudowany, a poza tym osłonięty żywopłotem i drzewami. Fakt, że traktuję go jak miejsce na tyłach, nie przeszkadza nikomu. Nikomu poza mną.

Co za podły zwyczaj mówić, że nikomu nie przeszkadza, skoro przeszkadza mnie. To tak, jak mówić, że nikogo nie ma w domu, kiedy się jest samemu. Albo *i tak nikt nie widzi*, kiedy łóżko nie pościelone, naczynia nie umyte i człowiek sam się zapuszcza.

To unicestwianie siebie, niebezpieczne zaprzeczanie, że się jest.

Zaczynać od początku to zadanie człowieka na ziemi, zaczynać od początku to być kimś, na bycie nikim może sobie pozwolić tylko ten, kto nie żyje.

Nic do ukrycia na tyłach.

#### MAŁE DĘBY

Żołędzie z dębów u sąsiadów spadają prosto na mój podjazd do garażu.

Któregoś dnia, jakiś tydzień po tym, jak się wprowadziłam, sąsiadka pyta, czy przeszkadzają mi te żołędzie.

Nie przeszkadzają, przeciwnie.

— Tant pis — mówię i uśmiecham się do sąsiadki, która odwzajemnia uśmiech.

O tym, że „tant pis” nie znaczy „przeciwnie”, dowiaduję się dużo później, kiedy szukam w słowniku „kreta”, *taupe* ~ *f* i przypadkiem zauważam *tant pis* —, *szkoda*.

Nie szkodzi, że żołędzie spadają na mój podjazd; całe szczęście, że spadają, uwielbiam drzewa i wszystko, co się z nimi wiąże.

W ogrodzie mam dwa ogromne, stare jesiony z wielkimi koronami i palczastymi liśćmi. Wspa-



niałe korony pełne są suchych gałęzi, wokół korzeni mnóstwo jest mysich dziur, pień ma kłopoty z oddychaniem, bo obrósł mchem, a ja boję się go oskubać, żeby nie uszkodzić drzew. Boję się też je spryskać, czuję, że jesiony umierają.

W Quimperle jest specjalista od drzew, dendrolog, monsieur Godot, tylko że bardzo drogi, według madame C. Poza tym nigdy się nie pojawia, ale to tak już jest. Według madame C.

Pewnego deszczowego dnia w październiku odkrywam, że jeden z żołędzi zapuścił korzenie. Dwa małe listki sterczą z kałuży. Gdybym ich nie zauważyła, zdeptałabym je. Kiedy przyglądam się z bliska, dostrzegam, że listki tkwią na czubku cienkiej jak nitka łodyżki, która trzyma pion. Jak sztuczka ze sznurkiem, co sam się podnosi. Że z takiej miniatutki może wyrosnąć dąb, to cud natury i trzeba go zobaczyć z bliska, aby uwierzyć.

Postanawiam pomóc cudowi i tak zaczyna się hodowanie dębu. Najpierw buduję barykadę przed wiatrem od morza, mur z małych kamieni wokół łodyżki. Potem patyk z bambusa jako podpórka. W końcu przecięta plastikowa butelka w charakterze szklarni dla mikroskopijnego dębu. I osłony od burz, przed którymi mnie przestrzegano.

Kiedy po zimie zaczyna się wegetacja, co dwa tygodnie nawożę sadzonkę dębu małymi porcjami torfu.

Po jakimś czasie mierzę: mój dąb ma 12 centymetrów, 120 milimetrów. Jeśli wyprostować łodygę, 132 milimetry.

Nawożę.

W środkowej Norrlandii i w górach rosną głównie świerki. Sosny i świerki. Drżące osiki. Na podwórku mieliśmy jarzębiny, ale one nie żyją długo, szybko marnieją. Przed kuchennym oknem u mom-my rósł klon. Żadnych dębów.

Tam, gdzie dorastałam, nie ma dębów. Z wszystkich dzieci w wiosce tylko my z siostrą widziałyśmy dęby. Nasz ojciec pochodził ze Sztokholmu, wstyd i chluba jednocześnie: chociaż urodzone we wsi, byliśmy nietutejsze.

Nasz ojciec należał do klasy wyższej. Nie tylko jako sztokholmczyk w stosunku do wioskowych, także w stosunku do innych sztokholmczyków. Dorastał w majątku. Jako dziecko bawił się z braćmi pod kilkusetletnimi dębami.

My z siostrą bawiłyśmy się w wiosce szyszkami. Budowałyśmy obór}' dla krów z szyszek sosny i świerka. Chwiejne krowy z szyszek świerka i owce z szyszek sosny, o wiecznie nierównych nogach z zapalek, zagrody z szyszek, płoty z szyszek.

Ojciec i jego bracia robili żołnierzyki z żołądzi. Nieświadomie zaczęli się sposobić do buntu, do jakiego — dzieci burżuazji — byli powołani.

W latach trzydziestych ojciec i chłopcy z jego pokolenia należeli do Clarte, „międzynarodowej

organizacji socjalistycznej, grupującej głównie intelektualistów, założonej w 1919 przez Henri Bar-busse'a" — czytam w *Bonniers compact lexikon* w Finistere.

Nie używam czternastotomowej encyklopedii, którą odziedziczyłam po ojcu, bo jest przestarzała — cała ta frenologia i dzicy z osłoniętymi penisami — a poza tym została na wsi. Mały leksykon Bonniersa nazywa się „compact”, a nie jak po szwedzku, „kompakt”, ponieważ został wydany w Szwecji w 1995 roku.

Zamiast dyktaturą proletariatu, jak chciałby mój ojciec i jego koledzy z wyższej klasy, Szwecja stała się krajem zależnym od równie dziś kapitalistycznych jak wtedy Stanów Zjednoczonych. *Shit* albo *fuckin shit* to obecnie najpopularniejsze przekleństwo w mojej dawnej ojczyźnie.

Ojciec nigdy nie przeklinał. Gdy chciał powiedzieć „kurwa”, mówił „kurka” albo „kurtka”.

*Często* tak mówił.

Nikt nie wściekał się tak jak ojciec, to po nim odziedziczyłam furję, z którą nie wiem, co począć.

Pewnego razu tak się wściekł, że wymierzył mi policzek. Byliśmy z siostrą i ojcem pod namiotem na Gotlandii. Miałam zapalić kocher, ale trochę się bałam.

— Nie mogę — powiedziałam.

— Nie ma „nie mogę” — odparł i ręka poszybowała mu ze świstem, zanim zdołał ją powstrzymać.

Trzask — wylądowała na moim policzku. Mówi się „dostać w ucho”, ale w takim przypadku byłabym ogłuchła.

Był równie zaskoczony jak ja. Żeby nie wiem jak się później wściekał, więcej nie dostałam od niego w twarz. Ani ojciec, ani ja nie uwierzylibyśmy wtedy, że był to dar, z którego cieszę się do dziś.

Ilekcroć mówię albo mam ochotę powiedzieć „nie mogę”, słyszę tamten świst ręki.

Nie ma „nie mogę”, trzask.

W mojej dawnej ojczyźnie istniało przysłowie o karceniu z miłości. Ani ojciec, ani ja nie podpisałibyśmy się pod podobnym idiotyzmem. Karcieć kogoś z miłości, co za wstrętne zboczenie. A jednak z jednego policzka miałam więcej pożytku niż ze wszystkich dobrych rad ojca, jak żyć w duchu prawdziwego socjalizmu.

Iluż rzeczy nie zdążyliśmy przedyskutować, śmierć odroczyła dyskusję. Przemoc i wyzbycie się przemocy, Stalin i gułag, Chiny, wolność słowa w Wietnamie. Była Jugosławia — Milošević! Węgry, Lech Wałęsa, Solidarność.

Szwecja!

Gdyby ojciec żył dzisiaj, wściekłby się tak, że by umarł. Gdyby się ze wszystkim pogodził, byłoby jeszcze gorzej, tak że z jego punktu widzenia najlepiej, że nie żyje.

Wcale nie najlepiej. Śmierć to najgorsze, co może się zdarzyć między ludźmi. Tak bardzo bym chciała pokazać mu samosiejkę dębu, porozmawiać o Afganistanie, o Albanii, tato, wracaj.

Chciałabym ci dać książkę, która by cię zachwycała, bez względu na przekonania polityczne. Chciałabym porozmawiać o *Człowieku, który sadził drzewa* Jeana Giono.

Człowiek, który sadi drzewa, w książce nazywa się Elzeard Bouffier.

Elzeard Bouffier żyje sobie na wsi na przedgórzu alpejskim, ze swoimi owcami i psem, który ich pilnuje. Żona i jedyny syn nie żyją, jest, jak mówi, sam na świecie. Choć na świecie jest całe mnóstwo przeróżnych ludzi, mówi się tak, kiedy zabraknie najbliższych.

Przy pasaniu owiec Elzeard Bouffier zauważa, że okolica wymiera z powodu braku drzew. Ziemia jest twarda jak kamień. Nie ma wody. Pogoda trzyma w garści nieszczęśników, którzy próbują tu przetrwać. Ludzie się poddają.

Elzeard Bouffier postanawia to zmienić i zaczyna sadić drzewa. Na początek dęby. Zaczyna na przełomie wieków i kontynuuje aż do śmierci w 1947 roku. Sadi drzewa przez obie wojny światowe, niez mordowanie, dzień po dniu. Sadi od Verdun do Hiroszimy. Całe zbocza w departamencie Yaucluse pokrywa zieloną dębiną. Tryska-

ją źródła, ludzie, którzy się wyprowadzili, wracają, otwiera się szkoły.

Samotny człowiek postanawia poświęcić życie sadzeniu drzew, i czyni to. Głównie dęby.

Jesienią odnajduję kolejne samosiejki dębów, wszystkie pielęgnuję równie starannie, co pierwszą. Każdego ranka robię obchód i sprawdzam, w jakim są stanie. Jeśli marnieją, nawożę, jeśli obsiadły je mszyce, spryskuję. Kiedy jest sucho, podlewam.

Nawet jeśli nie przetrwają wszystkie, to kilka na pewno. Dęby są wytrzymałe, a w klimacie, jaki panuje w Finistere, rosą bez problemów.

Dzięki żołędziom sąsiadki za dziesięć lat będę tu miała dębową szkółkę. Za dwadzieścia lat zagajnik; za dwadzieścia pięć będzie rzucał cień i chronił przed suszą tę część ogrodu. Może pojawi się źródło. Tu, gdzie na razie jest tylko żwir, dziki będą szukały trufli.

Za dwadzieścia pięć lat będę miała osiemdziesiątkę i wiele lat przed sobą, aby cieszyć się ogrodem.

Potrzebuję tych dębów, żeby zastąpiły jesiony, kiedy tych nie da się już uratować.

Wątpliwe, czy nawet ceniący się dendrolog z Quimperle jest w stanie im pomóc. Niewykluczone, że ich czas dobiegł końca. W jedynej książce o drzewach, do jakiej mam dostęp, *Wiadomości*

o *drzewach* J. Bretaudeau, nie ma nic o tym, ile żyje jesion — *Fraxinus excelsior*.

Podkreśla się, że osobnik męski rośnie szybciej niż żeński i osiąga większą wysokość, do czterdziestu metrów. Nie wspomina się natomiast, czy również szybciej umiera i w jakim wieku.

Właśnie zamierzam wdrapać się na jesion i od-piłować suche gałęzie, kiedy przypominam sobie, że mam prawie pięćdziesiąt sześć lat.

Zamiast tego troszczę się o samosiejki dębów jak o własne dzieci.

Ogród bez drzew to żaden ogród.

Podlewam dęby, żeby nie umrzeć.

*Człowiek, który sadził drzewa* należy do kolekcji książek „Readers Digest” z lat pięćdziesiątych, w której autorzy opowiadają o najdziwniejszych ludziach, jakich dane im było spotkać.

Jean Giono otrzymał propozycję współpracy i napisał w ciągu kilku dni historię Elzearda Bouffiera. Redakcja „Readers Digest” odpowiedziała natomiast: właśnie takiej historii potrzebowali.

Tydzień później Giono dostaje list, w którym redaktorzy serii oskarżają go o oszustwo, szarlatanerię i fałszerstwo. Dowiedzieli się właśnie, że człowiek, który sadził drzewa, nie istniał w rzeczywistości. Elzeard Bouffier nie jest zwykłym śmiertelnikiem zrodzonym z kobiety, tylko tworem lite-

rackim. Wspaniałe lasy dębowe opisane w książce wyrosły w wyobraźni Jeana Giono. Jeśli w departamencie Vaucluse rosną dęby, to na pewno nie zasadził ich Elzeard Bouffier, który nie zmarł bezgłośnie w szpitalu w Banon w roku 1947.

Redaktorzy są wściekli.

Jean Giono uważa ich reakcję za pomyłoną. Jak można zwracać się do pisarza, zawodowego konfa-bulanta, aby napisał o najdziwniejszym człowieku, jakiego spotkał, a potem wściekać się, że ten jest wymyślony.

Najbardziej dziwi mnie jednak, że Jean Giono napisał tę historię w kilka dni. Tak informuje okładka. Mimochodem, nie żeby się chwalić: „Po kilku dniach dostarczył maszynopis”.

Gdybym miała napisać o najdziwniejszym człowieku, jakiego spotkałam, resztę życia zajęłoby mi samo podjęcie decyzji, czy mam pisać o madame C. Ale nie napiszę.

Chodzę po ogrodzie, nawożę małe dęby i rozmawiam z ojcem o nawozach ogrodowych i polityce.

#### **PIWONIE**

Mam piwonie. Francuskie pachnące piwonie, białe Le Cygne — łabędź. Od następnego roku Le Cygne będzie kwitł w moim ogrodzie. Będzie tu jeszcze



długo po tym, jak umrę: jego zwielokrotnione białe kwiaty o płatkach, po których biegą czerwone żyłki jak nerwy.

Babka miała piwonie w swoim pięknym ogrodzie. Jasnoróżowe podwójne piwonie, nie znam ich nazwy.

Kiedy zakwitały na trawie w ogrodzie, babka wychodziła w swojej szytej na miarę bawełnianej sukience, z koszem i sekatorem w dłoni i ciachała piwonie. Tylko jej było wolno. „Ciachnąć” to jej słowo. Potem wazony w bibliotece, jadalni i salonie napełniała rozkosznie pachnącymi różowymi piwoniami. Nigdzie nie czuły się tak dobrze, jak w błękitnobiałym chińskim wazonie babki, z porcelany cienkiej i przezroczystej jak ich płatki.

Babka nauczyła mnie, jak zbierać piwonie.

Piwonię należy ścinać, gdy tylko główka odsłoni kolorowe płatki — wtedy rozwinie się w wazonie i długo postoi.

„Główka” to słowo babki.

Nie można obcinać całej łodygi, trzeba zostawić kilka liści, aby piwonia równie obficie kwitła w następnym roku. I w następnym.

Piwonie babki były starsze od niej samej. Od dawna rosły w ogrodzie, kiedy pojawiła się tam jako panna młoda. A uczyła mnie, jak je zbierać, jeszcze o wiele później. Od tamtej pory upłynęło

dużo krwi. Dziecko zawsze rozumie, kiedy w rodzinie jest wojna, musi wybrać stronę, jest rozdarte.

Idąc z babką, owiana zapachem piwonii, trzymałam jej stronę, kiedy mówiła „główka” o paku, ja też mówiłam „główka”.

W wiejskiej kuchni drugiej babki, mommy, wachając fioletowy bez wstawiony do dzbanka na pokrytym ceratą stole, trzymałam jej stronę.

Byłam podobna do mommy, do babki ze strony ojca wcale.

„Serce rozdziera się na dwie połowy” — mówi córka Indry w *Grze snów* Strindberga. „Biedni ludzie” i „Serce rozdziera się na dwie połowy” — mówi.

Ale człowiek nie musi do końca swoich dni chodzić z sercem rozdartym na pół, dzięki ogrodowi można scalić obie połówki — o tym Strindberg nie wspomina.

W moim ogrodzie będą i bzy, i piwonie.

Spuścizna po jednej i po drugiej babce połączy się bez dysonansu.

Strindberg jest bardzo szwedzkim pisarzem, po mistrzowsku opisuje piekło, słowem nie wspominając, jak z niego wyjść. A przecież dłuższy czas mieszkał poza Szwecją, *Spowiedź szaleńca* zaś napisał po francusku — zadziwiające. *Le plaidoyer d'un fou*.

Czy bzy i piwonie w Finistere będą kwitły jednocześnie, to się okaże za kilka lat. Prawdopodobnie piwonie zakwitną później. Każą na siebie czekać jak król na premierze. Im później, tym wykwintniej.

Piwonia otrzymała imię po lekarzu bogów, Paio-nie.

Jeśli bez ma coś wspólnego z istotami wyższymi, to z duszkami, które zimą panoszyły się w lasach. Momma widziała takiego, był szary i z szyderczym uśmiechem czmychnął za „studolę”.

Piwonie Le Cygne kupuję w ogrodnictwie po drodze do Lorient. Nie tam, gdzie spotkałam mon-sieur Le R., ale niedaleko.

To bardzo droga hurtownia w porównaniu z tą, gdzie jestem stałym klientem, ceny są tu wygórowane. Przyjeżdżam tu tylko po to, żeby porównywać ceny i obliczać, ile zarabiam, nie kupując tutaj niczego innego.

To ta różnica cen utrzymuje mnie przy życiu.

A jednak sadzonki piwonii muszę tu kupować. Jak się trafi na Le Cygne, trzeba brać bez względu na cenę. Pełna wyrzutów sumienia, że zdradzam swoją hurtownię i szastam pieniędzmi, kupuję trzy sadzonki i niosę do samochodu. Z największą ostrożnością kładę je na przednim siedzeniu. Zapi-

nając pas, chciałabym też zapiąć piwoniom, ale są za małe.

W domu z nabożeństwem odwijam je z papieru. Sadzonki piwonii to raptem parę zwiędłych liści na łodydze. Takie mają być. Wystarczy je jednak przenieść do ziemi, a będą równie majestatyczne, co niegdyś piwonie babki. Miejmy nadzieję.

Piwonia to wymagający gatunek, dopiero z poradników dowiaduję się, jak bardzo.

To, że kwiat tak łagodny i rozkoszny jak piwonia jest tak wybredny i wymagający, działa na mnie jak zimny prysznic. Dokładnie jak przyjaciółki z dzieciństwa: te najsubtelniejsze były najbardziej władcze. Myślę też o madame C, pod której łagodną powłoką czai się wielka siła.

Według poradnika angielskiego piwonie są tak wymagające, że najlepiej od razu dać sobie spokój. Trzeba cofnąć się o całe pokolenia, żeby ustalić skład ziemi, trzeba cofnąć się do Big Bangu, żeby ustalić skład pierwiastków w ogrodzie. Trzeba z pomocą wzgardzonego przeze mnie wykresu słonecznego ustalić, któredyś biegnie przesądzająca o losie piwonii strefa półcienia. Trzeba także znać stopień kwasowości humusu i wiedzieć, która część ogrodu ma ziemię wapienną lub gliniastą. Angielski poradnik jest od rzeczy, francuski po francusku, Le Cyg-ne zostaną więc posadzone według szwedzkiego.

Bez udziału madame C.

Piwonia nazywa się „pivoine”. Duma nie pozwala mi stanąć przed madame C. i powiedzieć „pio-vin” albo „pivion”.

W kwestii sadzenia piwonii szwedzki poradnik ogrodniczy jest przykładem zupełnego rozpasania w tym, co nazywamy szwedzką „akuratnością”, *lagom*.

„Piwonie mają mieć akurat tyle nawozu, ile im potrzeba” — czytam. „Ani za dużo, ani za mało”. Jeśli podsypano za mało, trzeba dosypać, jeśli za dużo, to niedobrze. Choć to jeszcze o niczym nie przesądza — asekuje się poradnik. Gleba nie za mało wapienna, ale też nie za bardzo.

Zawsze jakoś trzeba znaleźć ten stan równowagi — akurat, *lagom*.

Według tych instrukcji i wbrew swej naturze sadzę piwonie. Aż dochodzę do „okopywania”.

*Pierwszego roku okopać piwonie.*

*Okopać!*

Tak to jest z poradnikami. Zawsze zakładają, że już wiemy to, czego chcemy się z nich dowiedzieć. Bez powodzenia szukam „okopywania” w indeksie: co to jest i jak się to robi. Czy po prostu kopie się ziemię wokół sadzonek, czy też trzeba znów się w coś zaopatrzyć w sklepie ogrodniczym.

Między „ogrzewaniem gleby” i „oparzelizną” w indeksie zamiast „okopywania” zieje dziura.

Skoro już otworzyłam indeks, szukam „kreta”. W szwedzkim poradniku występuje on razem z jeżami i nietoperzami pod: Inne przyjemne zwierzątka. „Nie czyni większych szkód” — czytam i zamykam indeks na dobre.

Znikąd pomocy, zostaję sama z kretem. Podobnie jak monsieur Le R. w swoim ogrodzie, gdzie wszystko jest pod sznurek, przekonałam się już, jakich zniszczeń może dokonać kret. To, że szwedzki poradnik przymyka oko, jest zupełnie na miejscu.

Gdy dochodzi do działań wojennych, moja dawna ojczyzna pozostaje jak zwykle neutralna.

#### OBIETNICA

W łagodnej mżawce któregoś ciepłego popołudnia w lutym klęczę pod płotem od ulicy i sieję groszek pachnący.

Mija pół roku, odkąd tu zamieszkałam, pół roku w niebie.

Deszcz jest miękki. Słaby wiatr od morza.

Widelcem robię w ziemi rowki, pogłębiam i wsadzam nasiona groszku za pomocą łyżeczki do kawy. Dwa, trzy nasiona w każdym zagłębieniu, potem przysypuję je ziemią zmieszaną z nawozem i ostrożnie przyklepuję.

Absolutnie szczęśliwa.

A więc to o to chodzi. Klęczeć i babrać się w ziemi, siejąc groszek: dlaczego od razu tego nie powiedzieli?

Wystarczy trochę końskiego nawozu i parę nasion. Szpadel. Trochę próchnicy. Ciepłej, taka jest próchnica w Finistere.

Nawet w lutym jest po ludzku ciepła, nie zsiądziesz z zimna. Nie zrani dłoni małymi spękanyymi rankami, które w moim dzieciństwie nazywaliśmy „przecinakami”.

Ziemia to balsam dla dłoni, ciepły i tłusty.

Pola i łąki, zachody słońca, murki ułożone z kamieni.

Bluszcz, świecące mchy w lesie, ścieżki.

Wybuch wegetacji w ogrodach, białe zimowe kwiaty magnolii, mimozy, wilgotne ciepło ziemi w Finistere.

Zadziwiający uczynek szczęścia, wszystko, co czują ręce i widzą oczy.

Uroczę dzieci, ich promienne uśmiechy, „bon-jour madame!”, kiedy napotykają mój wzrok.

Małe miasto ze swymi barami. Shopi, poczta, merostwo, kino, piekarnie, stacja benzynowa, kiosk i księgarnia, optyk, dentysta, wszystko, czego potrzeba, jest w mieście, do którego należę.

Brakowało tu tylko mnie, przyjechałam i teraz to wszystko jest moje.

Ocean, niesamowity ocean, który widzę z gabinetu, Atlantyck, który podchodzi i oddala się w ogromnych przyływach i odpływach. Lśniący ocean pełen niebezpiecznych rowów.

Pokochałam Finistere, całe Finistere, każdy z jego 6 733 kilometrów kwadratowych, każdą z jego 283 gmin, wszystko jest tu *moje* i jestem na wskroś przesiąknięta miłością do wszystkiego.

Odczuwam miłość nawet do kretów, niewidzialnych kretów, które zostawiają kopce w ogrodzie i — co przyprawia o trwogę — podminowują piwonie.

Nawet krety obdarzam miłością.

Tak więc klęczę i grzebię w ziemi, szczęśliwa jak ryjówka, gdy nagle przy furtce zatrzymuje się czerwono-fioletowe renault madame C.

Madame C. jest wdową.

Dwukrotną. Gdyby jeszcze raz wyszła za mąż i znów została wdową, byłoby to podejrzane, ale zdaje się, że na razie dość ma żaloby. Nie zamierza już wychodzić za mąż — powiedziała z dwuznacznym uśmiechem. Mimochodem. I tak pozostaje kobietą. Powiedziała.

Madame C. wysiada z samochodu z tą samą co zawsze gracją. Dzisiaj w kozakach, prochowcu i nakryciu głowy, które wyglądałoby absurdalnie na każdym, lecz nie na madame C.



— Co pani robi? — pyta zdumiona, widząc mnie na kolanach w ziemi z widelcem i łyżeczką w ręce.

— Jestem groszkiem — odpowiadam i pokazuję torebkę nasion. *Pois de senteur. Spencer ecarlate.*

— Sieję groszek — mówi madame C. — Obsiewam, sadzę — ciągnie dalej, swoim ulubionym sposobem ucząc mnie języka za pomocą synonimów, „uprawiać” znaczy też *cultiver*.

Z madame C. wciąż jesteśmy per pani i nie zaczęliśmy jeszcze całować się w policzek, po pół roku znajomości. Mam nadzieję, że tak już zostanie.

Żadnego całowania w policzek.

Znajomym w Szwecji opowiadam, że madame C. jest moją przyjaciółką z Finistere.

Tak jest najprościej. Chociaż tak naprawdę nie jest przyjaciółką, jeśli rozumieć przez to bliskość i zażyłość, i nie nazywa się madame C, tak jak ja nie nazywam się 'a, powiedzmy.

*Ja* nie jest tym *ja*, które jest w rzeczywistym świecie. Madame C. nie jest madame C, a kimkolwiek by była, nie jest tak naprawdę przyjaciółką.

Na początku, opowiadając coś, zawsze wybierałam neutralne słowa. Nie tylko dlatego, że mój zasób słów jest ograniczony, również dlatego, że nie chciałam odsłaniać swojej gruboskórnej natury. Nie jestem stworzeniem tak odważnym i bezkompro-

misowym jak madame C. Nie z natury, ale dlatego, że jestem Szwedką.

Kiedy odmówiono mi abonamentu na telefon komórkowy, ponieważ jestem cudzoziemką, powiedziałam madame C, że ta straszna urzędniczka, haniebna plama na Finistere, nie była *tak do końca miła*.

— To *znaczy* była okropna — powiedziała madame C. i ciągnęła dalej, stopniując synonimy. — Straszna. Paskudna, odrażająca. Terrible. Degoutante. Dógueulasse!

Madame C. wygląda jak groszek pachnący, ale jest ostra jak brylant, który błyska na jej wypięlgnowanej dłoni.

To tego dnia w lutym, klęcząc nad nasionami groszku, co uwielbiam, mówię do madame C, że w Finistere jest tak pięknie, że trzeba by o tym napisać książkę.

Podnoszę się, prostuję kręgosłup i mówię, że jest tak pięknie, że trzeba by napisać książkę.

Madame C. bierze to dosłownie. Klaszcze, miazdząc dłońmi moje lekkomyślne słowa jak muchę w locie, i wykrzykuje, że to genialny pomysł.

— Książka o Finistere, o pani spotkaniu z Finistere, c'est genial!

Zadziwiająca madame C. ze swymi pięknymi dłońmi o polakierowanych paznokciach, pierścionek z brylantem na palcu — nie dostała go od żad-

nego ze swoich dwóch zmarłych małżonków — ze swą wyrazistą gestykulacją.

— Cest genial — powtarza.

— Musi pani napisać książkę o pierwszych miesiącach w Finistere.

Wiem, że powinnam odmówić, ale niech ktoś spróbuje odmówić madame C. Wiadomo, że trzeba powiedzieć *non*, ale to na nic się zdaje. Madame C. jest kobietą bardzo upartą.

Ja też.

— Non, madame C. — mówię. — Non, non. Non pas. Non.

*Mój pierwszy rok w Finisterel* Sama pani widzi, to niemożliwe. Impossible, madame C. Świat potrzebuje poradnika, jak przetrwać, a nie jeszcze jednej książki o wariatce, która wyrwała się z domu i dziwi się, że ludzie śmiesznie mówią, a hydraulicy są nieobliczalni.

Non, madame C, nie da rady.

Jestem poważną pisarką. Poetką, nie jakąś *dilet-tante* od pierwszego-roku-w-Finistere.

Fakt, że autorzy dręczący Prowansję i hańbiący Bretanię nie zostali jeszcze zlinczowani przez miejscową ludność, dowodzi tylko dobroci miejscowej ludności.

Niech ci imperialiści sybaryci w swoich słomkowych kapeluszach żyją sobie przez kilka lat, sącząc beaujolais nouveau, a potem niech ich stąd

wydała bez prawa powrotu i mnie do tego nie mieszają.

Non pas, madame C.

Jakkolwiek nazywa się sybaryta imperialista po francusku, moje *non* jest zupełnie jednoznaczne.

Madame C. zawsze rozumie, co chcę powiedzieć, przez pół roku rozumiała, co mam na myśli, niezależnie od tego, co mówię, teraz jednak postanowiła nie rozumieć.

Nie ma mowy, żeby książka nie została napisana, i to ja mam ją napisać. W moim języku, rzecz jasna — *naturellement* — w moim języku, z moimi przejawskrawieniami, których znaczenia madame C. nie jest w stanie oddać, ale ponieważ książka będzie bestsellerem, zostanie przetłumaczona na wszystkie języki.

— Un besselloe'rr — mówi madame C.

Jej angielski, tak jak mój francuski, nie stosuje się do reguł wymowy i składni.

Przeklinam słowo, które mi się wysnęło, takie słowa rządzą moim życiem. One rządzą mną, nie ja nimi; przeklęte słowa.

— Czyli postanowione — mówi madame C, zbiera szeleszczący prochowiec jak wieczorową pelerynę i sadowi się w samochodzie.

— Do jutra. A demain.

— A demain, madame C. A demain.

Patrzę na swój ogród, na dom, na morze, falujące na wietrze korony drzew i boję sygnalizacyjną. Czuję chłodną bryzę od morza.

Dom, plaże, skały, ścieżki, łąki. Bezcenna wolność robienia tego, co chcę, uprawiania i podlewania ogrodu. Mam wszystko i nagle oddaję to, pozbywam się, wystawiam na sprzedaż, zdradzam. Samą siebie tak samo jak Finistere.

Ubierać w słowa to, co się czuje, oznacza czynić nienaturalnym to, co naturalne. Każdy, kto próbował napisać choćby kartkę pocztową, wie, że pisać znaczy pomniejszyć to, co przeżyte, anulować to, co naturalne.

To, co najprostsze.

Mówi się, że każdy zabija to, co kocha; ja obiecałam za pomocą słów uśmiercić swoje Finistere.

Nie powinnam winić madame C, ale nie mam wyjścia.

#### **WIDOKÓWKI Z FINISTERE**

Madame C. mieszka o kilka miejscowości dalej w głąb łądu. Jej wioska jest ładniejsza niż moja, ale moja jest bliżej morza. Żadna z nas nie chciałaby się zamienić.

Wioska madame C. to bajkowa idylla. Jest na wszystkich widokówkach przedstawiających typową wioskę z Finistere: skupisko wiekowych domów

z kamienia, obrośniętych bluszczem i dzikim winem, glicynią i kapryfolium. Ogrody z rabatami, na których — zależnie od pory roku — kwitną żonkile, malwy, mak i hortensje. Nawet ci, co jak ja nie znoszą hortensji, muszą przyznać, że są piękne. Kłęby niebieskich albo różowych hortensji, najokazalszych w całym Finistere. Wielkie stare drzewa — jesiony, dęby i lipy. Wspaniałe platany. Kępy wysokiej na metr trawy tańczącej jak derwisze na zimowym wietrze.

Kiedy będąc tu przed rokiem, przejeżdżałam przez tamtą wioskę, widziałam tylko pocztówkową wieś z pocztówkową hortensją i pocztówkowymi makami. Czysty kicz. Ale w miarę jak się ją ogląda i dowiaduje, co jest za starymi murami, wioska przemienia się z pocztówkowej w realną.

W domu koło madame C. mieszka małżeństwo czterdziestolatków z trójką dzieci. On pije, ona się drze, dzieci biegają. Madame C. próbowała interweniować, na swój delikatny sposób, ale nic to nie dało. Wokół dwójki dorosłych jest jakby bariera, pas nie do przejścia.

Madame C. próbuje interweniować ze względu na dzieci. Dała całej trójce do zrozumienia, że jej drzwi o każdej porze stoją dla nich otworem, mogą przychodzić, kiedy chcą.

Grzecznie i chętnie dają się zaprosić na sok, owoce czy ciastka. Ale nie garną się do niej. Co

dziwne, nie są wcale wystraszone ani zahukane. Podczas gdy dorośli upierają się przy swoim osobliwym sposobie okazywania, że nie mogą bez siebie żyć, dzieci ganiają po podwórku, grają w piłkę, bawią się z psem albo z innymi dziećmi we wsi.

Jeśli są u madame C, kiedy akurat słyszeć opętańcze arie wrzeszczących rodziców, cała trójka wznosi oczy do nieba: znów się zaczyna. Po chwili wszystko cichnie. Albo trwa tak czas jakiś. Jak każda z tutejszych burz, pojawia się, trochę grzmi, trochę się błyska, a potem cichnie. Albo też trwa dłużej, niż się spodziewamy.

Rodzina z pijącym ojcem i wrzeszczącą mamą powinna być rodziną patologiczną z patologicznymi dziećmi, ale tak nie jest.

Kiedy widzę tu jeszcze jeden dowód na to, jak dobrze jest w Finistere, madame C. oświadcza, że takie wnioski to *idiotyczne upraszczanie skomplikowanych zależności*.

— Ale — dodaje zdecydowanie, brylant błyszczący na palcu — jeśli pasują do opisu Finistere, proszę tak napisać.

I madame C. rozwija tę myśl, różnicy między życiem i tworzeniem żaden literaturoznawca nie widzi ostrzej niż wciąż zaskakująca madame C.

Jeśli obraz pierwszych miesięcy w Finistere ma być idylliczny — uważa — nie powinnam cofać się przed uproszczeniami. Uproszczenie, które

jest idiotyczne w rzeczywistości, w świecie przedstawianym może błysnąć inteligencją. Rzeczywistość i jej komplikacje to jedno, a komplikacje w jej przedstawianiu to drugie i tylko piszący może rozstrzygnąć o stopniu uproszczenia lub komplikacji.

Książka jest książką, rzeczywistość rzeczywistością, nigdy się ze sobą nie spotkają, według madame C.

Grunt, żeby pisarz wyraźnie oddzielał jedną od drugiej, co może mi się udać dzięki memu talentowi narracyjnemu — mówi madame C, ale ja już tego nie słucham.

Po tym, jak powiedziała *idiotyczne upraszczanie skomplikowanych zależności*, nie słyszę już niczego.

Ma rację.

Oddam obraz jej wioski, jeśli tak napiszę, powierzchniowy pocztówkowy obraz. Nie wioskę samą w sobie, bo to niemożliwe.

Żeby jakaś wieś uzyskała tę głębię, którą w sobie ma, trzeba tam mieszkać całe życie, wiedzieć, jak pod fundamentami domów układają się pokłady pokoleń, kto pięćdziesiąt lat temu zdradził, kto ma z kim dzieci, kto jest siostrą, a kto bratem.

Głębi istnienia wioski nie pojmie ten, kto jest przejazdem, a zważywszy na mój brak doświadczenia w tych sprawach, to może i lepiej.



Odkładam na przyszłość kwestię opisu wioski, w której mieszka madame C.

Mam dość czasu, by rozmyślać, jaki obraz chcę stworzyć. Wszystko jest możliwe. Dzięki madame C. będę się starała nie wyciągać wniosków z powierzchniowych obserwacji, *idiotycznie nie upraszczać skomplikowanych zależności*.

#### MIASTO STARSZYCH PAŃ

Na granicy miasta, kilka miejscowości dalej za wioską madame C, leży dzielnica, którą nazwałam miastem starszych pań, ponieważ przy furtkach zawsze stoją tam i rozmawiają starsze panie.

Rozmawiają, zamiatają chodnik, zrywają uschłe liście ze swoich pięknych krzewów.

Przy jednym z domów rośnie glicynia, która przechodniom zapiera dech w piersiach. Jasnofio-letowa, uginająca się pod ciężarem bujnych, pachnących groszkiem kiści. Listowie jasnozielone, obfite, doskonale rozwinięte. To glicynia nad glicynie, porozgałęziana w całym ogrodzie. Silne, lśniące srebrzyście gałęzie wiją się po ogrodzeniu, wyginają się w łuk nad furtką i jak cyrkowiec pod kopułą biegną w stronę domu, by wspiać się na fasadę.

Glicynia musi tu rosnąć przynajmniej od pokolenia. Dom wygląda młodziej. Jak gdyby architekt,

projektując całą dzielnicę, chciał dobudować ją do glicynii.

O takiej glicynii marzyłam u siebie, ale madame C. odradza.

Mój ogród jest tak mały — madame C. twierdzi, że jest mały — że glicynia zabrałaby soki innym roślinom. Nic nie ma tak silnych korzeni jak glicynia, *les glycines*. Może przewrócić dom, całą wioskę, rozsadzić skałę.

Madame C. poważnie, *serieusement*, przestrzega przed sadzeniem glicynii w *moim petit jardin*.

Muszę się zadowolić podziwianiem cudzych glicynii, więc je podziwiam.

Nigdy nie uwierzyłabym, że będę kiedyś wzdychać do glicynii. To tak jak ze skalniakiem. Skalniak — po moim trupie, wszystkie te kwiatuszki, żałosne, babskie i smutne. A teraz co dzień czerpię przyjemność ze swojego skalniaka i kaktusów. Tylko patrzeć, jak otoczą mnie pelargonie.

Codziennie przejeżdżam przez miasto starszych pań, z nabożeństwem przyglądam się glicynii i prowadzę tak wolno, że silnik niemal staje.

Starsze panie podejrzliwie łypią na samochód i kierowcę. W lusterku wstecznym widzę zawsze, jak odwracają się, uważnie studiując zagraniczną rejestrację. Ciekawe, czy kiedy przerejestruję samochód, będą mniej podejrzliwie patrzyły na *immatri-culation de vehicule* z Finistere.

Starsze panie są w wieku, do jakiego dochodzą starsze panie w Finistere. Nikt nie umiera tu przed dziewięćdziesiątym piątym rokiem. Wiem, bo zawsze zatrzymuję się przy nekrologach w gazecie.

Sama zamierzam być taką starszą panią w sukni i sznurowanych botkach, z włosami upiętymi na karku, jak momma. Stać przy furtce i rozmawiać z madame C, aż niezauważalnie i szczęśliwie odejdziemy. Jak starsze panie w mieście starszych pań.

Nawet w porze deszczowej zeszłej zimy widziałam je przy furtkach, z parasolami, zajęte rozmową. To stanie przy furtce, zamiatanie chodnika, te ciągłe rozmowy są tu możliwe, gdyż do Finistere nigdy nie przychodzi wielki mróz.

Oddech nigdy nie jest lodowaty, zimno nie szczypie. Nie zamarzają koniuszki uszu i czubek nosa. Język nie przymarza, zanim zdążysz cokolwiek powiedzieć. Na mrozie człowiek robi się małomówny.

Momma nie mogła stać przy furtce i rozmawiać, tam na północy nie mają furtek. Nie są potrzebne, zimno odgradza aż zanadto, a szron opasuje domy drutem kolczastym.

Ludzie w cieplejszych krajach pozostają otwarci, bo pozwalają im na to warunki. Tam, gdzie dorażałam, można być otwartym dopiero, gdy oczyści się buty szczotką i zamknie za sobą drzwi — drzwi na ganek, do przedsionka, sieni i kuchni.

Po takim zamykaniu niewiele zostaje już otwartości.

Nie wpuszczaj zimna — brzmiało najczęstsze polecenie w dzieciństwie. *Tcjlepp int in tjórrrda* — nigdy nie słyszałam tego w innym języku, z tym początkowym dźwiękiem „tje” w słowie „wpuszczaj”, i nie bardzo wiem, jak to zapisać. Nie ma ortografii, nie ma liter, które zdołają oddać ten dźwięk.

Żeby go wydobyć, trzeba zwinąć język ku tyłowi pod podniebieniem i wypuszczać powietrze kącikami ust. Ktoś, kto nie urodził się w mojej wsi, po prostu nie jest w stanie tego wymówić.

Ojciec próbował przez pięćdziesiąt lat, ale kiedy umierał, był równie daleko, jak wtedy, gdy pojawił się we wsi. Próbował rozmawiać z chłopami w chłopskim języku, a chłopci śmiali mu się w twarz i za plecami. Chciał być jednym z nich — bezskutecznie, pochodził nie stamtąd.

Nie ma nic gorszego dla dziecka, niż jak z jego ojca śmieją się za plecami.

Kiedy moja siostra rysowała kobiety, zawsze wstawiała im nogi na obu krańcach sukienki. Głowa, sukienka i w każdym rogu sukienki noga. Dokładnie tak, jak u starszych pań w ich mieście w Fi-nistere.

Będę taką starszą panią, to będzie ciekawe.

Nie palę się do śmierci. Teraz, kiedy w końcu zaczęłam się przyzwyczajać do tego ciała na tej zie-

mi, umierać byłoby zbytnią rozrzutnością. Umrzeć w Finistere, kiedy właśnie zaczęłam zapuszczać korzenie — co za niemiła ironia.

Nareszcie stoję pewnie, nogi jak pale w ziemi, zadek wzniesiony. Od środkowej Norrlandii i gór aż po Finistere stoją starsze panie, wypinając zadki, i wrywają chwasty; ziemia zawsze domaga się, aby coś przy niej robić.

Kiedyś uważałam starzenie się za małoduszną niesprawiedliwość, bo dopada człowieka, kiedy nie ma już sił się bronić. Starość wyobrażałam sobie jako upokorzenie.

Teraz z ciekawością obserwuję, co dzieje się z tym biednym ciałem, które wprawdzie opornie, ale poddawało się mojej woli przez tyle lat. Biedna twarz, musiała skapitulować przed niejednym. I wszystkie te bezowocne godziny pracy, które poświęciłam, żeby zrobić z siebie kobietę, wyrzucone pieniądze. Wszystkie sprzeczne zalecenia, stosowane z uporem.

*Śpij z dłońmi pod głową, to będą mniejsze.*

*Wszystko, co masz na twarzy, będziesz mieć na szyi.*

*Jeśli lejesz wodę na twarz, to lepiej się od razu oblej kwasem.*

Wojna, jaką prowadziłam przeciw ciału, wrodzony antagonizm duszy i ciała. Ja jestem wierna z natury, lecz moje ciało to rozwiązły idiota, któ-

ry dla chwili rozkoszy zdradzi wszystko, co jest mi drogie.

Teraz wojna skończona, wygrałam i gratuluję sobie zwycięstwa, nawet jeśli nadeszło nieco późno.

Dziewięćdziesiąt lat mydła Palmolive i bogatej w wapń wody, a policzki momma miała jak płatek róży, przez cały długi okres starości była idealnie gładka, jakby nieużyta.

Tylko patrzeć, jak moja twarz zostanie zniszczona przez kremy, a zewnętrzna powłoka będzie równie stara, jak wnętrze.

Czy też odwrotnie.

Starsza pani, która przez te wszystkie lata gromadziła we mnie doświadczenie i mądrość, wkrótce wyjdzie na światło dzienne, ta mądra istota zbliża się wielkimi krokami.

*Bonjour madame! Bienvenue.*

Czy ja wiem.

Madame C. ma kochanka o imieniu Ryszard.

#### KAWALER RÓŻANY

*Jedno jest pewne, pierwsi zostaną wpuszczeni do nieba ogrodnicy.*

Tak jest powiedziane w jakimś piśmie o ogrodach z roku 1664 i wierzę, że tak było. Kto oddaje się pracy w ogrodzie, nie grzeszy. To człowiek nastawiony przyjaźnie, który wyznaje zasadę: żyj

i pozwól żyć innym. Tak uważałam aż do czasu, kiedy sama zajęłam się ogrodem, a monsieur Le R. pokazał swą prawdziwą twarz.

Monsieur Le R. jest wdowcem emerytem, który osiedlił się w sąsiednim departamencie.

Do niego należy ogród przedstawiony na rozkładówce w czasopiśmie „Le Jardin”. Ogród przez niego stworzony to raj, prawdziwy Eden, według „Le Jardin”. Ów sławny już ogród leży nad niewielką rzeczką. Jest otoczony lasem, który chroni go od wiatru, i wzgórzami, które zatrzymują zimowe burze.

Ogród pana Le R. nie jest wystawiony na morskie sztormy i słone wiatry, tak jak ogrody w mojej wiosce. Jak bardzo te ostatnie są na nie wystawione, miałam przekonać się dopiero zimą u schyłku roku 2000, kiedy przyszły wielkie deszcze.

Monsieur Le R. poznałam tamtego roku latem, mojego pierwszego lata w Finistere, jeszcze przed przeprowadzką.

Zanim wprowadziłam się do domu, zanim poznałam madame C.

Ogród własnoręcznie stworzony przez pana Le R. jest arcydziełem sztuki ogrodowej i dyscypliny. Żywopłoty przycięte według szablonu, hortensja wysokości człowieka, donice z lobelią na obramowaniu furtki.

Każda roślina łśni, ani jeden listek nie rośnie krzywo. Ani śladu mszycy albo mrówki. Rabaty pod sznurek. Choć według monsieur Le R. rośliny nigdy nie rosną pod sznurek.

Ogród, który zastał na tym miejscu, należało w całości przekopać. Zdziczały, prawdziwa dżungla.

Brakowało tylko małp — twierdził monsieur LeR.

Chcę powiedzieć, że życzyłabym sobie, żeby mój ogród był prawdziwą dżunglą, ale składnia jest zbyt skomplikowana.

Nie mówię więc nic o swojej dżungli. Monsieur Le R. jest miły i sam przypomina małpkę. Szeroki odstęp między nosem i ustami. Krótkie włosy, małe uszy. W moim wieku, ale mężczyzna.

Spotykamy się w szkółce róż, w centrum ogrodniczym w jego okolicy. Przyjechałam tu na rekonesans. Już znalazłam swój dom z ogrodem, ale klucze dostanę dopiero w sierpniu.

Niecierpliwość, która mnie przepełnia, odczuwam jak stan zakochania, pierwsze stadium romansu, kiedy wszystko jest bezproblemowe, a nastrój podniosły.

Oglądam róże, żeby zdecydować, czy mój pierwszy w życiu ogród będzie ogrodzony żywopłotem z róż, czy z wawrzynu. Jeśli z róż, to takich, które kwitną dwa razy w roku. Takie róże nazywają się *remontante*.



*Remontante.*

*Rrrremontante, rrremontante.*

Gardłowe „r” jest naturalne dla Francuzów. Ktoś ze Skanii może by sobie z tym poradził, ale nie ktoś ze środkowej Norrlandii i gór, strefa klimatyczna siódma.

Kiedy tak sobie spaceruję wśród róż, trenując gardłowe „r”, czuję stuknięcie w ramię, jakby ktoś delikatnie pukał do drzwi. Wilgotny nos obwąchuje mi nogę.

To monsieur Le R. z psem. Mówi, że wyglądam na kogoś, kto potrzebuje rady. On chętnie służy radą.

Zgadzam się i tak oto zawiązuje się znajomość.

Od chwali, kiedy monsieur Le R. oferuje pomoc, do czasu, gdy pewnego upalnego letniego dnia u siebie w pergoli odsłania prawdziwą naturę, łączy nas znajomość.

Natury seksualnej?

Tylko, jeśli pojęcie „seksualny” rozumieć w najszerszym zakresie. Jeśli pod tym pojęciem rozumie się nie wyłącznie ludzkie czy inne mniej ekscytujące akty miłosne, lecz także połączenie rośliny z ziemią, seksualność pręcików i słupków, seksualność cebulek kwiatowych w ogrodzie.

Spotkanie z ogrodem może zawierać w sobie więcej seksualności niż wszystkie akty płciowe, przez jakie kobiety z mojego pokolenia musiały przejść, żeby wziąć udział w rewolucji seksualnej.

Moja znajomość z monsieur Le R. ma charakter czysto hortikulturalny.

Na razie.

Monsieur Le R. to osoba obdarzona zdrowym rozsądkiem, którym chętnie podzieli się ze mną. Nie szczędząc wysiłku. Udzieli rad w kwestii roślin, z których będą sadzonki i szczepy, a przy szczepieniu pomoże. Pokaże, które rośliny potrzebują słońca, a które dobrze się czują w cieniu. Podkreśli przewagę długowiecznych bylin nad roślinami jedno- i dwuletnimi.

Niez mordowany monsieur Le R.

Swoim śnieżnobiałym citroenem zabiera mnie na wystawy kwiatów, zwiedzanie ogrodów pałacowych, na święto kamelii, za co wylewnie mu dziękuję.

To wieczne dziękowanie jest zatrutym dziedzictwem mojego kraju i języka.

„Dziękuję za święto kamelii, niezapomniane przeżycie, dziękuję bardzo, dziękuję”.

Dziękowanie jako kara za nie popełnione zbrodnie — dziękowanie za niezapomniane święto kamelii. W istocie nie zapomnę go do końca życia.

Ścisk i duchota, nieprzerwana muzyka z głosników, francuskie ballady i belgijskie techno, celtyckie kobzy. Zawroty głowy i mdłości, toaleta — dziura w cemencie.

— Dziękuję niezmiernie, monsieur Le R., merci beaucoup.

Po czymś takim monsieur Le R. dwoi się i troi, aby wynaleźć nowe kameliowe imprezy, na które zabierze mnie śnieżnobiałym citroenem.

— Wkrótce nadejdzie sezon na hortensje, święto hortensji — mówi monsieur Le R., a jego zadziwiająca twarz pawiana przyjmuje wyraz, którego nie da się określić inaczej niż czuły. Już zaplano wał naszą przyszłość, jestem wzruszona.

Monsieur Le R. poucza nie tylko, jakie rośliny będą najlepsze, lecz także jakie szkodniki i choroby im zagrażają. Od chwili, kiedy roślina zostaje wsadzona do ziemi, narażona jest na ataki i niebezpieczeństwa. Od zewnątrz, od środka, z boku. Odziedziczone geny, zwyrodnienie, spaliny, zanieczyszczenie środowiska.

Jest atakowana z ziemi i z powietrza. Najłżejszy podmuch wiatru przynosi zaraźliwe plagi z obcych ogrodów, epidemie, od których roślina uschnie.

Robactwo latające, biegające, pełzające, mrowiące się.

Mrówki — czarne, czerwone, wielkie i małe.

Mszyce na liściach, na korzeniach, pchełki ziemne.

Myszy i norniki — gryzonie wszelkiej maści. Ślimaki w skorupach i bez.

Pleśń, mech, mączniak.

Robaki, grzyby, wirusy — w chwili, kiedy sadzisz pierwszą roślinę, już jest zagrożona.

Wszystko, co przychodzi z zewnątrz, jest zagrożeniem dla ogrodu.

Na samym początku, dziesięć lat temu, kiedy kupił ogród, monsieur Le R. w kombinezonie ochronnym, z kanistrem na plecach spryskał jego każdy centymetr cieczą, którą sam przygotował.

— Wyglądałem jak pierwszy człowiek na Księżycu — oznajmia z dumą.

Jestem pod wrażeniem.

Nasza znajomość rozwija się według odwiecznego wzoru.

Jest tylko jeden szkodnik, któremu monsieur Le R. nie daje rady. Z wszystkich zagrażających ogrodowi gatunków, z wszystkiego, co wije się i pełza, lata i biega, nad ziemią i w ziemi, jest tylko jedno stworzenie niezwykłe nawet dla pana Le R. — kret.

— Krety są najgorsze — mówi — a najgorsze z najgorszych są w Finistere.

— Nie wiem nic o kretach — odpowiadam z uśmiechem.

Znajomość z monsieur Le R. doszła do tego stadium, kiedy przychodzi pora, by zrobić następny krok i ją pogłębić. Nasze stosunki dotarły do punktu, w którym zaczynam się zastanawiać, czy nie należałoby przejść na ty.

Ponieważ jestem kobietą — w trakcie naszych spotkań odgrywam tę rolę z maestrią — ja musiałabym to zaproponować.

Ale się wstrzymuję.

Jedno pociąga za sobą drugie. Jak się zacznie mówić po imieniu, trzeba będzie może wkrótce całować się w policzek. Nie tylko w Finistere i okolicy, ale w całej Francji obowiązuje ten skomplikowany rytuał powitań i pożegnań.

Pomimo wytrwałych obserwacji i starań, aby pojąć zasadę, nigdy nie wiem, od którego policzka trzeba zacząć. Nie wiem też, co decyduje o liczbie pocałunków — okazja czy związki rodzinne, płeć czy wiek. Czy pożegnanie na dworcu wymaga więcej pocałunków niż codzienne spotkanie w Shopi, gdzie mam Carte de Fidelite.

Pocałunki w policzek rozdaje się i przyjmuje według ukrytego wzoru. To tak jak z mitycznym przyływem i odpływem — przybysz nigdy nie zrozumie zasady, choćby się nie wiem ile wczytywał w kalendarz pływów.

Nie zrezygnujemy z tytułów, nie pogłębimy znajomości. Zanim moje wahania ustaną, nastąpi zerwanie z monsieur Le R.

Jest popołudnie na początku lata roku 2000.

Siedzimy w idealnej pergoli, którą zbudował z gotowych elementów. Kąty proste, drewno im-

pregnowane przeciwko pleśni i szkodnikom, pnąca bez jednej plamki w równych pasmach — za parawanem lśniącej zieleni siedzimy z monsieur LeR.

Motyle łopoczą skrzydłami jak płatki kwiatów, ptaszki śpiewają. Lekkie podmuchy wiatru przynoszą zapach róż. Kwitną mimoza i magnolia, forsycja, róże, hortensje, w ogrodzie u monsieur Le R. zawsze jest sezon.

Na stole karafka z winem rosę, dwa kieliszki i butelka perrier.

Pies drzemie w cieniu. Wygląda niewinnie, ale gdyby nie monsieur Le R., zaatakowałby mnie nieraz. W tej chwili jednak leży, tocząc ślinę z pyska pod akacją, i o czymś śni.

Boski dzień w pergoli.

Z ołówkiem nad kartką papieru projektuję swój przyszły ogród. Taki szkic daje wolność, najbliższą utopii. Co z tego będzie potem, nie wiadomo. Na szkicu nie ma szkodników ani innych kłopotów. Krecich kopców, rzemieślników, ceny wody w Fi-nistere.

Oczekiwania zawładnęły mną całkowicie, czerpię z tego przyjemność w bardzo, by tak rzec, nie-szwedzki sposób. W mojej dawnej ojczyźnie nie należy się niczego spodziewać z góry, bo tak rośnie dług wobec samego siebie.

Niektórzy tak intensywnie spodziewają się najgorszego, że przestają być sobą i popełniają samobójstwo, jak tylko coś obróci się na dobre.

Rozkosznie jest siedzieć w pergoli u monsieur Le R. i robić szkice, panuje swobodna atmosfera. Rozmawiać, nie rozmawiać, żadnego przymusu. Monsieur Le R., podobnie jak madame C, rozumie albo udaje, że rozumie, co mam na myśli, niezależnie od tego, co mówię. Jasne, że nie posiada daru poprawiania mnie tak, by mnie nie urazić — jest w końcu mężczyzną.

Podnoszę wzrok znad kartki, nasze spojrzenia się zderzają. Uśmiechamy się, pochyla się nad moim szkicem, żeby udzielić wskazówek. Gdzie najlepiej zasadzić piwonie, czym obsadzić grządkę od ulicy.

Tulipany, o których zawsze marzyłam — gdzie umieścić cebulki. Na jakiej głębokości.

Glicynia czy nie, dzikie wino, powojnik.

Bramka z róż nad furtką, róże pnące na północnej ścianie, pnącza, pergola — obiecuje pomoc przy wszystkim. Wszystko, o czym marzyłam, do tego kran i wąż przy domu, żeby to podlewać, i zraszacz do węża.

— Woda w Finistere jest taka droga — mówi monsieur Le R. i wskazuje na dwie ogromne kadzie z szarego plastiku, więc dostanę od niego beczki na deszczówkę.

— Merci merci. Jak to miło z pana strony, monsieur Le R., bardzo pan uprzejmy, merci merci merci.

Oczywiście nie odkrywam przed nim, że u mnie deszczówka będzie spływała do drewnianych beczek z zardzewiałą obręczą, takich, jakie stały pod rynną przy węglach domów we wsi, gdy byłam dzieckiem. Po części dlatego, że nie wiem, jak nazywają się rynna i obręcz, i że *byłam dzieckiem* to czas przeszły; po części dlatego, że nie chcę urazić monsieur Le R.

Zmieniam temat, żeby uniknąć dyskusji o oszczędzaniu wody. Nigdy nie spytałam monsieur Le R., dlaczego przeprowadził się do departamentu graniczącego z Finistere, więc pytam teraz. Dokładniej mówiąc, wyrażam się tak:

— Dlaczego przeprowadził się pan nad granicę Finistere, monsieur Le R.?

Rozumie, co mam na myśli. Chociaż mieszka po niewłaściwej stronie granicy, rozumie, co mam na myśli, tak jak madame C. i wszyscy mieszkańcy Finistere.

Wszyscy rozumieją, co mówię. Wszyscy oprócz majstrów i rzemieślników, którzy wkrótce wprawiają mnie w stan bezsilnego oczekiwania. Ci młodzieńcy wpadają w niewypowiedziany popłoch, kiedy słyszą, jak mówię *łodyga* zamiast *rura* albo *cebulki* zamiast *żarówki*.



— Cebulki do wszystkich lamp — mówię i w dodatku nazywam ich szefa panem Homofilem.

Gdybym tak powiedział — myśli majster — to-bym umarł. Fakt, że coś takiego zdarza się w Fini-sterie, oznacza, że może zdarzyć się także im, więc zbierają narzędzia i czmychają w pośpiechu, zanim sami powiedzą do szefa: monsieur Homofil.

Na ogół jednak rzemieślnicy w ogóle się nie pojawiają i siedząc w pergoli u monsieur Le R., nie wiem jeszcze nic o niewypowiedzianym popłochu, w jaki ich wprawię swoją francuszczyzną.

Teraz jest tylko monsieur Le R. i ja.

Bez żadnego niewypowiedzianego popłochu, bez wahania, monsieur Le R. odpowiada na moje pytanie, dlaczego przeprowadził się na granicę Fi-nistere.

Z tego powodu — mówi — że tam, gdzie przedtem mieszkał, jest więcej Murzynów niż w całej Afryce. Arabów. Afganów, Albańczyków. Turków i Kurdów, Rosjan i byłych Jugosłowian. Cały atlas geograficzny się tam przeprowadził. Śpią po całych dniach i pobierają zasiłki. Nie można wyjść na ulicę, jeśli się nie chce wrócić z maczetą pod łopatką.

— Nie jestem rasistą — oświadcza monsieur Le R., mrużąc oczy pod słońce, uśmiechając się do mnie, i dolewa wina — nie jestem rasistą, ale jak już tu przyjeżdżają, to mogliby się chociaż nauczyć języka.



Siedzę wśród kwiatów w jego pergoli i brak mi słów. Nawet gdybym je znała, i tak by mi ich zabrakło — wobec takiego braku wątpliwości mogę zamówić w każdym języku.

W głowie głucho i pusto, ale ciało chce walczyć.

**I**odjęło mowę — mogę użyć siły, ale drzwi są zamknięte, wyjścia nie ma. Tłumiona w sobie wściekłość — oto los kobiety z mojego pokolenia, z moim bagażem.

Błędne koło niemoty zamyka się wokół mnie, nie znajdę słów, by się z niego wyrwać, ciężko dyszę, łzy nabiegają do oczu, twarz sinoczerwona.

Monsieur Le R. zdaje się podekscytowany kobiecą falą uczuć i płaczu, próbuje mnie objąć, ale zrywam się na równe nogi i budząc ziewającego psa, biegnę do samochodu, odjeżdżam, aby nigdy więcej nie powrócić do monsieur Le R.

W lusterku wstecznym widzę, jak pies staje na tylnych łapach i wyje, podczas gdy monsieur Le R. macha rękami, podobny do pawiana, nic nie rozumiejąc.

Potem siedzę przez cały wieczór w bunkrze z drugiej wojny i patrzę na morze w Finistere. Jest przypływ, słońce chowa się w Atlantyku z krwawo-czerwonym sykiem.

Jestem śmieciem, zdrajcą, kolaborantką, współ-rasistką.

Niejeden wieczór spędziłam przy biurku albo-w pergoli i ze słownikiem w ręku próbowałam napisać list do monsieur Le R. Ale tak jak nie potrafię napisać obiecanej madame C. książki, tak nie jestem w stanie sformułować listu do pana Le R.

A przecież nie można ot, tak pojechać i zastrzelić go w ogrodzie. Albo choćby rzucić kamieniem.

Ten, kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamień; ostatnią, która ma prawo rzucić, jestem ja.

#### SULTAN I OGÓREK

W połowie XV wieku wschodnie Bizancjum zostało zdobyte przez sułtana Mehmeda, tulipanowego sułtana, Mehmeda Zdobywcę. Konstantynopol stał się Istambulem, bizantyjskie głowy ścięto, cesarz Bizancjum odebrał sobie życie.

Turcy, znani w całym świecie ze swej dzikości, okazali się również najbardziej wykształconym narodem, a świat dzięki nim odkrył tulipany.

Przybywający do Konstantynopola Europejczycy zdumieni byli, że turecka żądza krwi i okrucieństwo dają się połączyć z tolerancją dla inaczej myślących, poezją i sztuką ogrodów. Przeżyli wstrząs, widząc, że w innych kulturach też jest miejsce na

kulturę, że kwiat tak zachwycający jak tulipan może pochodzić z Turcji.

Sułtan Mehmed, Turek o podwójnym obliczu, namiętny wielbiciel jatek i tulipanów, zdumiał najbardziej i tak już zdumionych Europejczyków.

Jego pałac, Topkapi — Siedlisko Szczęśliwości — zdobiły klejnoty, perły, złoto i srebro, harem miał niezrównany. Najbardziej jednak zachwycające, najcudowniejsze były ogrody.

Sułtan Mehmed posiadał ich ponad sześćdziesiąt. Ogrody obniżone, ogrody wiszące, ogrody tarasowe, prywatne skwery i publiczne parki. Ogrody owocowe, ogrody warzywne. Ogrody tulipanowe. W każdym szemrała czysta woda — krystaliczna, schłodzona do picia, jak najlepszy szampan. Darmowy.

Sułtan Mehmed lubił patrzeć, jak rozwija się roślinność, dojrzewają owoce i warzywa, i nieraz widziano, jak przycina krzewy lub kłęcząc na grządce, przerywa sadzonki.

Pielęgnacja ogrodu i jatki, darzył je tą samą namiętnością; zwiędły kwiat spadał od jego sekatora równie lekko, co głowa wroga od miecza.

Łączenie uprawy roślin z ideą humanizmu było czymś obcym tak dla sułtana Mehmeda, jak i dla monsieur Le R.

W odróżnieniu od pana Le R. sułtan miał do swojej dyspozycji licznych ogrodników. Byli to najlepsi ogrodnicy w kraju, wybrani i wybitni.

Tak jak mademoiselle J.

Nie potrafię poradzić sobie ze wszystkim, co jest do zrobienia w ogrodzie, więc mademoiselle J. przychodzi co dwa tygodnie ścinać trawę i zająć się tym, czym ja nie zdążyłam. Skontaktowała mnie z nią madame C, są ze sobą jakoś spokrewnione, choć nie bardzo zrozumiałam, przez kogo. Tutaj jest jak w mojej wsi: raptem dwa rody i wszyscy należą do jednego albo drugiego. Nie ma znaczenia, jak dalekie będzie pokrewieństwo — przynależność do rodu przesądza o tym, kim się jest.

Gdy pytam madame C, jakie pokrewieństwo łączy ją z mademoiselle J., odpowiada, że genealogia to nie jest jej *cous-cous*.

O rzeczach, które jej nie interesują, madame C. często mówi: „to nie jest mój *cous-cous*”. Nie wiem, czy to potoczne wyrażenie, czy coś, czego nauczyła się od swoich dzieci. Madame C. ma trzech synów, których nigdy nie widziałam.

Najmłodszy, Benjamin, jest muzykiem — *rap-peur*, twierdzi madame C. — ma swój własny słownik.

Mademoiselle J. mieszka w portowym miasteczku, kilka kilometrów w górę wybrzeża. Całe życie spędziła w Finistere, dwadzieścia trzy lata, i nigdy nie ciągnęło jej gdzie indziej.

— Mnie też nie — mówię — mnie też nie ciągnie nigdzie indziej, odkąd jestem w Finistere.

\

— A rodzina? — pyta mademoiselle J. tonem, w którym słyhać niepokój i oburzenie — pani rodzina? — Chciałabym wyjaśnić, że przyjadą w od wiedziny, jak tylko pokój gościnny będzie gotowy, ale czas przyszły to nie jest mój *cous-cous*.

Mademoiselle J. jest niezawodna i kompetentna, potrafi czytać ogród jak ja książkę. Kiedy coś szwankuje, wie, co należy robić: najczęściej nic. Natura poradzi sobie sama.

— Trzeba zaufać naturze — mówi mademoiselle J. — nie wtrącać się, jeśli nie jest to absolutnie konieczne.

Tę ortodoksyjną wiarę w ziemię mademoiselle J. dzieli z moim biodynamicznym ojcem.

Na słowo „ojciec” mademoiselle J. się rozpromienia. Mam ojca, mam rodzinę, należę do jakiegoś rodu — to czyni mnie bardziej ludzką i mniej obcą.

Kiedy z czasem wychodzi na jaw, że ojciec był kształcony na chłopca, był w końcu agronomem, mademoiselle J. przestaje mi wystawiać rachunki. Tych kilka franków, które ma dostawać za to, że co dwa tygodnie przekształca mój zmierzwiony trawnik w szmaragdowozieloną *pelouse*, muszę w tajemnicy, korzystając z pośrednictwa madame C, wpłacać jej na konto w kasie rolniczej.

Mademoiselle J. jest z tej dobrej rasy ogrodników, do której zaliczałam ich wszystkich, dopóki nie zawiodłam się na panu Le R.



Gdyby mademoiselle J. starała się o posadę ogrodnika u sułtana Mehmeda, dostałaby ją z miejsca. Ale gdyby ją objęła, zginęłaby z powodu jednego ogórka. Jeszcze jeden dowód na przypadkowość życia: człowiek nie wybiera sobie czasu i miejsca. Od tamtego dnia w pergoli u monsieur Le R. zajmuję się kolekcjonowaniem takich dowodów.

Oprócz tulipanów i wszystkich innych kwiatów i roślin sułtan Mehmed kazał posadzić ogórki. Zielone, soczyste ogórki na nawodnionych grządkach z odpowiednią dla nich ziemią. Chłodne ogórki na gorące dni w Konstantynopolu. Historia nie mówi, czy sułtan sam wybierał ogórki, czy też zlecał tę pracę licznym ogrodnikom, ale znamy za to los tych ostatnich.

Otóż pewnego dnia zdarzyło się, że zabrakło jednego ogórka. Sułtan wzywa do siebie ogrodników. Są przesłuchiwani najpierw grupowo, potem pojedynczo. Nikt nic nie wie, nikt nie ukradł ogórka, wszyscy są niewinni, nie przyznają się do zbrodni. Sułtan się nie poddaje. Ogórek zniknął, nie ma go, był i przepadł, ktoś jest winien, tylko kto?

Wszyscy przysięgają na portki proroka, na matkę i dzieci.

Sułtan nie szczędzi środków, torturuje, kastruje, okalecza, łamie kołem, krzyżuje, siecze i przypala biednych ogrodników rozżarzoną żelazem. Nic nie działa. Zaklinają się, że są niewinni.

W końcu rozwścieczony sułtan przestaje się patyczkować. Musi wiedzieć, co stało się z ogórkiem. Postanawia rozpruć brzuchy upartym ogrodnikom i wyjąć wnętrzności.

Historia nie zdradza, czy ogórek się odnalazł. Nie o to w niej chodzi.

O co w historii chodzi, zależy od tego, kto i komu ją opowiada. Co zostaje podkreślone, jakie są wnioski. Historia sama w sobie nie mówi nic, nie ma historii samej w sobie. Pojawia się dopiero, kiedy zostaje opowiedziana, dopiero wtedy można wyciągnąć wnioski.

I to właśnie jest wątpliwe w opowiadaniu — może posłużyć za dowód na wszystko.

Że sułtan był szaleńcem, że takie były zwyczaje, że kiedyś było inaczej. Że teraz jest o wiele lepiej, bo sułtan wysyła rakiety Scud, zamiast osobiście rozpruwać brzuch temu, kto ukradł ogórek albo zajął źródło ropy.

Układać opowieść znaczy umniejszać, wypaczać, przekreślać i naciągać, historię pisze zwycięzca.

Człowiek jest tak straszny, że brak słów. Ale układa opowieści, jak gdyby nigdy nic.

Więcej wina mi lejcie, więcej wina,  
opowieść o tulipanach zaczynam;



jesień idzie i wiosny kwiat nie  
zobaczy przez tysiąc lat.

Tak pisał sułtan Mehmed i trudno z tego wy-  
ciągnąć jakikolwiek wniosek.

#### TULIPA SPRENGERI

Deszczowego popołudnia w październiku roku 2000  
sadzę pierwsze w życiu cebulki tulipanów.

Tulipanów, dla których mam podziw, respekt i  
nabożeństwo. Żaden kwiat za swą urodę nie musiał  
przecierpieć tyle, co tulipan. Jego nieskalaną czystość  
zbrukały pieniądze i krew.

Po strasznej bitwie Turków z Serbami w Kosowie  
w roku 1389 porównywano tysiące odrąbanych głów  
w kolorowych turbanach na krwawym poboju do  
tulipanów na gigantycznej grzędce.

Potem nastął tulipanowy sułtan i terror.

W Holandii w XVII wieku wybuchło tulipanowe  
szaleństwo. Pęd do spekulacji podobny do naszego  
boomu informatycznego na giełdzie, podobnie  
zakończony krachem.

Napisałam książkę o tulipanowym szaleństwie.

— Trzeba by napisać nową — myślę, kiedy na  
klęczkach, w pelerynie, wciskam w ziemię cebulki  
tulipanów.

Książkę o tulipanach godną książki o tulipanach, nie moją marną przymiarkę.

Marguerite Duras, jeśli nie była zadowolona z książki, pisała ją na nowo. Opowiadała tę samą historię, ale w innej tonacji, z innego punktu widzenia. Opowieść w *Kochanku*, książce, która przyniosła jej nagrody i sławę, została przepisana na nowo od początku do końca.

*Kochanek* był zbyt płytki — uważała Marguerite Duras.

Nie jestem Marguerite Duras, ale czerpię inspirację z jej przykładu. Tylko fakt, że zajmuję się właśnie książką, której nie zaczęłam pisać, powstrzymuje mnie od rozwijania projektu nowej książki o tulipanach. Wszystkie te nie napisane książki, sztuki o Albercie Speerze, o Nefertiti, o Idzie Hammer-sli0i, wszystkie te rozpoczęte i nigdy nie skończone powieści — nie napisane było moim życiem.

Teraz już nie jest. Teraz sadzę cebulki tulipanów.

Istnieją specjalne narzędzia do sadzenia cebulek, ale ja lubię to robić rękami. Twarde narzędzia, nie wiadomo, jak obędą się z delikatną cebulką.

Starannie sadzę trzydzieści cebulek tulipanów na grządce wzdłuż ulicy. Dokładnie tak głęboko, jak nauczył mnie monsieur Le R., na podwójną wysokość cebulki.

Brakuje mi jego słodkiej twarzy małpki, wszystkich szczęśliwych chwil, jakie moglibyśmy prze-

żyć, gdybym tamtego dnia w pergoli znalazła słowa, aby odwieść go od rasizmu.

Trzydzieści drogich cebulek *Tulipa sprengeri* kupiłam na lotnisku w Amsterdamie, to tam należy kupować tulipany. To dla nich zdecydowałam się na przesiadkę w Amsterdamie, a nie w Brukseli, gdzie kiedyś dostałam miejsce w tyle samolotu pełnego unijnych delegatów i pijanych aktorów ze Stadsteatern w Sztokholmie. Nigdy więcej Brukseli.

Na lotnisku w Amsterdamie kupuję cebulki tulipanów za tysiące koron, których nie mam. Płacę kartą, American Express. Pieniądze wpłyną na konto, gdy dostanę honorarium za ostatnią pracę w dawnej ojczyźnie, moją krwawicę.

Czasami dostaję propozycję występu na konferencji jako pisarka znana z telewizji.

Czasami się zgadzam. Nie tylko dla pieniędzy, ale gdyby nie było to tak dobrze płatne, odmawiałabym.

Stać na estradzie przed tysiącem par obcych oczu i uszu, być kimś, na kogo patrzą wszyscy, nie zemdleć i nie paść trupem, pamiętać, co się miało do powiedzenia, i mówić to tuż po występie kabaretu i przed ekspertem od optymizmu — są gorsze sposoby zarabiania pieniędzy, ale nic gorszego mi nie proponowano.

W dwadzieścia minut wydaję całe honorarium.

Poza trzydziestoma *Tulipa sprengeri* kupuję jeszcze cebulki hiacyntów, tulipanów liliokształtnych, papuzich, hiacyntów perłowych, błękitnych i białych, krokusów — czarnego krokusa z żółtym wnętrzem, rzadkiego i odpowiednio drogiego *Crocus korolkowii*. I narcyzy — sześćdziesiąt białych pachnących narcyzów *Narcissus poeticus*. Cebulki są już szczęśliwie zasadzone w ziemi, według wszystkich reguł sztuki i pana Le R.

Nadchodzi zima, deszczowa zima. Grządki stoją pod wodą od października do lutego, nic, co nie jest wyposażone w skrzela, nie ma prawa przeżyć tej mokrej zimy.

Oplakuję swoje *Tulipa sprengeri*.

Patrzę na czarne rozlewiska, powinnam była zasadzić ryby.

#### CZERWONA RÓŻA SOCJALDEMOKRACJI

Decyzję o tym, aby opuścić moją dawną ojczyznę, podjęłam dzięki kasie ubezpieczeń. Dzięki ci, kaso. Całe życie broniłam systemu powszechnych ubezpieczeń przed samowładztwem fundamentalistów rynku po to, żeby doczekać się doświadczenia żywcem wziętego z programu skrajnej prawicy. Zaniemogłam fizycznie i jako chwilowo niepełnosprawna potrzebowałam pomocy — strzeżcie się

tego. Kasę ubezpieczeń przezywają kasą upokorzeń — okazuje się, że to nie żart.

Tak jest.

Moje kontakty z kasą ubezpieczeń zwińczyło sformułowanie zawierające w sobie cały paradoks późnej socjaldemokracji: „Gdybym nie zachorowała, i tak na pewno by mnie to dopadło”.

Madame C. nie rozumie, dlaczego w Szwecji nie trwa permanentny strajk generalny. Nie rozumie nic z mojej dawnej ojczyzny, której oczywiście bronię, gdy tylko ją dezawuuje, i twierdzą, że wszędzie jest tak samo.

W Los Angeles od dawna racjonuje się energię elektryczną. W przodujących we wszystkim Stanach jedzenie gnije w lodówkach i grzeje się coca--cola.

Wkrótce będziemy pocierać o siebie dwa patyki.

W roku 1997 Jacques Chirac spotkał się z To-nym Blairem, aby rozmawiać o rynku pracy i państwie dobrobytu w nowej Europie.

Na koniec Chirac powiedział:

— Sądziłem, że pan, mister Blair, sir, reprezentuje brytyjską lewicę, a ja francuską prawicę, ale na to wcale nie wygląda.

W mojej dawnej ojczyźnie szybciej niż gdziekolwiek indziej odwraca się pojęcia.

Zegar biegnie do tyłu, jesteśmy już w dobie filantropii.

Wkrótce zlikwidujemy przytułki, chociaż są bezdomni. Tylko człowiek usta otworzy, a już wiadomo, z jakiej jest klasy. Zęby zdradzają przynależność do niższej, która według rządzących jednak nie istnieje, bo wśród ich postulatów jest jej likwidacja, choćby siłą.

W bójkach obowiązuje stara reguła — nie bije się leżącego.

Już nie obowiązuje.

Teraz bije się zwłaszcza leżącego.

Przemoc na ulicach nie rodzi się na ulicy, przychodzi z góry. Osoba pozbawiona praw — albo grupa osób — uciskana, może się wściec, to znana rzecz. Zdumiewające bywa czyjeś zdziwienie faktem, że ludzie bez widoków na przyszłość potrafią się wykoleić.

Przemocą jest obłuda rządzących, pogwałceniem miru domowego w domu, gdzie wiąże się koniec z końcem tylko dzięki kuponom rabatowym, a lody kupuje dziecku, kiedy jest przecena. Jątrzenie przeciw dzieciom i staruszkom jest przemocą.

Mówienie staruszkom, którzy właśnie przestawili się na telefon z przyciskami i zadowoleni wciskają gwiazdkę, że teraz mają dysponować swoją marną emeryturą poprzez Internet — to jest dopiero przemoc.

Przemoc poprzez zmuszanie do wyboru — ludzie poganiani są na każdym kroku, aby coś wybierać, na chybcika i od razu.

Próbują dzwonić, a tu telefon głuchy — nie wybrali operatora.

Pociąg nie przyjeżdża — operator zbankrutował. Wszyscy ci operatorzy, zewnętrzni, wybrani w drodze przetargu, są mordercami najętymi przez władzę, aby ćwiartować społeczne ciało — przemoc, przemoc, przemoc.

Przemoc niesprawiedliwości, w myśl której zdolni, ci, co mają łokcie i zęby, fart i przedsiębiorczego ducha, otrzymują ulgi podatkowe i przywileje. Karierowicze, pochlebcy, szydery, wazeliniarze, którzy zmieniają poglądy, jak im pasuje, paktują ze złem i zawsze mają wolną drogę odwrotu, wykręcają się od płacenia; wiarołomni są nagrodzeni, natomiast ci, co pozostali wierni, lądują na bruku.

Tego, kto przystaje, by się zastanowić, bez pardonu oskarża się o wsteczność i niszczy.

Tych, którzy się wahają, wątpią, powolnych, nieporadnych, chorych, starych, uczciwych, ze wsi, nieelokwentnych, nadwrażliwych, śmiesznych, zbytucznych, nieułożonych, wątpych, niezdarnych, nieśmiałych, kruchych, opóźnionych, umierających, wyczerpanych, wytarmoszonych, wycyckanych, tych w potrzebie i w bólu — wszystkich ich trzeba wdeptać w błoto.

Tyle jest powszedniej przemocy, że samo słowo co chwila oznacza coś nowego — cięcia, redukcje, prywatyzację — dziką przemoc, która przekracza zdrowy rozsądek i wszelką ironię.

Po międzynarodowym spotkaniu na szczycie w Göteborgu policja dostała od władz czerwone róże. Dziewiętnastoletni chłopak manifestujący przeciw globalnemu brakowi demokracji zostaje postrzelony na ulicy w drugim co do wielkości mieście mojej dawnej ojczyzny, a ci, co strzelali, dostają czerwone róże, symbol demokracji.

Proszę swojego dziadka, aby pozostał w grobie.

To, co mnie spotkało, zdarzyło się w kasie ubezpieczeń, ale mogłoby zdarzyć się gdziekolwiek. Na peronie podmiejskiego pociągu, na wiejskiej mszy, w kolejce mieszkaniowej, w mieście. Sztokholm należy do najdroższych i najgłębiej podzielonych miast świata — radź sobie albo giń.

Zrobiłam i jedno, i drugie.

Skorzystałam z systemu, który tak krytykuję, obłowiłam się kosztem tego, w co wierzę. Wykupiłam mieszkanie i sprzedałam je z zyskiem, dzięki czemu mogłam sprawić sobie dom za granicą.

Tak to wygląda: paskudnie. Wyjechać to tchórzostwo i niegodziwość wobec tych, co zostają, zostawiłam towarzyszy niedoli, uciekłam.

Wcześniej jednak ostrzegałam publicznie, wygłosiłam buntowniczą mowę, dostałam oklaski,



choć nic nie wskórałam. Było to na jednej z konferencji poświęconych optymizmowi na rynku pracy wśród ludu kiedyś pracującego w mojej dawnej ojczyźnie.

Na konferencji występowali trzej artyści kabaletowi, z czego jeden z gitarą, ekspert od optymizmu, policjant i ja.

Przy aplauzie publiczności wygłosiłam płomienną mowę przeciwko władzy. Tysiąc pięciuset słuchaczy zgadzało się ze mną, alleluja. Aplauz był jednogłośnie, atmosfera doskonała, znali mnie z telewizji. Mogłam przeczytać coś z *Kapitału* albo *Mein Kampf*, a wszyscy i tak by klaskali.

— Zróbcie coś — mówiłam. — Protestujcie. Nie chowajcie pięści w kieszeni. Nie zaciskajcie zębów, bo je stracie.

Stawiajcie władzy wymagania, nie popuszczajcie.

Żądajcie wyjaśnień, na co się wydaje pieniądze podatników, jeśli cała infrastruktura się sypie. Nie płacie podatków, dopóki się nie wyjaśni, na co idzie każda korona. Stwórzcie depozyty podatkowe, fundusze — tak, by zrozumieli to ekonomiści.

— Komu przyjdzie dźwigać to wszystko? — pytałam. To była konferencja dla kobiet.

— Kto będzie zmieniał pieluchy staruszkom i opatrywał rany synów? Kto będzie znów stał przy kuchni i rodził dzieci wśród garnków, bo porodówkę zamknęli? Kto?

Mówiłam tak, wszyscy zdawali się poruszeni, więc ciągnęłam dalej: — Zróbcie coś, zbojkotujcie wybory, odbierzcie kraj tym talibom wzrostu gospodarczego.

Nie jesteście bydłem, cielęciem wiedzionym na rzeź, odzyskajcie życie, władzę nad swoim życiem.

Zróbcie tak jak ja, ale po swojemu. Nie załamujcie się, wyłamujcie się. Nie narzekajcie, zróbcie coś, próbujcie!

Coś przecież jeszcze zostało, każdy coś jeszcze ma. Kraj albo region, chałupę, która stoi, odkąd wuj Eddie wyemigrował do Minnesoty. Poletko ziemniaków, komputer, kilka sosenek. Smardze, starannie sparzyć. Łosie, sarny, jagody. Mgliste poranki w sierpniu, błękit wiosny. Romantyzm albo surowość. Księżyc nad Angermanalven.

Agitowałam jak kapłan, jak teatr proletariacki, Che Guevara, Jokke z Jokkmokk.

Nie ma nowego języka dla takiego buntu, a jeśli jest, to, jak zwykle, go nie znam. Jeśli jest, to niech ten, kto wie, gdzie kielkuje, sprawi, żeby wy dostał się na powierzchnię i wywrócił mównicę.

— Koniec ze mną i moim pokoleniem — powiedziałam. — Skończcie z nami.

Dostałam ogromne owacje, a w podziękowaniu za „pasjonujące, odważne i orzeźwiająco zabawne wystąpienie” wielki bukiet czerwonych róż. Czer-

wonych róż socjaldemokracji, które ususzone wiszą dziś na belce pod sufitem w moim domu w Fi-nistere.

### **PRZESIEDLONA PIENIACZKA**

„Przesiedlenie” to słowo-obelga, policzek dla każdego, kto wyniósł się ze Szwecji. Szwedzcy przesiedleńcy skarżą się na za wysokie podatki, nazywają Szwecję „krajem akuratnym”, śmiesznie poubierani grają w golfa gdzieś w ciepłych krajach, gdzie żyją pasożytniczym życiem emerytów.

„Pieniacz” to coś jeszcze gorszego. Pieniacz to obłąkany paranoik, który wszystko, co go spotyka, tłumaczy złymi intencjami państwa, co chce go ubezwłasnowolnić, który kolekcjonuje akty niesprawiedliwości i pogwałcenia praw ze strony osób prywatnych i instytucji takich jak kasa ubezpieczeń.

Być przesiedlonym pieniaczem to dno absolutne, *le pire*.

Cudzoziemiec nie może wykupić abonamentu na telefon komórkowy w Finistere. Trzeba udowodnić, kim się jest, na tak wiele sposobów, że to niemożliwe. Nie ma aż tylu dowodów na istnienie człowieka. Kupić dom to pestka w porównaniu z abonamentem komórkowym.

Bezskutecznie okazuję przy trzecim już podejściu wciąż nowe dokumenty antypatycznej młodej osobce z plastikową tabliczką w kłapie: *Klient ma zawsze rację*.

Próbuję tłumaczyć, że nie mam żadnych szans, aby umknąć przed zapłaceniem rachunku, Interpol znajdzie mnie wszędzie. Pokazuję szwedzką komórkę i abonament stamtąd.

Nic nie pomaga. Poza kopią rachunku za elektryczność, wodę i telefon oraz wszystkich stron w paszporcie, trzeba jeszcze pokazać Carte de Se-jour.

Mam zaświadczenie z merostwa, z podpisem urzędnika i pieczętką, że złożyłam podanie o Carte de Sejour. To nie wystarcza. W miłym memu sercu merostwie zawsze byłam traktowana bardziej niż poprawnie. Pomogli mi wypełnić odpowiedni blankiet, kiedy potrzebowałam pozwolenia na przebudowę garażu albo wstawienie okien w dachu — *permis de construire*. Nie *permis de conduire*, prawa jazdy, o które próbowałam wystąpić. Ale jako że nikt w Finistere nie stara się o prawo jazdy, żeby wstawić okno w dachu, wszystko poszło dobrze.

Kiedy pytam o cenę wody w Finistere, każdy stara się sprawdzić dokładną cenę metra sześciennego wody w gminie.

Pomogli mi z kasą chorych i rejestracją samochodu — *immatriculation de vehicule*. Nic nie szko-

dzi, że proszę o blankiet niepokalanego poczęcia, *Immaculee-Conception*, i tak dostaję właściwy. Me-rostwo stało się dla mnie drugim domem, ale teraz jestem w tarapatach, bo chodzi o abonament komórkowy.

Niesympatyczna osóbką wykonuje tylko polecenia, tłumaczy wystrojona w szary mundurek jak w armii w latach czterdziestych.

— Ja tylko wykonuję polecenia — powtarza.

Sztywne stanowiska, rosnąca agresja: z obu stron, ale to ja jestem klientką. Mam zawsze rację, a ona ma mi ją przyznać.

Ani myśli. Patrzy na mnie bez cienia uśmiechu, jest w Finistere wyjątkiem, który potwierdza regułę — ignoruje moją obecność. Tylko że ja ignoruję ją jeszcze bardziej — długo mieszkałam w Sztokholmie i jestem zaprawiona w takich bojach.

Opuszczam centrum techniczne, wdzięczna, że nie w czas wojny.

Za to poczta, La Poste!

W czasie bytności w mojej dawnej ojczyźnie wysyłam do Finistere paczkę ze swoimi rzeczami i dokładam dwa opakowania kremu, drogiego kremu do twarzy o rewolucyjnym działaniu na skórę. Kiedy odbieram paczkę na poczcie, widzę, że jest otwarta. Nie brakuje niczego, z wyjątkiem drogiego kremu. Zgłaszam brak, po czym przez

jakiś czas dostaję serię pełnych szacunku listów, gdzie zaręcza się, że dokonano nadludzkich wysiłków, aby zbadać, co stało się z moim kremem, oraz zapewnia się mnie o uniżonym poszanowaniu i nieustającej atencji ze strony poczty. W ostatnim liście zdruzgotany autor pyta z nadzieją, czy łaskawie zdobędę się na wybaczenie, że kremy się nie odnalazły, obiecuje odszkodowanie, nawet jeśli pieniądze nie są w stanie zrekompensować straty, rzuca mi się do stóp i błaga o wyrozumiałość. Muszę pójść na pocztę i odebrać gotówkę.

Ponieważ leży to w mej naturze, niejedną raz pozwoliłam sobie wylać całą swoją wściekłość na kogoś, kto według mnie zawinił.

W kasie oszczędnościowej, gdzie trzymam pieniądze, dostaje się kupony, którymi można opłacać rachunki.

Odkąd wylądowałam w Finistere, nie robię nic innego, tylko płacę za pomocą takich kuponów. Nie jestem od tego ani szczęśliwsza, ani nieszczęśliwsza.

Za każdym razem staję przy kasie i coraz bardziej wzburzona domagam się, aby wydano mi RIPP. Tracę cierpliwość, wydzieram się *absurde, stupide* na kolejnego blednącego kasjera, który próbuje się przeciwstawić memu uzasadnionemu żądaniu.

— Jestem RIPP, s'il vous plait, jestem RIPP.

Kolejka za mną coraz dłuższa, a ja wciąż się upieram, żądam RIPP, co za niedorzeczność i jaki idiotyzm, że nie chcą mi ich wydać. Czoło kasjera pokrywa perlisty pot, krople występują mu na zakola, podobne do korony cierniowej:

— Madame Mastę, czy jest pani pewna, że nie chodzi o RIB?

— Jestem RIPP, RIPP, RIPP. — Kolejka za mną nie ma wątpliwości, że nie należę do tych, co łatwo ustępują.

Kończy się tak, że sponiewierany kasjer wypisuje RIB. Rozpoznaję papierek, wychodzę, postanawiam zmienić bank.

Przesiedleni Szwedzi zawsze skarżą się na szwedzkich biurokratów. Według mnie nie ma żadnych biurokratów, tylko gładka biała ściana. Szwedzcy urzędnicy przeszli kurs niereagowania. Nauczyli się mówić *słyszę, co pani mówi*, i niczego nie słyszeć.

W Finistere jest inaczej. Odpowiadają. Z irytacją, jeśli się okazuje irytację, z niepokojem, jeśli się okazuje niepokój.

Dostaję gruby plik papierów z kasy chorych dla literatów, do której chcę się zapisać po tym, jak skończyło mi się ubezpieczenie na blankiecie unijnym, i nie rozumiem ani słowa z tych wszystkich

paragrafów. Zabieram je do miejscowej kasy ubezpieczeń i z największym niepokojem i najgorszymi obawami podaję urzędnicze, która zdaje się równie zaniepokojona i pełna obaw. Przegląda blankiety i mówi, że nic z tego. *C'est impossible, madame*. Po chwili namysłu jednak się rozpromienia, a ja z nią.

Jest sposób. Nachyla się i wyjaśnia, że w myśl prawa mogę jako mieszkanka Finistere dostać ubezpieczenie chorobowe na cztery lata, jeśli się zatrudnię i przepracuję sześćdziesiąt godzin.

Niepokój mija, wszystko się ułoży.

Nic się nie ułoży. Pięćdziesięcioletniej kobiecie bez dyplomu jest równie trudno dostać pracę w Finistere, co w mojej dawnej ojczyźnie, taki wielbłąd nie przejdzie przez ucho igielne. Znajduję w końcu jakieś zakłady drobiarskie, gdzie potrzebują ludzi do skubania kurczaków, ale kiedy przyjeżdżam na miejsce, przede mną stoi już sześćset pięćdziesiąt kobiet w moim wieku.

Przerażona zerkam znów na plik papierów z kasy literatów. *Impossible*. Nie chcę więcej niepokoić urzędniczki z kasy ubezpieczeń, muszę ukoić swój niepokój sama. Szukać pociechy, choćby chwilowej. Coś sobie kupić na pocieszenie. To wtedy znajduję Ingrid Bergman, różę *hybrida*, za siedemdziesiąt procent ceny. Zapakowaną w torebkę wiozę ją



do domu i wkopuję na głębokość odpowiednią dla jej nagich korzeni.

Niepokój przechodzi.

Ingrid Bergman, która udzieliła imienia róży, była sławna i bogata, a jednak śmierć ją zabrała przedwcześnie, tak jak Jacqueline Kennedy i Lindę McCartney, najbogatszą wegankę świata. Nie ma ratunku. Śmierć przychodzi, kiedy chce, nikt nie zna godziny.

Całkowicie nieubezpieczona, ale pocieszona podlewam obficie Ingrid Bergman. Kiedy umrę, żadna róża nie zostanie nazwana moim imieniem, *tant pis*, będę raczej ziemniakiem, garstką ziemi.

#### „LE MONDE”

Moja gazeta codzienna jest większa niż „Le Monde”.

Któregoś dnia natrafiłam na dane statystyczne dotyczące prasy i okazało się, że moja lokalna gazeta jest większa niż wszystkie dzienniki paryskie razem wzięte, większa niż „Prawda”, niż „The Times”.

Moja lokalna gazeta ma 790 043 prenumeratorów, a wśród nich jestem ja.

Nie mogłabym żyć bez porannej gazety.

Tak się mówi. Niechlujnie.

Człowiek nie może żyć tylko bez wody i nadziei.

Gazeta poranna pomaga mi zrozumieć, jak się sprawy mają i na czym stoje.

Talibowie w Kabulu, trybunał w Hadze, wioski w Kosowie, strzały w Góteborgu i Genui; to, co zdarza się na świecie, zdarza się mnie.

Tam, gdzie byłem dzieckiem, czytano „Lanstid-ningen” albo „Lansposten”. Obraz świata, jaki się miało, zależał od tego, którą się czytało gazetę. „Lan-stidningen” był dla socjaldemokratów, „Lansposten” dla zrzeszonych chłopów i prawicy.

Każdy wiedział, po której stoi stronie i kto stoi po przeciwnej. Jasno i wyraźnie. Najmniejsze dziecko i każdy pies wiedział, że są dwie strony.

Odkąd nauczyłam się czytać, czytałam gazetę codziennie. Wojna w Korei, Eisenhower, J. Edgar Hoover — aż po wiadomości lokalne. W gazecie najbardziej zastanawiały mnie dziwne ogłoszenia, zamieszczone po narodzinach, ale przed nekrologami, gdzie można było przeczytać: *Uprasza się o nieskładanie życzeń w dniu moich urodzin.*

Albo: *Uprasza się uprzejmie acz usilnie o nieskładanie życzeń w związku z moimi urodzinami. Jestem w podróży.*

Uprzejmie acz usilnie odmawiać obchodzenia urodzin — kto robi coś tak głupiego?

Nigdy nie prosiłabym o nieskładanie życzeń na urodziny; jeśli było co fetować, to właśnie fakt, że

jeszcze jeden rok dzieciństwa dobiegł końca, urodziny dowodzą, że czas posuwa się naprzód, a nie do tyłu.

Nigdy nie zamieściłabym takiego ogłoszenia.

Takie ogłoszenia zamieszczali starzy kawalerowie. Samotny jegomość za firankami w starej chałupie, który co dziesięć lat zamieszcza ogłoszenie, że prosi o nieskładanie życzeń na pięćdziesiąte czy sześćdziesiąte urodziny.

Na siedemdziesiąte już nie, nie ma sensu wyrzucać pieniędzy, bo i tak nikt nie przychodzi.

Gdyby ludzie ze wsi nie widzieli go z taczka, z widłami, jak ładuje gnój, myśleliby, że nie żyje. A on nadal gotuje kwaśną kawę, nakręca zegarek, czyta w wygodce magazyn „Allers”. Czyści ze śniegu buty świerkową gałęzią, jeśli jest zima, zabija komary, jeśli lato.

Jesienią wykopuje ziemniaki.

Rok po roku, aż do dnia, kiedy się wiesza. Albo idzie do lasu ze sztucerem. Albo na bagna.

Miał tylko siebie. Nikt mu nie mówił, że ziemniaki są dobre.

Uprasza się o nieskładanie wieńców. Żeby ich nie wyrzucać niepotrzebnie, żadnych róż i takich tam. Chabry. Gałązki brzozy. Cały kościół ozdobiony.

Pierwiosnki.

Jak te, które zawsze zbierałyśmy z siostrą, wciągając ich silny zapach, z twarzą zanurzoną w bukiecie.

Aż oczy łzawiły. Puchły. Dostawałam egzemy, miałam rany u nasady włosów. Bo jestem ruda — tłumaczył lekarz — brzydka, ale nie chora.

Gdy byłam dzieckiem, nie podawano zaraz kor-tyzону z powodu ukąszenia komara.

Jedyny ratunek dla takiego nieboraka jak ja to się nie pokazywać — twierdziła momma. Niech cię nie słyszą, niech cię widzą jak najmniej. Żadnego pajacowania, żadnego gadania.

A jednak się pokazywałam.

Podobno rudzi łatwiej wpadają w złość. Jako dziecko złościłam się wyjątkowo. Nie pomagało, że jestem dziewczynką. Dziewczynka nazywa się w moim dialekcie *st&scha* albo *st&sche* w wołaczu.

— Olaboga *st&sche* — powtarzała momma. — Olaboga.

Jedynе wspomnienie z dzieciństwa to wspomnienie ze wsi. Obraz, którego nie ma na fotografiach wywoływanych przez ojca w komórce w chlupoczącej czerwonej wodzie. Obraz nie poświadczony przez nikogo, jedyny, jaki zachowałam z dzieciństwa, przez które chciałam przejść jak najszybciej, żeby przestać być brzydka i złośliwa. Dopiero później wpadłam na to, że dzieciństwo jest

całkiem zabawne, pełne pierwiosnków i konwalii, podbiału i rydzów, grania w kulki i zjeżdżania w stronę torów, kiedy się zbliża szynobus. W dzieciństwie chciałam tylko się przez nie prześlizgnąć. I zachowałam z niego jedno jedyne wspomnienie, przez nikogo nie potwierdzone, na które nie mam świadków.

Stoję za sklepem spółdzielczym. Tamtędy szła droga, bardziej podobna do ścieżki. Można było iść ze sklepu do tartaku albo odwrotnie.

Stoję naprzeciwko jakiegoś dziada. Wiem, że jestem małą dziewczynką, sięgam mu raptem do pasa.

Stoję naprzeciw niego. Ma kapelusz.

Jestem tak mała, że głowę mam na wysokości jego ptaszka. Nie o to jednak chodzi, nie wyciągnie go, nie będzie mnie obmacywał po tyłku ani nic z tych rzeczy.

Mimo to dziad jest moim wrogiem. Tam na ścieżce powiedział coś obraźliwego. Czy to było o mommie, o ojcu, czy coś o dziadku albo babci, tego nie pamiętam i nie pamiętam też, co powiedział. Na pewno jednak było to coś obraźliwego, coś złośliwego, coś o moich najbliższych, i trafił w czuły punkt.

Stoję na zboczu za spółdzielnią naprzeciwko tego dziada i ze złości aż pluję.

Pluję na niego i przeklinam. Może jestem mała, ale gębę mam niewyparzoną. Wszystkie usłysza-

ne przekleństwa, wszystkie, jakie znam, rzucam w jego stronę.

Jego kapelusz wisi nad nami obojgiem.

Wiem, co mówię, wiem, że to brzydkie.

On też musi wiedzieć, inaczej bym nie mówiła. Ten dupek powiedział coś, na co muszę tak odpowiedzieć. Coś, co mu nie ujdzie na sucho.

Nie pamiętam, jak się nazywał ani jak wyglądał. Nie należał do naszego rodu, nie był jednym z naszych.

Świński dziad był jednym z obcych. Z tych, których bydło sika nam do studni.

Jest z tych po drugiej stronie i powiedział o moich coś obraźliwego, pieprzony dupek zołędny.

Pluję, ale równie dobrze mogłabym rzucić kamień. Albo butelkę z benzyną.

Jest wojna, wiem, że jest wojna. Wyraźnie usłyszałam, co powiedział, muszę bronić naszych, inaczej wszystko diabli.

Nie przestanę, nie poddam się.

Gdyby to był ktoś inny, kiedy indziej, jakiś facet z miasta, który nie wie, jak to jest we wsi, może by się tylko roześmiał. Facet z miasta poczochnąłby mi włosy i dał cukierka.

Ale nie ten, nie z tej wsi. Temu nie jest do śmiechu.

Stoi naprzeciw mnie i spogląda w dół spod kapelusza.

A ja gapię się do góry. Każdy po swojej stronie słońca, przez głowę przelatują mi błyskawice.

Pluję.

Kto odejdzie pierwszy — nie ja. Stoję nadal na zboczu nad sklepem.

Mężczyzna wygrywa.

Przegrałam, jestem zdrajcą, zdradziłam swoich. Zhańbiłam cały swój ród. On teraz może wrócić do siebie i opowiadać, jakie u nas złośliwe bachory. Co to za ludzie. Tatarskie nasienie, sikają na śniegu, muzułmanie, chrześcijanie, Żydzi, Arabowie, Macedończycy, Albańczycy, Turcy, Azjaci. Ta smarkata była jak jakiś Rusek, bez krzty wstydu.

Ma rację.

Jestem zdrajcą, zhańbiłam swój ród.

Wiedziałam, że jest wojna, ale nie, że front przebiega przeze mnie. Że stoję na granicy. Wszyscy, którzy rodzą się we wsi, stoją na granicy, są albo po jednej, albo po drugiej stronie. Po którejś stronie musi się być.

W przeciwnym razie trzeba iść na bagna, uprasza się o nieskładanie życzeń w dniu moich urodzin. Żadnych brzoźowych gałązek w kościele.

Żadnych pierwiosnków.

Nadal pluję. Każdego ranka, gdy czytam gazetę, pluję. Żyję, więc pluję.

Pluję.

Właśnie kiedy notuję to wszystko i znajduję wreszcie załączek opowieści — wioska, porównanie wioski, w której byłem dzieckiem, choć nietutejszym, z wioską w Finistere, gdzie zawsze będę cudzoziemką — właśnie wtedy dzwoni komórka.

Ogarnia mnie przemożna chęć opisanie błogosławieństwa i przekleństwa obcości. Na tym zbuduję książkę. Wieś i jej tajemnice, język, klimat, konflikty, które łatwo rozniecić tak, że zapanuje wojna.

Przynależność i obcość.

Ogarnia mnie gorączka pisania, odnajduję język, siły napływają.

Gdyby tylko komórka ucichła, czemu nie wypowiedziałam szwedzkiego abonamentu, czemu dzwoni właśnie teraz? Dzwoni i dzwoni.

Odbiorę czy nie, tak czy owak przeszkadza. Odbieram.

Dzwonią z „Aftonbladet”, sztokholmskiej popo-ludniówki.

Dziennikarz chce ze mną rozmawiać, ponieważ jestem ruda. Naukowcy doszli do wniosku, że rudowłosi są spokrewnieni z neandertalczykiem, i co ja mam na ten temat do powiedzenia?

— Ja już tu nie mieszkam — mówię, wyłączam komórkę, wyciągam baterię i wyrzucam kartę sim.

Zrejterowałam, ot, co.



Śmierdzi z kanalizacji. Jeszcze zanim kupiłam dom, kiedy byłam tu za pierwszym razem, czułam tę woń. Ponieważ jednak od razu się zdecydowałam, chciałam o tym zapomnieć. Odkąd się wprowadziłam, próbowałam o tym nie pamiętać, ale na próżno, wstrzymywałam oddech, zatykałam nos wacikiem, nic z tego, fakt jest faktem: śmierdzi. Mniej lub bardziej w zależności od pogody, ale śmierdzi.

Odływ jest za tylnymi drzwiami i prowadzi do szamba kilka metrów dalej.

Często o zachodzie słońca siedzę z herbatą na schodach za domem, drzwi zostawiam otwarte, tak że telewizor mam w zasięgu wzroku. Właśnie wtedy, kiedy wieczorne słońce pada na schody, na wszystkich kanałach nadają wiadomości, a na jednym quiz „Questions pour un champion”, który prowadzi Julien Lepers, wielki popularyzator oświaty Julien Lepers. Tuż przed zmrokiem i porą podlewania.

Wiele było wieczorów z wiadomościami i „Questions pour un champion”. Dłużej jednak nie da się wytrzymać.

Na grządce obok szamba posadziłam pachnące zioła — miętę, tymianek, melisę cytrynową, rozmaryn. Lawendę. Mięta jest wielkości świątecznej choinki.

I tak śmierdzi: gównem i melisą cytrynową.

Najgorzej wieczorem przy pięknej pogodzie.

Zimą, kiedy przychodzą sztormy i zacina deszcz, smród znika, nie czuje się go. Wtedy, kiedy mogłoby sobie śmierdzieć ile wlezie i nikomu nie wadzić, nie śmierdzi.

Kłopoty pojawiają się przy pięknej pogodzie.

Śmierdzi w dwóch miejscach.

Przy schodach, gdzie wieczorem piję herbatę i oglądam telewizję, i w garażu, gdzie ma być pokój gościnny. Ważny pokój gościnny, nazywany przez zamówionego do instalacji prysznic i toalety mon-sieur Godota *Le coin des amis*.

Pokój gościnny, obok poczty elektronicznej, telefonu i La Poste, jest mi tu niezbędny do życia. Fakt, że mieszkam w Finistere, nie powinien stwarzać dystansu między mną a przyjaciółmi. Przeciwnie, jak tylko pokój gościnny będzie gotowy, z osobnym wejściem, tosterem i kuchenką, będą tu mogli przyjeżdżać, kiedy tylko zechcą, i nasze stosunki się zacieśnią.

Będziemy na wyciągnięcie ręki, ale przez drzwi zamykane na klucz.

Dlatego w kącik przyjaciół włożyłam tyle serca. Czekanie na monsieur Godota, hydraulika. Planowanie wszystkiego, co zrobię sama, kiedy on zainstaluje, co trzeba. Kupiłam farbę, szlifierkę, zasłonę do prysznic, umywalkę i muszlę klozetową. Ku-

piłam wiertarkę i sprawdziłam, czy da się wiercić w betonie. Zrobiłam to wszystko, zanim zabrałam się do kanalizacji.

To głupie, nie przemyślane, nieproporcjonalnie drogie i zgodne z moją naturą. I z naturą mojej matki. Przemę do przodu jak snopowiężałka, jak kombajn na żniwach. Zostaje tylko żużel.

Wcielamy w życie nierealne projekty za pieniądze, których nam brakuje. Rzucamy się do przodu, zapominając o konsekwencjach. Nie tyle zapominając, bo przez cały czas denerwujemy się bardzo, ile wypierając tę wiedzę — z wielką energią, choć bez powodzenia — póki jesteśmy w ruchu.

Radzić sobie z katastrofami, które się samemu spowodowało, to codzienne zajęcie ludzi naszego pokroju.

To nie moja wina, że śmierdzi z kanalizacji, ale moja wina, że to zaniedbałam.

Już mam dzwonić do monsieur G., hydraulika, kiedy uświadamiam sobie, że szambo to nie jest robota dla hydraulika, tu trzeba koparki, żeby wykopać dół i zastąpić szambo nowym zbiornikiem.

W Clohars jest ktoś, kto to robi, monsieur G. od koparki, według madame C. drogi i trudno osiągalny monsieur G. od koparki.

Dostałam od madame C. numer telefonu, ale ponieważ i tak mnie nie stać, żeby go tu sprowadzić, nie zadzwoniłam. Zresztą podobno nigdy nie

przyjeżdża. Kolejny monsieur G., na którego trzeba czekać, to w tej chwili dla mnie za dużo.

Jest tylko jeden sposób, aby wytrzymać smród z kanalizacji — pogodzić się z nim. Zaakceptować go. Przestać próbować o nim zapomnieć, wstrzymywać oddech i zatykać nos. Pozwolić, aby istniał, bo istnieje ponad wszelką wątpliwość.

Tutaj po prostu tak śmierdzi, tak już jest.

Przystosowuję się. Kanalizacja z dobrodziejstwem inwentarza. Tak jak zapach jaśminu i ka-*pryfolium* przy pergoli, pachnący groszek wzdłuż ogrodzenia, zapach Madame Alfred Carriere, staroświecki zapach róży i zapach ziół, przerośniętej mięty i melisy cytrynowej.

Za drzwiami śmierdzi gnojem.

Jak z obornika, zapach naturalny i przyjemny.

#### Z PRZYJEMNOŚCIĄ ZABIJAM MAŁE ŻYJĄTKA

Po fali ciepła w końcu maja rośliny w ogrodzie zaczynają chorować, jakby wybuchła dżuma.

Żywopłot różany ma czarną plamistość liści. Ingrid Bergman, Cuisse de Nymphe i Madame Alfred Carriere mają mszyce, krzaki wawrzynu mącznia-ka, kapryfolium robaki, chrząszcze zjadają łodyżki malw, które właśnie zaczęły kiełkować.

*Pittosporum* od strony ulicy gubi liście: żółte, podługne, grube spadają na ziemię jak łyzy, a na na-

sturcjach żerują czarne kolonie nieruchliwego robactwa, co zżera liście od spodu.

Nasturcje kosztowały tyle pracy, zajęły tyle miejsca i czasu. Białozółte pędy na parapecie, podobne do drucików, przerywać pincetą. Taki wkład nużącej pracy, a potem zjawia się robactwo i załatwia wszystkie nasturcje. Nieruchliwe, ale ohydne, kiedy tak żeruje, nie wydając żadnego odgłosu, całe mrowie.

Kiedy pierwszy raz widzę pąk róży, na którym roi się od mszyc, ogarnia mnie żądza mordy, o jaką siebie nie podejrzewałam. Chciałabym je dusić własnymi rękami, biorę to do siebie, diabelskie nasienie, nienawidzę ich.

Przyzwyczałam się do furii, wciąż jestem wściekła. Mimo że w Finistere czuję się szczęśliwa, nie opuszcza mnie gniew na rządzących. A przecież nie chciałabym ich mordować ani widzieć pomordowanych. Chciałabym tylko, żeby przestali terroryzować szarego człowieka, żeby przenieśli się do innej galaktyki — ale nie chciałabym ich zamordować.

Mszyce natomiast, cętkowane żółte mszyce z białymi czułkami, przezroczyste, milimetrycznych rozmiarów, o żabich oczach, chrząszcze, gąsienice, robactwo na kapryfolium, nie mówiąc już o tym nieruchawym czarnym, co zżera nasturcje — wszystko to chciałabym wymordować, wytrzebić, wple-

nić. Nienawidzę ich wszystkich razem i każdego z osobna.

Mój ojciec miał na pewno jakiś ludzki i organiczny sposób na pozbycie się tych nieruchawych mszyc, jakiś wywar z arcydzięgla. Albo też, jak mademoiselle J., uważał, że powinny się najeść, to same przestaną.

Według mnie natomiast te nieruchawce nie są ludzkie i nie zasługują, by potraktować je po ludzku. Gdyby nie były tak ohydne, rozgniotłabym je w palcach, ale w tej sytuacji muszę pojechać do sklepu chemicznego w Quimperle po truciznę.

Wykupuję wszystkie trucizny i wypisuję czek na zawrotną sumę. Sześć różnych sprejów, trucizna w proszku, dwie paczki niebieskich granulek oraz koncentrat w płynie, tak silny, że na jedną część trucizny trzeba tysiąc części wody — i przystępuję do dzieła. Z przyjemnością zabijam małe żyjątka w ogrodzie, roślina po roślinie, robaka za robakiem, mszycę za mszycą.

Niewiele wiedziałam o śmierci, dopóki nie miałam ogrodu, po roku w ogrodzie wiem o niej wszystko.

Szczęście nie prowadzi ku dobru, to jedyna nieprzyjemna niespodzianka, jaka spotkała mnie w Fi-nistere. Fakt, że szczęście nie czyni ze mnie istoty tolerancyjnej, odbieram jak szok.

Popadam w stan chronicznego szoku.

Znalazłam wszystko, o czym kiedykolwiek marzyłam, a mimo to nie stałam się kimś dobrym; nie jestem lepsza niż monsieur Le R., jestem monsieur LeR.

Jestem o wiele gorsza niż monsieur Le R., o wiele bardziej odrażająca.

Oddaję się złu z premedytacją, z rozkoszą, morduję naprawdę, namiętnie, a monsieur Le R., o ile mi wiadomo, nie wcielił jeszcze swojego rasizmu w czyn.

Morduję namiętnie, z radością biorę się do dzieła.

+

Trucizna pomaga.

Nie działa tylko na czarną plamistość na żywopłocie z róży, drogocennym żywopłocie, w którym rośnie Chrysler Imperial, i na Madame Alfred Carriere.

Natomiast Cuisse de Nymphe, kupiona z przeceny w hipermarkecie E. Leclerc, który ogłosił wyprzedaż w dziale ogrodniczym, rozwija ogromne podwójne śmietankowobiałe kwiaty. Łodyga główna jest gruba jak nadgarstek. Gałązki są zdrowe i soczyste, liście bez jednej plamki.

Ingrid Bergman ugina się od nabrzmiiałych ciemnoczerwonych pąków, które lada moment pękną.

Liście są ciemnozielone i zdrowe, łodyga prosta. Ani jednej plamki, ani jednej mszycy.

Parę karłowatych róż, co w Shopi kosztowały dwadzieścia dziewięć franków sztuka, kwitło i kwitło całą zimę. Teraz wyrosły z doniczek, trzy razy większe, i najwyraźniej nie mają zamiaru na tym poprzestać.

Tanie róże rozkwitają, a drogocenny żywopłot kupiony w szkółce ginie, w pół drogi między życiem a śmiercią. Z każdym dniem coraz bardziej zaciśnięte pączki spadają smutno na ziemię.

Każdego ranka idę najpierw sprawdzić, jak wygląda żywopłot i Madame Alfred Carriere. Coraz gorzej, liście żółkną, całe w jeszcze większych i ciemniejszych plamach, jeszcze bardziej papierowe spadają na ziemię.

Szkółka róż udziela mi rad i proponuje nowe lekarstwa, ale nic nie pomaga. Mademoiselle J. twierdzi, że to przejdzie, jak katar u człowieka, nie ma się czym przejmować.

Jestem coraz bardziej zaniepokojona. Przyjaciele radzili, żebym wzięła psa. Jeśli tak się niepokoję o rośliny — co by dopiero było z psem?

Niepokoję się o to, jak bardzo bym się niepokoiła, mając psa. Nie wezmę żadnego psa.

Stan, w jakim znalazły się Madame Alfred Carriere i Chrysler Imperial, przyćmił wszystko. Także niepokój o nie napisaną książkę. Myślę tylko



o tym, jak czują się moje drogocenne róże, zaczęłam już nawet z nimi rozmawiać.

Opanowało mnie to niepostrzeżenie i bez reszty.

— I co my z tobą zrobimy? Jak się dzisiaj czujesz, ach nie, taka słabiutka i smutna, nasza biedna mała Madame Alfred Carriere. I co tu począć? Ale głowa do góry, o, tak. Dobrze.

Słyszę, jak pieszczotliwym tonem ze współczuciem uzalam się nad różami. To tak, jakby usłyszeć siebie samą wrzeszczącą do komórki, choć najbardziej ze wszystkiego na świecie nie znosi się ludzi wrzeszczących do komórki. Nie umiem wymyślić nic bardziej odpychającego niż kobieta w moim wieku, która chodzi po ogrodzie i współczującym tonem zagaduje do kwiatków — no i właśnie to robię. Próbuję przemówić sobie do rozumu, używając racjonalnych argumentów. Tyle że to, co przemawia do rozumu, nie trafia do odruchów, a do nich zalicza się, najwyraźniej, traktowanie rośliny jak myślącego podmiotu.

Jeśli zacnie się przypisywać roślinom uczucia, to wkrótce można podważać fotosyntezę, a potem głosić dzieło stworzenia, ukrzyżowanie i papieża, skąd już zaledwie krok do talibów.

Tylko patrzeć, jak włożę czador.

Od czasów szkółki niedzielnej buntowałam się przeciw nadużywaniu religii; to zbieranie pienię-

dzy do skarbonek z Murzynkiem Bambo, wmu-szanie kaszanki, bo dzieci w Afryce głodują. Bóg zdrajca i jego pokrętne wyjaśnienia. Żebym wierzyła i przestała grzeszyć, musiałby znaleźć lepsze argumenty niż ukrzyżowanie syna, którego — choćby symbolicznie — mamy potem zjadać.

Wierzący powiadają, że to nie ty masz szukać stwórcy, lecz to on znajdzie ciebie, kiedy przyjdzie czas po temu. Nikt nie zna dnia ani godziny. Żyjące dusze potrzebują stwórcy, człowiek bezbożny nie zna moralności.

To jest nadużywanie słowa „moralność”. Jedyna masowa zbrodnia, jaką popełniłam, dokonała się na nieruchawym robactwie, podczas gdy obłudny stwórca w każdej sekundzie pozwala na masowe zbrodnie, i to na ogół popełniane w jego imię. Jeśli jest wszechmogący, dlaczego nic nie robi na Bliskim Wschodzie? W Północnej Irlandii? Afganistanie? Jak może tak stać i patrzeć, niby jakiś Kofi Annan? I jak może, poważnie rzecz biorąc, pozwolić, żeby papieża obwozili po Gruzji jak pakunek?

Dlaczego nie interweniuje w Rwandzie? Gdzie jest, kiedy w Macedonii jednonogi wnuk wywozi z domu na taczce kolejną staruszkę? Dzieci jako żołnierze w Afryce, AIDS, coraz większa przepaść i brak solidarności bogatych z biednymi, strzały w Góteborgu i Genui — na co jeszcze czeka?

Co on wyprawia i dlaczego każe cierpieć moim różom?

Trzy razy się go zapieram, a kur nie pieje w kurniku u sąsiadów z naprzeciwka. Niech przeklęta będzie ta nasza bezgraniczna tęsknota za wiarą.

Gdyby nie przyjechała madame C. w swoim czerwono-fioletowym renault, gdyby nie jej rozbijające „dzień dobry”, klęczałabym już na grządce i przyzywała Pana.

Jak zwykle sprowadzona przez madame C. na ziemię, podnoszę się i pokazuję jej chory żywopłot i czarną plamistość na Madame Alfred Carriere.

— Proszę spojrzeć, madame C, co z tym począć?

Wzrusza ładnymi ramionami.

— Trzeba spróbować czegoś na mączniaka, co zresztą też nie działa.

Jak róże chorują, to chorują, jak mają umrzeć, to umierają.

Róże nie wyglądają dobrze, nie wiadomo, co z nimi będzie.

Można próbować albo nie próbować.

Człowiek decyduje, co zrobić z różą, ale róża i tak robi, co chce. Jak ma umrzeć, to umiera.

To, że tanie żyją, a drogie umierają, nie dowodzi niczego więcej, niż że w tym jednym przypadku tak akurat jest.

Nigdy nie wolno wyciągać pochopnych wniosków i na ich podstawie podejmować decyzji. Tak brzmi wyznanie wiary, którą głosi madame C, za-

wsze świadoma, że rzeczy są w stanie permanentnej metamorfozy.

Kwiatek zaliczony do jednorocznych potrafi kwitnąć przez lata. Bylina może zaprzestać działalności w połowie pierwszego sezonu. *Les annuelles, les vivaces.*

— Proszę się nie martwić — pociesza madame C, wskazując na drogocenne piwonie.

— Tamte też nie wyglądają zdrowo.

Po czym wsiada do samochodu z gracją, z jaką do samochodu wsiada tylko madame C, przytrzymując sukienkę ręką.

— Do jutra — mówi madame C, oczekując, że zabiorę się do książki.

— Bon courage. A demain.

Odbyło się nasze codzienne spotkanie, już zniknęła, ale woń drogich perfum na groszku pachnącym utrzymuje się w powietrzu.

— A demain, madame C.

Nazajutrz wszystkie róże Chrysler Imperial kwitną.

### ŚLIMAKI I JĘZYKI

Według madame C. największy kłopot jest ze ślimakami.

Ślimakami w skorupach i bez. Ślimakami, co zżerają cebulki tulipanów, korzenie i płatki. Bezkrę-

gowa hołota, co zostawia za sobą lepki ślad w ogrodzie, wstrętne ślimaki — *Ies limaces*.

„Dagens Nyheter”, jedynowładczy dziennik mojej dawnej ojczyzny, zaleca gilotynę — obcinanie ślimakom głów. Albo wylewanie na nie wrzątku. W ten sposób pozbędziemy się szkodników, zapewnia gazeta.

Momma w środkowej Norrlandii używała popiołu. Wyciągała go z pieca i sypała wokół korzeni czarnej porzeczki. Wtedy ślimaki jak oparzone zawracały w stronę warzywniaka.

Babka w majątku pod Sztokholmem używała piwa, nalewanego do bulionówek. Jak w jej rór-strandzkim serwisie coś się wyszczerbiło, wykorzystywała to w ogrodzie. We wsi, gdzie się wychowałam, nie było bulionówek. Zupę jadło się w najlepszym razie z talerza.

Babka wlewała trochę piwa na przynętę i stawiała bulionówki pod czarną porzeczka. Ślimaki, zwabione zapachem, upijały się i topiły w piwie.

U mommy o piwie nie było mowy. We wsi mieszkali sami abstynenci, członkowie loży „Lira”, poza czwórką braci, którzy poili się samogonem i jedli surową kielbasę, ale to inna historia.

Ślimaki trzeba wytępić, bez skrupułów. Bez wewnętrznej walki z sobą, jak w przypadku kretów. Ślimaki muszą zginąć.

Z premedytacją zabić kreta to rzecz nie do pomyslenia, ale pozbyć się oślizgłego ślimaka bez

skorupy na miękkim, kleistym grzbiecie, z oczami na czułkach, jak u Marsjanina — to czysta przyjemność.

Kiedyś znalazłam dziewczynkę, która zjadła takiego ślimaka. Włożyła do ust i przełknęła.

W dialekcie z mojej wsi ślimaki bez skorupy nazywają się *&ma*. W dialekcie, który jest całym językiem, nie żadnym dialektem. Ten język wysłałam z mlekiem matki, to mój język od urodzenia. Gdzie indziej też się to tak nazywa — *langue maternelle, mother tongue*. Kraj, w którym się człowiek rodzi, nazywa się ojczyzną, *Vaterland, patrie*.

Dzieci we wsi założyły się, kto zje ślimaka, *arna*. Odważyła się tylko tamta dziewczynka. Smakował jak jajko — powiedziała, przełknąwszy.

Tak wyglądały dziecięce zabawy, kiedy nie było jeszcze gier komputerowych.

Ta sama dziewczynka widziała, jak umiera jej dziadek. Była z nim na dworze, kiedy powiedział: *jag satter mig lite har*, siadę sobie tutaj. Usiadł na murku i umarł.

Powiedział to w gwarze, w języku mówionym, który nie ma pisanego odpowiednika. Gdyby zapisać to fonetycznie, wyglądałoby mniej więcej tak: *Ja satt ma henan litte ja*.

*Ja* na początku i na końcu zdania znaczy *jag*, ja, i wymawia się jak angielskie *yeah*.

Dwujęzyczność nie jest żadnym darem losu, jeśli od urodzenia zna się takie dwa języki, jak ja. Je-

den bardziej peryferyjny od drugiego. Nie żebym tęskniła za esperanto, ale nie będę demonstrować w obronie dialektów.

Wystarczy, że mamy Bałkany.

Dziewczynka, która widziała, jak umarł jej dziadek, zyskała na długo popularność we wsi. Raz za razem musiała opowiadać, jak wyglądał w chwili śmierci, jak z obu stron zeszło z niego powietrze. Podbródek opadł mu z trzaskiem, ale sztuczna szczęka została na miejscu.

Po szwedzku brzmi to wszystko nędznie i prostacko, ale to jedyny język pisany, nad którym panuję. Język miejski do opisów miasta, wyblakły, pozbawiony koloru, kontrastu i odcieni, jakie ma mój pierwotny język.

Po pięćdziesięciu latach używania szwedzkiego czuję się w nim nadal sztucznie. Jakbym udawała wytworniejszą, niż jestem. Udawać wytworniejszego to dla ludzi ze wsi najgorsza zbrodnia, udawać miastowego, przyciągać uwagę to jest *fjaskut*, a być *huskut fjaskut* to idiotyzm.

Mówić po szwedzku znaczy przejść na drugą stronę. Na stronę władców, panów.

Ten, kto urodził się jedną nogą po tej, drugą po tamtej stronie, będzie ważył słowa i zostanie schi-zofrenikiem.

W Finistere jest inaczej. Tutaj mówię swoim własnym językiem, z własną składnią i koniugacją.





Niczego nie podejrzewając, otwieram kopertę z rachunkiem i nic nie rozumiem. To mój pierwszy w życiu rachunek za wodę, w gospodarstwie na północy mieliśmy własne źródło, a w mieszkaniach w Sztokholmie, o ile pamiętam, woda w ogóle nie miała ceny.

Nie wierzę własnym oczom. To chyba musi być w euro, myślę, ale przecież w euro suma powinna być niższa, a nie sześć i pół raza wyższa. Niemożliwe, żeby woda była aż taka droga.

— Monsieur Godot — wołam. — Niech pan patrzy! Jestem ogromny rachunek za wodę, niech pan patrzy. Jestem ogromny rachunek za wodę.

Tu się mówi „monsieur” — panie Godot.

W Finistere nie pije się wciąż kawy, jak w Szwecji. Gdyby tam, skąd pochodzę, ktoś nie zaproponował kawy, nie zostałby uznany za nikogo dobrego. Gdybym Johnny'ego i Ollego nie zaprosiła na kawę, kiedy kładli rury w domu na wsi, w ciągu minuty wszyscy wiedzieliby, jaki ze mnie skąpiec. Gdybym do tego nazywała ich pan Lundgren i pan Johansson, cała okolica wkrótce dowiedziałaby się, jak po sztokholmsku zadzieram nosa.

Monsieur Godot nie pije kawy. Kiedy jest gorąco, grzecznie proponuję mu coś do picia:

— Pan krzak, monsieur Godot?

Monsieur G. pali jak smok.

— Pali pani? — pyta, podając mi gitany.

— Widzę inni palić, merci beaucoup.

Na sekretarkę malarza nagrywam:

— Dzień dobry być madame, jestem zapomniana jedna rzecz, kiedy pan te rzeczy proszę. Łóżek noga przechodzona. Ja nie zdążyć ją.

Koniec taśmy, dzwonię jeszcze raz:

— Tak! Ta madame znów. Znów. Ściana ta no wy, niedobrze wiem po francusku dobranoc.

Do malarza, kiedy się pojawia:

— Dzień dobry monsieur M., zapytuję się, czy ma pan bardzo mocną rajstopy. Ja jestem tylko zwykła klejąca.

— Wcale nie, wcale nie, ale boję się, że spadnie całkiem.

— Bardzo dziękuję bardzo dziękuję, bardzo miło, dziękuję.

— Merci beaucoup.

Na stacji benzynowej:

— Dzień dobry! Ja wstawić ten gaz do samo chód, dziękuję.

U szewca:

— Buty on patrzy! Ona jesień. Pan móc?

W sklepie dla majsterkowiczów:

— Pardon — ile śpi ta skrzynek?

U fryzjera:

- Dziękuję bardzo, dziękuję.
- Zna pani swój nazwisko?
- Umieć pisać?

Wielki kłopot sprawiają mi nazwiska, wszystkie te nazwiska tak podobne do słów o innych znaczeniach. Im bardziej jestem świadoma pułapki, tym łatwiej w nią wpadam.

U monsieur H. w sklepie przemysłowym:

— Dzień dobry pan Homofil, pardon ja pytanie, kamień.

— Proszę. Tego cement.

Pokazuję mu płytkę:

— To musi dla woda. Dziękuję bardzo miło dziękuję.

Wychodzę z klejem, żeby wrócić nazajutrz:

— Dzień dobry pan Homofil.

— Nie, pardon, pardon, dziękuję, bardzo dziękuję.

— Zapytuję, czy to nie to produkt.

— Dziękuję bardzo miło, dziękuję. Myśleć ja. Dziękuję.

Wracam nazajutrz, w sklepie jest pani H.:

— Dzień dobry pani pana Homofil.

Podaję klej. Pokazuję:

— Pani mąż to produkt.

Raz za razem nazywam pocziwego i, jak rozumiem, głęboko wierzącego monsieur H. panem Homofilem.

I za każdym razem widzę, jak jego podwładny błednie, jeszcze jeden młodzieniec ogarnięty niewymownym przerażeniem z powodu mojego języka, wewnętrznym uchem słyszę jego bezgłośną modlitwę: *Dobry Boże, spraw, aby nie nazywała szefa Homofilem.*

Modlitwa nie zostanie wysłuchana.

Długi czas byłam stałą klientką w drogim sklepie z wyposażeniem wewnątrz kilkadziesiąt kilometrów od mojej wioski. Wszystko w moim domu zostało kupione albo na pchlim targu, albo tam:

— Bonjour, pardon. Jestem lampy. Dziękuję bardzo.

— I mały toster. Żelazny. Dziękuję bardzo.

— Nie, dziękuję. Patrzą inny zanim.

— Także dziękuję na ścianie. Dziękuję bardzo.

Na stoisku z tkaninami i tapetami:

— Przepraszam, wybacz. Ile kosztuje ten?

— Szmaty także również czternaście procent?

— Pani jest American Express?

— Tak, mam.

— Może w torbę, dziękuję bardzo, dziękuję. Jestem samochód na dwór. Zadowolona że tak cebulki. Nie jak nowoczesny, taki mały. Nowoczesny cebulka trudno. Zadowolona, że one takie.

Obrotowy ruch ręką:

— Nie rozumiem się! Dlaczego zmienić cebulki?

— Dziękuję bardzo, dziękuję, au revoir.

W tym własnym języku udało mi się kupić dom z ogrodem. Wykupić ubezpieczenie, naprawić samochód, który zawsze jest stuknięty, gdy wracam na parking ze sklepu, bo tak tu już jest. Sama też kogoś zarysowałam i zwymyślałam go za nieuwagę. A on tylko z głupią miną gapił się na ryse.

— Nie rozumiem się, jeśli pan pozwoli — powiedziałam i czym prędzej pojechałam.

Byłam u dentysty, w merostwie, kasie ubezpieczeń i urzędzie podatkowym; całkiem możliwe, że mój samochód zostanie zarejestrowany, pomimo że starałam się o świadectwo *niepokalanego poczęcia*.

Finisterianie rozumieją.

Zwłaszcza madame C.

U madame C. nie podoba mi się tylko ta sprawa książki, to nieświęte przymierze, w które mnie wciągnęła. Być zmuszoną zbezczęścić swoje uczucia wobec Finistere czymś tak niedołącznym jak język!

Żeby nie spytała o książkę, długo rozwodzę się nad ślimakami i ich tępieniem. I nagle, może dlatego, że to nie jest aż takie ważne, doskonale radzę

sobie z koniugacją i składnią. *Subjonctif, plus-que-parfait, futur anterieur!*

Wiem, jak jest „popiół” i „piwo”. Babka ze strony matki i ze strony ojca, *grand-mere maternelle, grand-mere paternelle*. Nagle potrafię użyć czasu przeszłego: „jedna babka używała popiołu, druga piwa”.

— Spróbuję obu sposobów — czas przyszły.

— Ucieszyłabym się, gdyby udało mi się uporać ze ślimakami — tryb przypuszczający! Korzystam z umiejętności, które musiałam była osiąść, ale dotąd nie potrafiłam zastosować — odmieniam czasowniki posiłkowe jak nigdy przedtem.

Nie wygląda na to, aby madame C. zauważyła, jak dobrze mówię, nie komentuje tego.

Twierdzi, że sama na ślimaki stosuje *Anti-Lima-ce longue duree*, po czym pyta, jak mi idzie z książką. Ot tak, z zaskoczenia, w samym środku odmiany czasownika „tępić”.

— Jaką książką? — pytam. Brzmi to „jakim łóżkiem”, jak zwykle, ale przecież rozumie.

— *Cena wody w Finistere* — mówi madame C. — O jaką inną książkę mogłabym pytać? *Cichy Don?*

#### CZŁOWIEK Z MOELAN

W Moelan był człowiek, który potrafił przepędzić krety, ale umarł.

Człowiek z Moelan jako jedyny wiedział, co zrobić, aby wyprowadzić krety z trawnika i ogrodu na łąkę i do lasu, nie czyniąc im krzywdy.

Przeganiał je.

Nikt nie wie, w jaki sposób, nikomu nie powiedział. Wraz z człowiekiem z Moelan odeszła na zawsze wiedza, jak pozbyć się kretów, nie zabijając ich.

Krety to kłopot dla każdego, poza madame C.

Nie w tym rzecz, że madame C. nie ma kretów w ogrodzie; nie uważa tylko, żeby to był problem.

Mademoiselle J. uważa, że to jest pewien kłopot, ale nie taki znowu wielki, żeby trzeba było coś robić.

Krety nie czynią poważniejszych szkód, żywią się owadami, nie korzeniami, jak nornice i myszy. Ich podziemne tunele tylko spulchniają ziemię, a to jest korzystne — twierdzi mademoiselle J.

Ponieważ krety są częścią przyrody, to człowiek musi się do nich przystosować, a nie na odwrót. Mademoiselle J. mówi jak mój ojciec, ale ja się z tym nie zgadzam.

Dla mnie krety są bardzo niepożądane.

Kiedy nadepnę na ich kopiec, noga się osuwa. Mam wrażenie, jakbym spadała w głąb ziemi, do krainy czarów, jak Alicja.

Na początku kopce wydawały mi się zabawne, ale z czasem zaczęły mnie coraz bardziej złościć.

— Niepotrzebnie — mówi madame C. — A quoi bon?

Kret nazywa się *taupe*.

Wiem, że *taupe*, ale kiedy się denerwuję, wychodzi *taube*. Madame C. jak zwykle rozumie, co mam na myśli, i poprawia mnie dyskretnie. Kiedy jestem bardzo zdenerwowana, zdarza mi się nazywać ją madman C. — wszystkie te płaczące się pod nogami słówka, całe pola minowe.

Dopóki nie przyjechałam do Finistere, nie wiedziałam, że krety mogą sprawiać w ogrodzie tyle kłopotu. Odkąd umarł stary człowiek z Moelan, jest ich więcej niż kiedykolwiek.

Większość w moim ogrodzie.

Krety nie pokazują się ludziom. Nikt, kogo pytałam, nie widział kreta. Człowiek z Moelan musiał je widzieć, ale nie moi sąsiedzi. Ani monsieur Le R., ani madame C. Ja też nie.

Do czasu. Któregoś dnia o mało nie rozdeptałam kreta.

Leży sobie na grzbiecie, zamiast łapek, na brzuchu składa łopaty. Krecioczarny. Zadziwiające. Martwy.

Jest dużo mniejszy, niż myślałam, wielkości leminga górskiego.

Ale leming w Finistere — to wykluczone. Takie lemingi żyją tylko w górach północnej Skandyna-



wii. Leming górski na ścieżce w Finistere to niedorzeczność. W Finistere nie ma gór.

Kiedy byłam dzieckiem, obserwowaliśmy we wsi pochód lemingów. Tysiące lemingów zebrało się na granicy lasu, by przemaszerować przez wieś: karawana lemingów, bez początku i końca.

Maszerowały z gór do morza.

Nikt nie wiedział, jak do tego doszło. Czy miały przewodnika? Czy prowadził je kolektywny instynkt? Czy wyгнаł je głód albo inne niebezpieczeństwo?

Różne były teorie tłumaczące, dlaczego lemingi opuściły bezpieczne nory. Ale nikt nie wyjaśnił, dlaczego popełniły zbiorowe samobójstwo. Bo kiedy dotarły nad morze, nie zatrzymały się na linii wody. Nie zatrzymały się na plaży, nie osiedliły się tam, nie zaczęły kopać w piasku norek, żeby założyć rodziny i spłodzić dzieci.

Poszły dalej.

Prosto do Zatoki Botnickiej.

Z gór nad morze szły prosto, jakby miały kompas. Przekraczały rzeki, szosy i wsie. Bez przystanków, pochód lemingów szedł ku śmierci. I nikt nie wie dlaczego.

Ze wszystkich instynktów najsilniejszy jest instynkt przetrwania, u zwierząt i u ludzi. Dlaczego nie miały go lemingi, pozostaje tajemnicą.

W nieprzerwanym marszu nad morze pochód zostawiał za sobą martwe osobniki. Nieubłagane dążąc ku morzu, nie oglądały się za swymi martwymi braćmi. Pozwalały im umierać, bez dania szansy na przeżycie. Zmierzały ku potężniejszej śmierci, wobec której liczba lemingów padłych w naszej wsi nie miała znaczenia.

Z siostrą i innymi dziećmi kopaliśmy małe masywne groby i rzucaliśmy do nich martwe lemingi. Śpiewaliśmy psalmy i robiliśmy, mimo że protestanci, znak krzyża. Jako dziecko marzyłam, żeby być zakonnicą, na pewno pod wpływem jakiejś lektury.

Nie ma wątpliwości, że martwe zwierzątko u moich stóp na ścieżce w Finistere to kret. Wszystko zgadza się z rysunkiem kreta w *Le Petit Larousse*. Poza tym, że wyobrażałam sobie, że będzie większy, odpowiednio do rozmiarów szkód, jakie wyrządza. Wielkości borsuka albo dzika. Nie taki mały i bezbronny jak ten martwy. Trudno uwierzyć, że to małe osobliwe zwierzątko potrafi siać aż takie zniszczenie. Że będę je przeklinać.

Rankiem ogród wygląda jak wykopaliska prehistorycznych grobów. Grób przy grobie. Kopce kretów wokół magnolii, kopce kretów na rabatach i na grządkach warzywnych. Kopce kretów na trawniku, tak że nie widać spod nich trawy. Kopce koło piwonii.

Długo myślałam, że coś muszę z tym zrobić. Pewnej deszczowej niedzieli w marcu stało się.

Wychodzę do ogrodu i widzę leżące piwonie. Korzeniami do góry. Te bydlaki je wykopały — miarka się przebrała. Ani kroku dalej.

Wracam do domu i szukam w internecie hasła „zwalczanie kretów”. Jeśli tu nie ma sposobu, to nie ma go nigdzie.

Jest. Nie jeden, ale setki sposobów ostatecznego rozwiązania kwestii kretów.

Do bardziej niewinnych należy rozkładanie w tunelach gumy do żucia. Ponieważ kret nie wie, że guma jest do żucia, połyka ją, zatyka sobie kiszki i pęka jak balon.

Innym sposobem jest wąż założony na rurę wydechową w samochodzie i wprowadzony do tunelu. Ze Stanów można też zamówić pojemniki z gazem, *Giant Destroyer Smoke Bombs*. Są pułapki z ohydnyymi przynętami, jedne okrutniejsze od drugich.

Są wibratory wydające dźwięki, od których kret choruje i zdycha.

Jest broń palna przeciw kretom, strzelby i pistolety, są przeciwkrecie pociski, jest tysiąc i jeden sposobów na wytępienie kretów, ale żadnego, jaki mogłaby zastosować kobieta o mojej wrażliwości. Szukać w Internecie informacji o tym, jak sobie poradzić z kretem, to tak jakby znaleźć się w płątani-

nie zwojów monstualnego światowego mózgu nazistów opętanej ideą likwidacji kreta.

Chcę mieć to z głowy, ale bez użycia broni.

Złorzeczę człowiekowi z Moelan, że wiedzę o przepędzaniu kretów zabrał do grobu i nie zostawił uczniów.

Jedyną osobą, do której mogę się zwrócić, jest monsieur H., właściciel sklepu przemysłowego. W niedzielę przed południem ma otwarte, jadę.

Monsieur H. należy do tego rodzaju sklepikarzy, którzy dla klienta robią wszystko. Znosi nawet to, że uparcie nazywam go monsieur Homofil.

Służył mi pomocą w kwestii farb, gipsu, wyposażenia kuchni, cebulek hiacyntów, gazu w butli, beczki do palenia gałęzi, taczki, wiader, a także środków na mech, pleśń, mrówki, mszyce, rozpuszczalnika do farb — wszystko z instrukcjami, jak postępować i ile dawkować.

Zmieniał mi brzeszczoty w pile, powiedział, jak woskować cegły, dał telefon do murarzy i specjalistów od okien. Jeśli ktoś może mi pomóc w sprawie kretów, to tylko monsieur H.

Kiedy podjeżdżam pod sklep, jest przed dziewiątą. Monsieur H. wynosi drabiny i kosze, narzędzia ogrodnicze, wyprowadza taczki, wszystko, co normalnie stoi przed sklepem. W skupieniu wykonuje te czynności dokładnie według planu.

Zapominam, że Finisterianie potrafią zrobić wszystko, byle nie dwie rzeczy naraz, i wciskam się między pana H. i zwój drucianej siatki marki Gunnebo, którą wystawia na dwór.

W dobrym tonie jest tu pozwolić każdemu spokojnie dokończyć to, co robi. Nawet kasjerka w spożywczym, choćby nie wiem, jak długa była kolejka, uspokaja klienta, który nie może znaleźć książeczki czekowej albo drobnych:

— Proszę się nie spieszyć. Mamy czas. Bez pośpiechu.

Minimum towarzyskiej oglądy, jakiej tu nabyłam, znika w jednej chwili. Rzucam się na mon-sieur H. z okrzykiem:

— Kreci, ci kreci! Pomóc, monsieur, kreci.

Nie należy popędzać nikogo z Finistere, tak jak właśnie to robię. Monsieur H. nie pozwala się popędzać. Mogłabym sama być kretem, a i tak nie zwróciłby na mnie uwagi, dopóki ma coś do zrobienia.

Gdy jest już wolny, nie daje po sobie poznać, że go zdenerwowałam, choć jego mowa ciała nie wyraża nic innego. Ale monsieur H. to poczciwy człowiek, czeka, aż zdenerwowanie minie, i zaraz jest znów jak zwykle do usług. Przykro mu, że człowiek z Moelan umarł, nie zostawiwszy uczniów.

— Ale — dodaje — jest pewien produkt.

U monsieur H. jest zawsze jakiś produkt. Przeciw kretom są granulki o tak dla nich nieprzyjem-

nym zapachu, że krety same się wynoszą. Rozsypać trochę granulatu u wejścia do tunelu, a kret poczuje taki wstręt, że zabierze rodzinę i ucieknie, aby już nigdy nie powrócić.

Monsieur H. sypie granulki do plastikowego woreczka i zaleca ostrożność przy wysypywaniu. Rękawice, a nawet kombinezon ochronny. Szczególnie uważać na wilgoć. Wilgotny granulat może eksplodować.

Dziękuję i pędzę do siebie. Przez całą niedzielę wykładałam granulki, które śmierdzą siarką i metanem. Muszą już być wilgotne, ale szczęśliwie nie eksplodują.

Wieczorem wracam do domu przemoczona i skonana, ale z cudownym poczuciem dobrze wykonanej pracy.

Nazajutrz rano ogród wygląda, jakby przeorała go banda pijanych chuliganów. Od ulicy aż do ścieżki za domem wszystko jest zryte.

Jeden nieprzerwany zygzak przez cały ogród. Resztki poszatkowanych roślin zwisają z drzew i krzaków. Jakieś strzępy piwonii.

Wygląda to jak pole bitwy pod Stalingradem.

Kiedy pojawia się madame C, mówię, że to facet od koparki. Nieoczekiwanie dostałam zastrzyk gotówki.

Madame C. nie wierzy. Nie da się nabrać na to, że monsieur G. od koparki był tu w nocy. Ponieważ

jednak musi wierzyć temu, co widzi, mówi, że żyję  
sobie tu w Finistere pod szczęśliwą gwiazdą.

— Najwidoczniej — mówi, a brylant podejrzliwie  
błyska na jej palcu. — Evidemment.

#### ŻYWIĄC W PEŁNI UZASADNIONE PRZEKONANIE

Od owego dnia w końcu lutego, kiedy obiecałam  
madame C, że napiszę książkę o swoich pierwszych  
miesiącach w Finistere, nie robię nic innego, tylko  
wciąż zaczynam ją od nowa.

Zaczęłam od okoliczności przeprowadzki do Fi-  
nistere, od tego, jaka byłam zagubiona w Sztokhol-  
mie. W Afganistanie o tym, czy możesz tam mieszkać  
i pracować, decydują płeć i długość brody, w mojej  
dawnej ojczyźnie saldo na koncie w banku. Ponieważ  
jednak obiecana madame C. książka ma być opisem  
szczęścia w Finistere, nie może się od tego zaczynać.

Tak jak pierwszych piętnaście dni dla rośliny, tak  
pierwszych piętnaście słów książki musi zawierać  
wszystko, czego opowieść potrzebuje, by przeżyć.

Byle tylko mieć tych piętnaście słów, a reszta  
przyjdzie sama — tak to sobie wymyślałam. Byle  
tylko przekroczyć próg piętnastu słów, a wszystko  
będzie gotowe.

Nic nie jest gotowe. Za progiem wcale nie jest łatwiej, wrażenia się oddalają, a termin zbliża. Jak stworzyć zdanie równie naturalne, co rzecz, którą opisuje?

Zwerbalizować przeżycie to jakby złapać jaszczurkę za ogon: jaszczurka ucieka, a ty zostajesz z kawałkiem ogona w palcach.

Uczucie ucieka, a słowa stają w miejscu, jak suchy kawałek ogona.

Iść po skałach nad Atlantykiem.

Patrzeć na powierzchnię oceanu. Czuć jego wielkość i rozległość. Niewymowny bezkres. Wdychać to oszałamiające samopisanie.

To, co chcę napisać, pisze się samo, ale nie daje się przepisać.

Nie ma nic do dodania. Nic nic nic.

Jedynie wyjście to napisać książkę pod tytułem *Szczęście pisze na biało* i zostawić sześćset nie wydrukowanych stron, ale ja nie jestem aż tak awangardowa.

Groszek, który siałam owego sądnego dnia w lutym, gdy złożyłam madame C. obietnicę, że napiszę książkę, wyrósł i przypomina pachnący parawan z białych, różowych, ciemnofioletowych i czerwonych kwiatków, o jakim marzyłam.

Groszek ma metr wysokości, a ja nie napisałam słowa.



Madame C. o tym nie wie.

Kiedy pyta, jak mi idzie książka, a ja uchylam się od odpowiedzi, mówi *pardon* ze znaczącym uśmiechem członków tajnego stowarzyszenia.

W żadnym wypadku nie chce zakłócać procesu twórczego — mówi.

Kładzie swój smukły palec na dyskretnie, lecz doskonale pomalowanych ustach i szepcze:

— A demain. Do jutra, powodzenia w pisaniu, bon courage.

Obietnica dana madame C. zniszczyła mój raj. Nie jest całkiem utracony, ale objawia się tylko w przebłyskach.

Rok traci ciągłość, migoczą oderwane obrazy, wciąga mnie otchłań nie spełnionego obowiązku.

Finistere jest w moim sercu, we wszystkich zmysłach, ale tylko tam.

Ilekoć usiłuję uwolnić się od obietnicy, madame C. nagle ogarnia popłoch. Czeka na gościa z Polski, musi jechać na kurs tanga, przyjeżdżają synowie — synowie, których nikt nie widział. Zbiera ręką sukienkę, wsiada do samochodu i znika, w roz-targnieniu rzucając *bon courage, a demain*.

Nie obiecałam madame C. jakiejś monumentalnej epopei w rodzaju *Emigrantów* i *Imigrantów* Vil-helma Moberga. Nie chodzi o powieść z fikcyjnymi postaciami, nawet jeśli wszystko, co opisane, staje się fikcją. Mam napisać niewielki dziennik, niezobowiązujące notatki, 150 000 znaków.

Mniej więcej.

Wliczając spacje.

W prostych słowach o tym, jak znalazłam swoje Finistere i jak znajduję je na co dzień.

Nie za prostych, jestem w końcu pisarką.

Mój pierwszy w życiu ogród, swobodne impresje, żadnego zadęcia.

Z głową na twardym dysku zarejestrować wrażenia.

Opróżnić ją jak kosz na papiery, wszystko wrzucić do pamięci komputera.

Głowa jest pełna, nie z nią problem.

Mam materiał na sto, na tysiąc różnych książek o tysiącach odmian mojego Finistere, trzeba to tylko uporządkować. Złożyć do kupy i stopić wszystko, co udało mi się zebrać i przemyśleć. Notowałam każde najdrobniejsze przeżycie, staranną kaligrafią albo w pośpiechu stenografując, aby niczego nie zapomnieć.

Piętrzą się tu stosy nie datowanych zapisków na paragonach, na skrawkach gazet, opakowaniach, abażurach, papierowych ręcznikach. Wycinałam z gazet i czasopism artykuły, wzmianki, ogłoszenia, zdjęcia.

Zdjęcie komendanta Massouda oprawiłam w ramkę i powiesiłam na ścianie.

Na ścianach w gabinecie takerem przyszpiliłam zdjęcie obok zdjęcia, wycinek obok wycinka, i te-

raz widzę tylko liście w kapuście niezrozumiałych informacji.

Wszystkie te mniej lub bardziej nieczytelne notatki sporządzone charakterem pisma, który mnie demaskuje — najpierw litery gwałtownie i z determinacją pochylają się do przodu, żeby w następnej kolumnie zrobić dwa kroki w tył.

Wszystkie te fragmenty, strzępy wrażeń, z których muszę zbudować całość, zanim wyblakną.

Pierwsze zdanie, które zapisałam na komputerze i powiesiłam na ścianie, zdążyło już zniknąć. Brzmiało:

*Żywiąc w pełni uzasadnione przekonanie, że potrafię, zaczynam od nowa.*

### **RYK PAPIEŻA**

W moim mieście, w którym jest wszystko, jest też kino. Nowe filmy docierają tu zaledwie parę tygodni po premierze w Paryżu. Pewnego dnia w październiku pojawia się film, który chciałabym obejrzeć, thriller.

Zaczęły się już jesienne deszcze. Nie ma nic lepszego, niż w jesienne deszczowe popołudnie siedzieć w kinie i słyszeć, jak pada na zewnątrz.

Kiedy w okolicach Nowego Roku będą rozdawać nagrody filmowe, odtwórca głównej roli, który gra psychopatę Harry'ego, dostanie nagrodę za naj-

lepszą rolę męską, ale tamtego deszczowego dnia w październiku nie wie o tym jeszcze ani on, ani ja.

Kupuję bilet. Pokazuję Carte de Fidelite. Karta stałego klienta na dowód, że tu mieszkam, a nie jestem turystką. Mam Carte de Fidelite w sklepie spożywczym Shopi, w hurtowni ogrodniczej Point Vert, w markecie budowlanym Leroy Merlin, w pralni chemicznej, w piekarni, snobuję się na karty de Fidelite. Ludzie mający zdolność kredytową szukają przy kasie odpowiedniej karty płatniczej, ja zaś szukam właściwej Carte de Fidelite. Po dziesięciu filmach jedenasty ogląda się gratis.

W foyer jest pusto. Po deszczowym dniu pogoda się poprawiła i wszyscy w Finistere jak zwykle z tego korzystają, korzystać — *profiter*. Może zabrzmiałoby to niezręcznie, ale muszę przyznać, że korzystanie z ładnej pogody nie ma nic wspólnego z bezprawnym wykorzystywaniem zasobów naturalnych.

Wchodzę na salę i zajmuję miejsce. Zapadam się w fotel, rząd dziewiąty pośrodku, pełna miłego napięcia, jakie odczuwa się w kinie przed długo wyczekiwany filmem.

Już czas zaczynać, a ja wciąż jestem sama na sali. Wyświetlać film dla stu siedemdziesięciu dziewięciu pustych foteli tylko dlatego, że w dziewiątym rzędzie pośrodku siedzi jedna osoba, niechby i posiadaczka Carte de Fidelite, to absurd.

Zbiera mi się na płacz, odżywa skryte gdzieś w głębi rozgoryczenie, stłumiony żal, o którym już zapomniałam, za chwilę zerwie tamy.

„Oczywiście” — myślę. „Oczywiście, oczywiście”.

Kobiety w moim wieku w tej części świata, z której pochodzę, tak reagują. Jakbyśmy były bardziej dotknięte niż cała reszta głodującego i bezdomnego świata, jakbyśmy były ofiarami. Tymczasem zaś to my ponosimy winę za to wszystko — moje pokolenie jest najbardziej na ziemi obciążone winą.

Mieliśmy możliwości i wolność działania, a nie zrobiliśmy nic. Jesteśmy pokoleniem „oczywiście”, pokoleniem rezygnacji.

Wstaję, żeby wyjść, gdy zaczynają się reklamy. Pękam z radości i zapadam się z powrotem w fotel w chłodnym kinie, jemu niech będą dzięki.

To najlepszy film, jaki widziałam od czasów Hitchcocka w młodości. Tak przekonujący psychopaci są dziś tylko w prawdziwym życiu.

Harry należy do psychopatów, którzy nie zostawiają człowieka w spokoju ani w trakcie filmu, ani potem.

Cokolwiek czyni go mordercą, jakkolwiek defekt, nabyty czy wrodzony, współczujemy mu — chociaż jest niebezpiecznym wariatem. Współczujemy tym, którzy stają mu na drodze, współczu-

jemy każdemu i wszystkim, i od tego współczucia może się człowiekowi pomieszać, zupełnie jak Har-ry'emu.

Jest w filmie scena, w której Harry jedzie nocą swoim mercedesem, wokół czarna pustka, tylko reflektory wycinają w niej dziury, morderca jedzie, aby znów uderzyć.

Coś mu doskwiera, coś się nie zgadza, nic się nie zgadza. Wciska gaz do dechy, samochód pędzi coraz szybciej.

Coraz szybciej, twarz jest zniekształcona, samochód się trzęsie, jedzie tak szybko, jak szybko może jechać nowy mercedes, Harry pędzi w ciemności i ryczy.

Ryczy prosto w ciemną noc, jego ryk jest dziki i prawdziwy.

To coś więcej niż ryk psychopaty między jedną zbrodnią a drugą, to nie tylko Harry ryczy na ekranie. To ryczy oszalały świat, zło, przemoc, handel bronią i broń.

Wszystko, co zaprzepaściłam, całe zło, któremu jestem winna, zło, któremu jest winne moje pokolenie, bo nie zrobiło nic.

To ryk z obrazów Francisa Bacona, gdzie siedzą zamknięci papieże i ryczą. Innocenty i Jan Paweł, wszyscy ci emisariusze Boga na ziemi, z krwią na rękach. Moje pokolenie mogło działać w imieniu jakiegoś dobra, choćby skromnego, ale nie zdobyli-

śmy się nawet na nie i krew na naszych rękach jest świeża.

Otwierała się taka możliwość, ale czekaliśmy, aż zatopi ją krew, samemu nie robiąc nic, a to jest najgorsza zbrodnia, największe zło — wiedzieć i nie robić nic. Dostaliśmy wszelkie szanse i straciliśmy je. Przepadło.

To jest nasz ryk, mój, to zło, którym jest lenistwo, egoizm; uprawiam swój ogród, rozkoszuję się nim, a inni niech giną.

Nafaszerowane narkotykami dzieci wysyła się z karabinem w ręce na wojny plemienne, gdzie indziej sadza się je w brudzie na posadzce w śmierdzącej piwnicy i każe kleić tenisówki, dzieci głodują, są wykorzystywane — nie mogę powiedzieć, że o tym nie wiem.

Ja wiem, wszyscy wiedzą, widzieliśmy zdjęcia, całą masę zdjęć i te pojedyncze: fotografię afrykańskich dzieci, których rodzice umarli na AIDS, to fotografia grupowa; dzieci ustawiają się i patrzą w obiektyw, mają twarze jak dzieci na zdjęciach z przytulku w młodości mommy, ich wzrok jest rzeczowy, a nie błagalny, bo o co tu błagać?

Kogo błagać?

Ta sama bezsilność, co za czasów mommy, moje pokolenie niczemu nie zaradziło, znów na to pozwalamy, nie tylko w Afryce, wszędzie, pozwalamy, by to trwało.

Byliśmy jedynym pokoleniem, które miało szansę, mogliśmy wszystko zobaczyć z dystansu, i wstecz, i w przód, nie tkwiliśmy w środku jak momma, nie poddawaliśmy się władzy przeszłości jak pokolenie mojej mamy, wciąż jeszcze za blisko epoki przytułków.

Moje pokolenie miało wszystko: pigułkę antykoncepcyjną, pracę i jasną przyszłość. Nie podzieliło się nią, zatrzymało dla siebie, na emeryturę. Skonfiskowało przyszłość następców — z lenistwa i egoizmu, nie pomnożyliśmy tego daru, zagarniając, ile się dało, zdefraudowaliśmy przyszłość, ukradliśmy ją.

Moje pokolenie to pokolenie psychopatów — cudze cierpienie jest dla nas nierealne, nie czujemy go, jesteśmy tylko my i nasi: *oczywiście*.

W ryku psychopaty odkrywamy swoje prawdziwe oblicze, czarną dziurę zamiast twarzy, ryczymy, bo wiemy, czego się dopuściliśmy, ryczy nasza wina, osobista wina każdego z nas.

Dygoczę w swoim fotelu w dziewiątym rzędzie pośrodku.

Wiedzieć, jak głęboka jest nasza wina, i mimo to żyć w pełnym słońcu, jechać samochodem przez wioski i miasteczka, do siebie, w stronę morza, zbliżyć się do domu, mieć dom, do którego się wraca, wysyłać przekazy „Lekarzom bez granic”, wrzucać



pieniązek do skarbonki, w całym tym bezsensie żyć szczęśliwie, gdyż postawa odwrotna byłaby jeszcze większym bezsensiem.

Jestem ryczącą papieżycą, to psychopatka prowadzi mój samochód.

Znów zaczyna padać.

Pada gęsty szary deszcz i nie przestanie aż do końca lutego.

Przez cztery miesiące nie zobaczę słońca.

Jeszcze tego nie wiem, wracając z kina, ale już to przeczuwam. Nadchodzi potop i to jest wina mojego pokolenia.

### **POTOP — LE DELUGE**

Pada.

Uporczywy deszcz — będzie padał przez całą jesień, przez święta, Nowy Rok, w styczniu, w lutym i jeszcze trochę w marcu. Deszczowe dni będą następować po sobie, będzie padać jak nigdy dotąd w Finistere.

Żadna długoterminowa prognoza nie przewidziała potopu, jakim stanie się moja pierwsza zima w Finistere. Tyle nie padało, odkąd zaczęto mierzyć opady — moja pierwsza zima, *plmiometrie excep-tionnelle*.

Nie wierzymy z madame C. w prognozy pogody.

Ona dlatego, że pochodzi znad morza, ja dlatego, że pochodzę ze środkowej Norrlandii i gór. Obie urodziłyśmy się w okolicach, gdzie pogoda wyprawia, co chce, niezależnie od prognozy.

Tam, gdzie dorastałam, ciepły letni dzień mógł pojawić się jak grom z jasnego nieba. Mogłyśmy z siostrą pluskać się w stawie koło młyna, pośród kijanek, jętek latających nad głową, niebo mogło być błękitne jak ich skrzydła — i nagle, w ciągu sekundy potrafił powiać wiatr tak lodowaty, że nie dało się wyjść ze stawu, żeby nie zamarznąć na śmierć.

Taka tam jest pogoda.

Nieprzewidywalna i rozszalała.

Okres wegetacji jest krótki. Krótki i szalenie intensywny.

Światło, kiedy nadchodzi, obejmuje w posiadanie wszystko. Oszołomiona roślinność wydobywa się z zimna, z marnej ziemi. Rośnie w ogromnym pośpiechu, czasu jest mało.

Tak wiele światła w krótkiej jasnej porze i tak wiele ciemności w długiej ciemnej.

Jeśli lato jest słoneczne, trzeba je przechować, zakonserwować, zasuszyć, przetworzyć, żeby mieć coś na lata następne.

W tego rodzaju klimacie panuje oszalamiający pośpiech.

Wszystko trzeba wykorzystać, niczego nie wolno uронić, ani przyłaszczki, ani maślaka.

Podczas takiego lata, kiedy wiatry górskie zatrzymują się powyżej granicy lasu, słonecznego i bezcennego lata, nic nie może się równać z miejscem, z którego pochodzę. Żadne barwy nie są tak intensywne, żadne zapachy tak upojne, poziomki, przypominające korale na łądźce, równie słodkie. Kiście czarnych porzeczek zwisające z krzaków, ich zapach, intensywny i złowrogi zapach liści czarnej porzeczki, trzeba go wchłaniać do utraty tchu.

Wszystko jest cudowne i złowrogie, zdradliwie zagadkowe i ulotne.

Trzeba mieć silne nerwy, żeby tam żyć.

Dusza musi być zahartowana, żeby wytrzymać brutalne światło lata i bestialską ciemność zimy.

Światło pełni lata i nagle minus trzydzieści pięć stopni. Ciemność w dzień i w nocy, miesiąc po miesiącu.

Oddech zamarza w nosie, w ustach, w płucach.

Skóra zdarta z języka, nie można rozmawiać na mrozie, słowa zamarzają.

Nie ma już żadnej wspólnoty, nie ma żadnego „my”, wszystko zamknięte.

Ludzie kucają wokół pieca i wyciągają ręce, a piec nigdy nie jest dość gorący, chociaż pełen żaru.

Na takiej ziemi nie ma odpoczynku. Tylko najlepsi mogą tu przetrwać.

Ci, którym się to udaje, nie są mniej wrażliwi niż inni, przeciwnie, mają wyostrzone zmysły, po-

trzebują ich, aby zbierać smardze w porębach, storczyki — obuwiki i ciemnogłowy — maliny moroszki na mokradłach, owoce lasu — wszystko, co daje się zebrać i przerobić na pokarm i energię potrzebne do przeżycia zimy.

Ci, którzy żyją na tej zimnej ziemi, potrafią — albo muszą się tego nauczyć — przechować w sobie każdy pąk, każdą bulwę ziemniaka, każdy promień słońca, każdą kroplę ciepłego letniego deszczu.

W następnym roku kwiaty ziemniaków mogą zmarznąć, ziarno może być czarne, w następnym albo jeszcze w tym roku może spaść śnieg w noc świętojańską. Cykl w każdej chwili może zostać przerwany.

Tam, gdzie dorastałam, wszyscy dorośli byli niewolnikami prognozy pogody.

Wszyscy wiedzieli, że nigdy się nie sprawdza, ale i tak nie wolno jej przegapić.

Prognoza pogody była rytuałem, w którym uczestniczyli wszyscy, jak msza nadawana przez radio dla wierzącego, jak pora modlitwy dla muzułmanina.

Nie wolno było przegapić prognozy pogody.

Inaczej pozostawało się poza wiejską wspólnotą, a najgorsza kara, jaka może spotkać we wsi, to nie uczestniczyć we wspólnocie. Gorycz z powodu mieszkania w strefie tak pokrzywdzonej przez siły pogody była jednym z jej najważniejszych składni-

ków. Zazdrość i zawiść, że inni urodzili się i żyją tam, gdzie kwitną jabłonie.

Ta gorycz była czynnikiem spajającym, bez czego dwa obozy, na jakie dzieli się każda wieś, dawno by się zmiotły z powierzchni ziemi.

Każdy, kto się wychował na wsi, wie, jakie to Kosowo, wystarczy upuścić płatek kwiatka na cudze pole.

Tylko dzięki prognozie pogody właśnie nie wybuchają na każdym kroku.

Dzięki takiej samej dla wszystkich, podtrzymującej pokój prognozie pogody.

Madame C. zawsze mieszkała w Finistere.

Tutaj się urodziła, tak jak jej rodzice i dziadkowie, cztery pokolenia wstecz. Dziadek był rybakiem, utonął na wysokości Pointe du Raz, tam, gdzie stoi Notre-Dame-des-Naufrages, Matka Boska Rozbitków.

Tam, gdzie ja byłem dzieckiem, nie mieliśmy morza. Tylko góry Oviksfjallen, a dziadek zmarł w szpitalu.

Wody na wysokości Pointe du Raz są najbardziej niebezpieczne na całym wybrzeżu, w całej Europie. Wzdłuż brzegów Finistere przebiega szlak tankowców przewożących ropę, co drugi rok, jeśli nie częściej, jakiś tonie.

Niedaleko stąd zatonął tankowiec „Erika”, w potężnym sztormie na Boże Narodzenie 1999, w Roku Bestii, na rok przed moim przyjazdem.

Na plaży wciąż jeszcze są ślady ropy, do bosych stóp klei się coś czarnego. Wciąż padają ptaki. Ale ostrzygi są zdrowe, a na skałach poniżej mojego domu mieszkają omułki i ślimaki, jadalne, według madame C.

To wszystko człowiek dostaje w darze, co za bezgraniczna hojność, szczodrość Finistere.

Czegoś takiego jak deszcze w Finistere zimą na przełomie dwutysięcznego i dwa tysiące pierwszego nikt sobie nie przypomina. Dni z deszczu, domy z deszczu, ogrody, drzewa. Słony Atlantyk rozcieńczony jest deszczem.

Pola leżą pod wodą, wilgoć wchodzi do domów. Książki i gazety puchną, papier nie mieści się w drukarce.

Morlaix i Quimperle dotknięte są najbardziej spośród znanych mi miast, mieszkałam tam po drodze do Finistere. Wspaniałe, nisko położone miasta z rzekami i wiaduktami.

W Pont-Aven, mieście artystów, witryny sklepów i drzwi okłada się workami z piaskiem, wszędzie robi się zapory i wypompowuje wodę, jednak nic nie pomaga.

W mojej wsi nie ma groźby powodzi, ale pada mi do kuchni, u sąsiadów podobnie. Kiedy zawie-

wa deszczem od morza, muszę wylewać wodę garnkiem. Próbowalam uszczelnić okno, przez które się leje, ale silikon od monsieur H. ze sklepu przemysłowego się nie trzyma, jest za mokro.

Wylewam wodę z kuchni i nie narzekam.

Któregoś dnia w czasie najgorszych powodzi postanawiam wyjaśnić sprawę rachunku za wodę, ogromnego rachunku za pierwszą jesień w Finistere.

Jadę do Quimperle i szukam właściwej instytucji. Jak zwykle w Finistere, z ujmującą życzliwością i nieustanną chęcią niesienia pomocy jestem odsyłana od jednej do drugiej. Odsyłają mnie w niewłaściwe miejsce, ale zawsze uprzejmie. Od fiskusa, gdzie można zapłacić rachunek, ale ja na znak protestu nie płacę, do merostwa i wydziału spraw społecznych, aż po policję.

W Quimperle podnosi się wciąż poziom wody, a ja krążę z rachunkiem za nią.

W końcu trafiam do pawilonu, przed którym stoi znak ostrzegawczy *Inondation* — groźba powodzi.

Pawilon należy do ministerstwa pracy i solidarności, jestem w wydziale zdrowia i środowiska, w referacie wodnym. Czekając, czytam wywieszony na ścianie raport o jakości wody w Finistere, jakość jest dobra.

Wodę poddano 54 analizom bakteriologicznym i wyniki zawsze mieściły się w normie.

Zawartość nitratynów w wodzie z kranu waha się od 19 do 41 mg/l. Dopuszczalna granica 50 mg/l nie została przekroczona.

Woda ma niewielką zawartość wapnia i fluoru.

Jedynę przekroczenie norm, krótkotrwałe i nieznaczne, zanotowano w październiku, z powodu pestycydów stosowanych na polach uprawnych.

Poza tym z wodą w Finistere wszystko jest jak najlepiej.

W raporcie nie ma mowy o tym, że woda jest droga, a niedorzeczny rachunek okazuje się w porządku.

Jadę z powrotem do kwestury, płacę rachunek i wyjeżdżam z zalanego wodą miasta, mijając stojące pod wodą pola.

Jadę do domu, żeby wylać wodę z kuchni.

Mogło być gorzej, tak jak w Morlaix, tak jak w Quimperle, biednym Quimperle.

Piętnastego grudnia centrum Quimperle znalazło się pod wodą. Zalało mosty, domy stoją w wodzie do pierwszego piętra.

Powódź w Quimperle pojawia się w ogólnokrajowych wiadomościach.

Poziom wody to pierwsza podawana informacja, dzień za dniem.

Któraś wieczorem pokazuje zdjęcia z księgarni w Quimperle. Księgarz jest blady, schudł. Miał



z pewnością dość zmartwień, jak uczynić ten interes rentownym i bez powodzi.

Woda podchodzi do półek z książkami.

Przy zaporach ludzie stoją w milczących grupkach. Słyszeć tylko wodę.

Żadnych szczekających psów, bawiących się dzieci, samochodów na moście. Zamknięte sklepy, banki, poczta. Wszędzie woda.

Wszyscy chcą pomóc, ale jak? Bezradni patrzą na siebie na barykadach.

Przyjeżdża minister. Jacques Chirac przesyła wyrazy współczucia, *le president de la Republique*.

Ogłasza się stan klęski żywiołowej.

Mieszkańców ewakuuje się z domów na łodziach.

W dziennikach telewizyjnych dzień w dzień pokazują ludzi stojących do pasa w wodzie w swoich domach. Zatopione ogrody. Meble na spiętrzonych betonowych płytach. Czyjeś pianino.

Zerwane kafle na posadzce, ktoś płacze w zniszczonej kuchni.

Przez pokoje płyną martwe łabędzie brzuchami do góry.

Tu, gdzie bawiły się dzieci, kumkają żaby.

Kobieta siedzi w łodzi ratunkowej, płacze stropiona, trzyma w rękach słoje z złotą rybką.

Strażacy, żołnierze i cywile wypompowują wodę, ale nikt nie zatrzyma potopu.

Woda się podnosi.

Pola są podtopione, ziemia nie jest w stanie przyjąć więcej deszczu, ani kropli więcej. Odkąd wprowadzono pomiary, nigdy nie spadło go tyle.

Wysuwane są i odrzucane teorie na temat przyczyn katastrofy.

*Ja zaś sprowadzę na ziemię potop, aby zniszczyć wszelką istotę pod niebem, w której jest tchnienie życia; wszystko, co istnieje na ziemi, wyginie.*

Dlaczego właśnie Finistere?

*W wilgotnych miejscach pleni się zło* — takie jest motto książki, którą czytam, *Reguroman*. Niemieckiej. Zło nie pleni się w Finistere, ale frustracja tak.

Finistere nie jest bardziej winne zniszczeniu ziemi niż reszta świata, a jednak zostało ukarane — dlaczego?

Nie ma odpowiedzi, nikt nie rozumie. Deszcz pada i przyptyw jest bezwzględny.

Nikt nic nie może zrobić.

Woda podnosi się tak długo, jak się podnosi. Za późno na budowanie wałów. Jakiś inżynier w Szwecji wymyślił sposób na powódź, ale nie można go zastosować, kiedy powódź już trwa.

Nic nie można zrobić i nikogo pociągnąć do odpowiedzialności.

Nie ma kogo postawić przed sądem, przeciw komu protestować.

W marcu Somma występuje z brzegów. Zalewa Abbeville, Abbeville w Pikardii.

W Abbeville panuje taka frustracja, że trzeba kogoś obwinie. Inaczej trudno byłoby znieść to, co się stało. Zaczynają krążyć plotki, plotki o Paryżu. W każdym kraju stolicę faworyzuje się kosztem prowincji, ale żeby Somma miała płacić za to, że Sekwana spokojnie sobie płynie, to już naprawdę przesada.

Tak być nie może.

Zwalić na kogoś, to ludzkie prawo, plotki jednak zostają zdementowane. Dla powodzian nie ma pocieszenia. Chciałabym prosić o wybaczenie za wszystko, czego zaniechało moje pokolenie, paść na kolana i prosić, ale nic to nie pomoże po szkodzie.

Moje grządki to Rów Mariański, ciemna głębia. Cebulki wytrzymają wszystko poza długotrwałą wilgocią, żadna nie przetrzyma potopu tej zimy.

Opłakuję narcyzy *Poeticus*, *Crocus korolkowii*, drogocenne *Tulipa sprengeri*.

#### ŚWIATŁO KAMIENIA

Któregoś wieczoru kradnę kamień.

Jest grudzień. Deszcz przestał padać, piękne popołudnie, łagodne, za fioletową mgiełką.

Zima w Finistere jest fioletowa. Fioletowe pola na czerwono-brązowym tle drzew.

Wzrok odpoczywa, widząc taki pejzaż, tak jak korzenie odpoczywają w ziemi, a ziemia odpoczywa, aby zebrać siły przed kolejną wiosną.

Tej deszczowej zimy nadchodzi jedno suche popołudnie. Ulotna i krótka, ale zawsze to przerwa w opadach.

O zachodzie słońca jadę po kamienie, to jeden z rzadkich tej deszczowej zimy zachodów słońca.

Wiele nazw miejscowości w Finistere zaczyna się na sylabę „plu-” albo „plo-”. Jestem pewna, że oznacza ona deszcz, jesteśmy w deszczowym regionie, ale deszcz nie przeszkadza mi bardziej niż kamieniom.

Nie zamierzam kupować słownika historycznego, żeby sprawdzić, jak mówili tu kiedyś, wystarczy mi już języków, którymi nie władam, merci beaucoup.

Kamienie, po które jadę, upatrzyłam sobie wcześniej.

Z takich kamieni zbudowane są tu stare domy. To kamienie o aksamitnej powierzchni, przyprószone ochrą, w łagodnych odcieniach szarości, terakoty, gołębiego błękitu.

Kamienie jakby rozświetlone miękkim światłem. Ich ciepło wytwarza niewidoczny blask, jakim świecą kamienie w Finistere.

Po drodze do miasta jest plac budowy, na którym ktoś wznosi dom z takich właśnie kamieni.

Piętrzą się tam w stosach, najpewniej porachowane i ponumerowane przez budowniczego. Myśl, aby ukraść jeden z nich, odpada, za duże ryzyko.

Te, które sobie upatrzyłam, nie należą do nikogo, nie mają właściciela. To pojedyncze kamienie porozrzucane na drodze, nikt ich nie będzie szukał, i to nawet lepiej, że znikną.

A jednak tego grudniowego popołudnia jadę po nie dopiero o zmierzchu. Dopiero kiedy gasną rzadkie tej zimy promienie słońca, ruszam w drogę. Mimo że nikt nie mógł policzyć tych porozrzucanych kamieni, jadę już z gotowym poczuciem winy, w bagażniku mam czarne plastikowe worki, jak jakiś morderca rozpruwacz. Nikt nie odczuje braku tych kamieni, kamieni niczych, których nikt nie chce.

A jednak czuję się winna.

Prześladuje mnie wielka wina z mojej dawnej ojczyzny. Jest wina, nie ma łaski.

Jakiś pasjonat powinien zbadać, dlaczego w jednym z najbardziej zeświecczonych krajów przywiązuje się taką wagę do chrześcijańskich pojęć winy i łaski. Ponieważ nikt się tym nie pasjonuje, jest jak jest. Jeszcze jeden nie wyjaśniony fakt.

Trzeba żyć z poczuciem winy.

Ode mnie do miasta prowadzi równoległa do głównej szosy droga biegnąca przez wsie, obok chłopskich gospodarstw, gdzie często mijają się zna-

ki drogowe wyobrażające krowy. To wąska jedno-pasmówka, ograniczona charakterystycznymi wysokimi nasypami, jedna z tych pięknych wiejskich dróg, jakich pełno w Finistere.

Sunę wolno przez fioletowy krajobraz, na chwilę zapominam, skąd się tu wzięłam i po co jadę. Jakies sarny w tym samym stanie ducha tkwią jak skalne malowidło na tle brązowofioletowego lasu. Na odgłos samochodu znikają w zwolnionym tempie, przeniknięte drzeniem, w głębi fioletu.

Na drodze leży jeden z tych dziwnych kamieni, jakie sobie upatrzyłam.

Zatrzymuję samochód na poboczu. Podchodzę do kamienia. Podnoszę go. Ważę w dłoni, dotykam. Przesuwam dłońmi po gładkiej powierzchni, dłonie babki na kamieniu z Finistere.

Stoję tak z kamieniem w fioletowym pejzażu. Stoję przez chwilę, ziarnko piasku w wieczności, niewyobrażalnie wolny ruch w kamieniu.

Nie patrzę ani w przód, ani w tył.

Tylko jestem.

Kamień, ja, Finistere.

Tę chwilę przerywa odgłos nadjeżdżającego samochodu.

Reflektory oświetlają drogę, a ja stoję w ich świetle z kamieniem.

Przez ułamek sekundy sparaliżowana, reaguję z opóźnieniem. Jak zwierzę, instynktownie, odru-

chowo. Rzucam kamień do rowu, wskakuję za kierownicę i odjeżdżam: ręce mam brudne, a samochód pełen winy.

Nazajutrz znów pada, wracam i zabieram kamień.

## OSTRYGI

Któregoś razu w czasie pory deszczowej odwiedza mnie L. — utalentowana młoda kobieta, do tego bardzo ładna. Jeśli tylko chce, potrafi być bezgranicznie ładna, ale kiedy odbieram ją na dworcu, z pociągu wysiada sam plecak.

Korzenie L. tkwią w tej samej kamienistej ziemi, co moje, jej mama była koleżanką mojej siostry w szkole.

L. mieszka w Bretanii od siedmiu lat, u narzeczonego niedaleko Rennes — wie, jak może być wyziębiony dom zimą w tej części świata.

Twierdzi, że mój dom jest ciepły.

Z wszystkich komplementów, jakimi mnie obdarzono w życiu, ten jest najwytworniejszy.

Ja też kiedyś nieźle wyglądałam, ale przyszło to tak późno i minęło tak szybko, że nie zdążyłam się tym wcale nacieszyć. Nie rozumiałam komplementów pod swoim adresem, a zainteresowanie, jakie budziłam, brałam za perwersję. Miałam przecież być taka brzydka.

A teraz L. twierdzi, że mam ciepły dom, a ja biore to do siebie. Przepelniona dumą i samozadowoleniem.

Mam ciepły dom.

Rozkosz z ciepłego domu zrozumie tylko ten, kto wychował się tam, gdzie zima oznacza całe miesiące po minus trzydzieści i więcej. Ciepły dom to rozkosz i luksus.

L. życzy sobie na obiad ostrygi. Ostrygi w Fini-sterie to żaden luksus, codzienny jadłospis, jak naleśniki albo kaszanka.

Pada, w przystępie bezdyskusyjnego kanibalizmu idziemy kupić ostrygi, odległego przodka z czasów, zanim człowiek wznósł się na tylne kończyny. Gdziekolwiek by ustanawiać granicę — zawsze trzeba mordować. Nawet najbardziej wydelikacyony zbawca świata nie uniknie picia wody i żyjących w niej miliardów mikroorganizmów. A więc granice i przekraczanie granic.

Idziemy do portu. Port w mojej wiosce ma najlepsze ostrygi w całym kraju. Nie największe, ale najdelikatniejsze, najmocniej smakujące morzem. Ostrygi, które sławni ludzie i turyści jedzą w „La Coupole” w Paryżu, pochodzą z mojej okolicy albo z okolicy mademoiselle J., mademoiselle J. została wykarmiona ostrygami.

Jest tylko o parę lat młodsza od L., ale L. jest od niej o wiele starsza. Tak już jest tam, skąd pocho-



dzimy: rodzimy się starsze. Nikt nie ma odwagi urodzić się zimą, wiosna jest krótka, a lato zbyt *skaleń* — akcent na pierwszej sylabie i wymawiać „k”.

Wszystko, co delikatne i nietrwale, było dla mamy i jej pokolenia *skaleń*. Nie dawało się używać, bo zaraz się niszczyło. Wszystkie odświętne fartuszki mamy ozdobione mereżką, wszystkie lepsze ręczniki. Ślubna pościel ciotki Reginy. Dlaczego nigdy nie odbył się ślub ciotki Reginy — nie wiadomo. Czy dlatego, że pościel była zbyt *skaleń*, czy też narzeczony pochodził z drugiego obozu, jak Romeo dla Julii.

Nie wiem, jak z odświętymi fartuchami jest w Finistere, czy też leżą nie używane w szafkach, wielkich ręcznie rzeźbionych szafkach ze srebrnymi okuciami.

L. i ja wiemy, skąd i dokąd zmierzamy. Idziemy do portu, gdzie mają dwanaście, jeśli nie więcej rodzajów ostryg.

Sprzedawca ostryg jest jednooki. Przystojny jak pirat, z niebezpiecznym morskim błyskiem w pojedynczym oku.

Rozpoznaje mnie, „bonjour madame, to pani mieszkała tu poprzedniego lata”.

Tak, to ja. To ja.

Zanim dostałam klucze do swojego domu, wynajmowałam domek w porcie, przy hodowli ostryg. Przez parę tygodni latem roku 2000 budziłam się

na odgłos tyfonu, w rytmie przyływów, przy których kutry unosiły się na wodzie, i odpływów, kiedy leżały na piaszczystym dnie.

Posiłki jadłam na porośniętym trawą dachu domu, siedziałam tam i patrzyłam na Atlantyk, bezbrzeżny aż po wyspy St Pierre & Miquelon na wysokości Ameryki Północnej.

Port to jeden z wielu powodów, dla których nigdy się stąd nie wyprowadzę. Strome zbocza, wrzosa u schyłku lata i forsycja — żółta, rozkwitająca jak fajerwerki na stokach wiosną. Skały. Ścieżki biegnące po stromiznach i wzdłuż linii wody.

Mój port. Takie piękne słowo. U wrót portu, portu próg. Przyjazne spółgłoski, płynne.

L. prosi sprzedawcę, aby otworzył ostrygi. Otwieracz do konserw się do tego nie nadaje, twierdzi. Można nim otworzyć puszkę sfermentowanych śledzi. U nas sfermentowane śledzie dostawało się z mlekiem matki, dlatego obie jesteśmy wyjątkowej urody.

Sprzedawca otworzy ostrygi pod jednym warunkiem — że pójdziemy z nimi prosto do domu.

Możemy otworzyć je same, z narażeniem życia — mówi i uśmiecha się do L. i do mnie. Otwiera. Szybkim i pewnym ruchem kładzie je w wyplątany koszu, perłowa muszla mieni się na tle zielonoziemistego lśniącego morszczyanu.

Martwa natura, jak na obrazie z holenderskiego złotego wieku, kogoś z pokolenia Vermeera.

Sprzedawca nie chce przyjąć pieniędzy.

Ostrygi to prezent dla L.

„To za sprawą jej urody” — myślę, jest taka piękna i młoda, ale po bliższym zastanowieniu dochodzę do wniosku, że ja też dostałabym w prezencie ostrygi wyłożone na morszczyń. Dlatego że mieszkałam w porcie i dlatego że jestem cudzoziemką, która osiedliła się w Finistere.

— Merci — mówimy.

— Dziękujemy bardzo, dziękujemy za ostrygi, monsieur *l'hultre*.

— Nie ma za co — odpowiada sprzedawca z błyskiem w oku.

— De rien.

#### ZEN

W jednym rogu ogrodu ziemia jest twarda jak granit. Przez całą zimę to miejsce leżało pod wodą. Ciemna powierzchnia wody marszczyła się od wiatru jak małe czarne morze. Cała moja praca włożona w sadzenie cebulek w październiku jest wyrzucona w błoto. Nie wiedzieć po co próbowałam na kolanach, w pelerynie, rozstrzygać, gdzie jest góra, a gdzie dół cebulek narcyzów. *Narcissus poeticus*.

Żaden *Narcissus poeticus* nie mógł przeżyć takiej wody. Cebulki gniją w wodzie, przetrwają wszystko poza długotrwałą wilgocią. Cebulka nazywa się *bulbe*, słowo, którym określałam żarówkę w droгим sklepie z wyposażeniem wnętrz. Słowa mnie prześladowają.

Zima zniszczyła mi cebulki, a wiosna nie pozostawia nadziei. Nie w tej części ogrodu. Osuszające rozlewiska wiatry przyniosą też suszę. Ziemia będzie twarda jak kamień, popękana. W tym rogu ogrodu powstanie kamienna pustynia.

Jak twarda jest ziemia, odkrywam, kiedy próbuję posadzić konwalie. Sadzonki dostałam od madame C, żeby mieć kwitnące konwalie na pierwszego maja, jak tu jest w zwyczaju.

Chcę wykopać dołek i nie mogę wbić łopaty. Walę nią w ziemię jak kilofem w tym miejscu, gdzie ma być dołek, ale zsuwa się z trzonka. Jedyne narzędzie, które radzi sobie z takim twardym gruntem, to ostro zakończony łom. Wzruszam nim ziemię na niewielkiej, wystarczającej do wsadzenia konwalii przestrzeni i jestem wykończona, a muszę jeszcze poszerzyć to miejsce, żeby miały gdzie się rozrastać, jak to konwalie. Za rok może tu być dwadzieścia krzaczków, pracuję dalej.

Gdyby pojawiła się madame C, powiedziałabym *voilà*.

Na samym środku kamiennej pustyni leżą trzy wielkie głazy. Ich forma i układ wskazują, że nie

znalazły się tu za sprawą działania natury, ktoś, kto uprawiał ogród przede mną, musiał je tu przywlec. Są za daleko od siebie. Używając łomu jak dźwigni, udaje mi się je przetoczyć.

W Finistere pełno jest menhirów, kamieni nagrobnych. Naukowcy nie wiedzą, co one oznaczają, poza tym, że dowodzą ludzkiej umiejętności przetaczania kamieni. Nie ma dwóch zdań co do tego, że zostały postawione przez ludzi, bardzo dawno temu. Dwadzieścia tysięcy lat temu albo dawniej.

Niewykluczone, że kolebka ludzkości jest w Finistere.

Ta część ogrodu leży na tyłach domu, bo nawet jeśli postanowić, że nie będzie tyłów, to i tak dom stoi frontem do ulicy, a część z garażem to tyły.

Droga tu się kończy, najbliżsi sąsiedzi dojeżdżają tędy do domów, czasem przetoczy się traktor, i to wszystko. Dwieście metrów od domu droga zamienia się w ścieżkę; jedna z najpiękniejszych ścieżek w Finistere to ta, która biegnie w zieleni za moim domem. W niedzielę przechodzą tędy wędrujący turyści z mapą i kompasem, żeby zniknąć dalej w zielonym tunelu.

Ponieważ ja nie jestem wędrującą turystką, tylko mieszkanką, na razie się wstrzymuję. Ścieżka jest, była tu przez setki lat i nadal będzie. Ścieżka jest.

Natomiast mój kamienny ogród dopiero się staje. Zamiast wzruszać twardą jak granit powłokę, na-

wozić ziemi i kompostu, wyznaczać rabaty i grządki, robię odwrotnie. Znoszę tu kamienie, podsypuję żwiru. Na pocztówce z Japonii widziałam ogród z piasku, starannie rozsypanego i ułożonego piasku. Ogród zen, niedaleko Nagasaki, taki sam założę u siebie w tym rogu.

Monsieur Le R., o którym mimo wszystko często myślę, mieszka niedaleko Lorient. Siedemdziesiąt tysięcy miasta zrównanego z ziemią pod koniec tej samej wojny, którą ostatecznie zakończyły bomby zrzucone na Hiroszimę i Nagasaki.

Lorient nadal stanowi ważny cel wojskowy.

W razie wojny atomowej nie najlepiej jest mieszkać tak blisko Lorient jak monsieur Le R. Chociaż jeśli wybuchnie wojna atomowa, to parędziesiąt kilometrów w tę czy w tę nie gra roli, przypadnie nie tylko graniczący z Finistere departament pana Le R., ale także całe Finistere i doczepiona do niego kula ziemiska.

Ale diabeł z tym, kto obawia się przyszłości. Ja zakładam swój ogród zen. Będę na co dzień kontemplować spokój zamknięty w ziarnku piasku.

Stawianie bambusowego płotu wokół ogrodu zen to najtrudniejsze z moich przedsięwzięć, odkąd przyjechałam do Finistere. Jak uda mi się ustawić jedną połowę, przewraca się druga. Jak podnoszę drugą, przewraca się pierwsza. Płot kładzie się na ziemi, wykręca w nieprzewidywalne stro-

ny, staje w poprzek, uparty i krnąbrny. To się nigdy nie uda — myślę, ale w końcu za pomocą grubego sznurka, który za radą monsieur Le R. zawsze mam pod ręką, jakoś ustawiam płot. Szczęśliwa patrzę na krzywy płot z bambusa. Udało się.

Są takie chwile, kiedy myślę o monsieur Le R., takie okazje, ale nie jest ich znowu tak wiele.

Praca w samotności ma same zalety. Istnieją miliardy powodów, aby pracować z kimś, ale akurat tu, w tej chwili, dla mnie praca w samotności ma same zalety.

Wszystko można zrobić, byle robić to w swoim tempie, za pomocą sznurka albo łomu. Żadnych komentarzy: *Czy tak się robi?*, kiedy wyraźnie widać, że właśnie tak się robi. Żadnych pytań: *Jak sobie to wyobrażasz? Przecież było dobrze. Chyba powinnaś się zastanowić, zanim się zabierzesz do przesuwania dwutonowych kamieni?*

Nie.

Nie zastanawiam się, to nie w mojej naturze. To uwarunkowanie genetyczne, zbyteczne uwagi. Matka jest taka sama. Najpierw zrób, potem myśl, ruszaj kamień choćby dziś.

Wzdłuż płotu z bambusa ustawiam donice mieniące się zielonym szkliwem, z przeceny w Point Vert w Concarneau. Są wyszczerbione, więc wyglądają przez to na droższe. Stare i drogocenne jak znalezisko archeologiczne. Jakby wyjęte z gabloty

w muzeum w Hanoi, gdzie stały obok dzbana z seledynową glazurą z roku pięćsetnego przed Chrystusem.

W zielonych donicach sięję groszek pachnący, biały. Groszek będzie się piał po bambusowym płocie: pokryją go białe pachnące kwiatki. Miejmy nadzieję.

Kamienisty kąt ogrodu pokrywam żwirem i piaskiem, grubym ciemnoczerwonym żwirem i piaskiem morskim zmieszany z potłuczonymi muszelkami. Wiadro piasku kosztuje parę franków w składzie budowlanym Big Mat przy drodze do Brigneau, zużywam czternaście wiader.

Kilka tui, krzak *cyanotis* i wawrzyn będą oddzielać ten kąt od reszty ogrodu. Tuje przyszczyżone własnoręcznie. Uwielbiam przycinać i formować. Ciach sekatorem i pień wawrzynu przycięty, tuje udają cyprysy, *cyanotis* ma formę wielkiego grzyba, jak po wybuchu jądrowym. Przycinam go rodzajowi ludzkiemu ku przestrodze.

W radosnym uniesieniu pracuję nad swoim kamiennym ogrodem. Obcinam, kopię, sypię żwirem i piaskiem, sięję i kładę kamienie. Śpiewam. Fałszuję jak ojciec, ale pięknym altem matki.

Ojciec znał wszystkie psalmy śpiewane na weselach i pogrzebach. Szanował wiarę innych, nie fałszował umyślnie. Matka zwykła śpiewać *Ty ciemna świerczyno* na dwa głosy z Małą Karin. Duża Karin



to była momma, majestatyczna babka, która czasami,  
bardzo rzadko, wyciągała w środku dnia gitarę i  
śpiewała *Małego Hansa*:

Mały Hans na plażę poszedł, aby  
małże zbierać tam. I gorący piasek  
parzył w bose stopy, gdy szedł sam.

Łza zabłysła w jego oku, był  
zmęczony, nie jadł nic. Jak  
łachmany, które nosił miały go  
przed słońcem strzec?

Boże, zmiłuj się nad nami, ojciec  
się utopił nasz, spraw, by nasza  
biedna mama miała chleb, o Boże,  
spraw.

W małej swej rybackiej chacie  
matka siedzi z dziećmi w krąg.  
Ledwie dźwiga brzemię, jakie  
nędza spuszcza na jej dom.

#### OTO, CO ZNACZY BYĆ CZŁOWIEKIEM

Po takiej zimie, jaką mieliśmy w Finistere, absurdem  
byłoby sądzić, że ziemia jeszcze kiedykolwiek będzie  
wymagała podlewania.

Gdyby tej zimy ktoś powiedział mi, że będę podlewać ogród co wieczór, uznałabym to za absurd. Kiedy jednak przychodzą wiosenne wiatry, w kwietniu, już nie wydaje mi się to takie absurdalne.

Na polach, które niedawno leżały pod wodą, armatki wodne wystrzeliwiają kaskady wody za dnia, wieczorem zaś ja podlewam swój ogród.

Najbardziej ze wszystkiego — a lubię tu wszystko — uwielbiam podlewać o zachodzie słońca. Jednego tylko pragnę: podlewać i podlewać ogród.

Podlewać należy o zachodzie. Jeśli podlewa się w słońcu, można spalić korzenie. Tego nauczyła mnie babka. Dopiero wieczorem uruchamiała zraszacze w ogrodzie w majątku, i to nie na długo. Jak wielu ludzi z pieniędzmi, dbała o nie. Dbała i bała się o nie. Nie można było ruszać kapitału, kruchego kapitału.

Co by się stało, gdyby ruszyć kapitał, nigdy się nie dowiedziałam. Był związany i nie wolno go było uwolnić.

Ja nigdy nie miałam kapitału, więc jestem rozrzutna, zwłaszcza jeśli idzie o wodę. Ale podlewam tak, jak uczyła mnie babka, dopiero o zachodzie.

W moim ogrodzie to ja jestem zraszaczem. Rozpylacz do węża się zepsuł, więc ściskam jego koniec w palcach, kierując rozpylony strumień tam, gdzie chcę, po całym ogrodzie.

Jestem genialnym zraszaczem. Mam do tego boskie dłonie, po mommie; u człowieka najważniejsze są dłonie; dzięki ci, momma, merci.

Babki z obu stron i dary od nich. Bez podatku spadkowego. Dziadek swój majątek przekazał różnym fundacjom. Ja odziedziczyłam pudełeczko na tytoń. Próbowałam je sprzedać, ale antykwariusz powiedział, że jest bez wartości, bo ma wgniecenie. Bez wartości w porównaniu z dłońmi mommy i *know how* podlewania ogrodu po drugiej babce.

Jednego tylko pragnę: podlewać i podlewać.

Litr za litrem tryska z węża, trawnik już podto-piony, korzenie wiązów w wodzie. Podleвам każde źdźbło trawy, najmniejszą koniczynę, najcieńszą łądyżkę. Piwonie, róże, czerwone i białe, róże w żywopłocie, róże pnące jak Madame Alfred Carriere i czarnoczerwona Senegal — która dobrze czuje się w cieniu i będzie pięć się po północnej ścianie.

Ingrid Bergman, nowoczesna hybryda, potrzebuje wody, żeby zademonstrować komplet trzydziestu pięciu płatków. Podleвам Ingrid Bergman i Madame Alfred Carriere.

Trzy magnolie, *Magnolia grandiflora*, potrzebują mnóstwo wody, żeby skóropodobne zimowe liście mogły odpaść, a rozwinąć się jasnozielone.

*Magnolia stellata*, której nagie pąki kwitły zimą, potrzebuje wody, żeby odżyć.

Wszystkie pnącza, które osłaniają ogród, groszek pachnący, wszystkie odporne byliny w cie-

niu, półcieniu i słońcu, wszystkie nasiona — słonecznik, nasturcja, groszek — wszystko potrzebuje wody.

Tak jak mak olbrzymi, czerwony i biały, jasnoniebieski mak górski z Himalajów, wszystkie maki o jedwabistych płatkach prześwietlonych słońcem w czerwcu, zwiewnych niczym motyle.

Maki opiumiczne są zakazane w ogrodach Fi-nistere.

*Eschscholtzia* jest makiem nie należącym do gatunku maków. Nie otwiera się tak łatwo jak maki — kwitnie na żółto, ściskając płatki.

Odkąd zeszłego lata zobaczyłam ją gdzieś na grządce, zapragnęłam mieć u siebie *Eschscholtzie*, ale nikt nie rozumiał, o co mi chodzi, ilekroć chciałam kupić nasiona czy sadzonki. Kiedy w końcu pojechałam w tamto miejsce, żeby zerwać jedną i pokazać w sklepie z nasionami, okazało się, że na grządce rosną już ziemniaki.

Podlewam orliki, irysy i goździki. Czarne orliki, białe i ciemnogramatowe irysy, białe goździki pachnące. *Cyanotis* — krzak z niebieskimi szczytkami kwiatów i ciemnozielonym listowiem. Krzak *Pittosporum*, tuje, wierzby — cztery *Salbc babilonica* *Tortuosa* i jedną małą wierzbę płaczącą, *Saule pleureuse*.

Dwa stare jesiony były w ogrodzie wcześniej, te dwa drzewa, które wzięłam w posiadanie i z który-

mi łączą mnie już więzy krwi. Moja obarczona ryzykiem własność, niebezpieczne więzy krwi.

Człowiek nie jest w stanie osiąść niczego. Tylko podlewać — od nasiona po proch.

Podlewam jesiony. Stoję bez ruchu pod koroną drzewa i długo leję wodę, tak aby dotarła do korzeni.

Niekiedy w trakcie podlewania wyrywam ręką chwasty. Nie z powodu jakiejś ekologicznej praworządności. Nie jestem ekologicznym fanatykiem, jak ojciec, nawet jeśli miał rację.

Są lepsze sposoby odchwaszczania, skuteczniejsze i trwalsze, ale do tego, co trwałe, nie mam serca.

Pociąga mnie to, co płynne, co w ruchu. Przyjemność wyciągania chwastów rękami, napawające ciepłem uczucie, dłoń zaciskająca się na mleczu, ostrożnie, ale stanowczo wykręcanym z ziemi, i to uczucie, kiedy chwast traci przyczepność i korzeń wychodzi.

Nie ma większej przyjemności, niż obmyć potem ręce pod wężem. Miękki strumień wody między palcami. Letnia, miękka, błoga jak ziemia woda.

Można podlewać przez godzinę, a woda nadal nie jest zimna.

Splukiwać ziemię z rąk to przyjemność, nie męka, jak tam, gdzie się wychowałam. Wkładało się dłonie na sekundę do wody i od razu drętvia-

ły, siniały i bolały tak, że nic nie można było już nimi robić.

Woda, którą ojciec podlewał swoje niepryskane warzywa, była zawapniona i lodowata. Zimą rury pękały na mrozie. Wtedy musiało się nosić wodę ze źródła, nikt, kto tam nie mieszkał, nie jest w stanie sobie wyobrazić, jaka była zimna.

A teraz w Finistere trwonię wodę.

Nie trwonię jej, rzecz jasna, na mycie rąk i nie podlewam tylko dla przyjemności. Podlewanu patronuje pewna idea, pewne wyobrażenie ogrodu.

Ogród bez planów, bez rysunków.

Bez szkiców, jak ten, który zostawiłam w pośpiechu u monsieur Le R.

Ogród będzie dżunglą.

Ogród zen, ze swoim piaskiem i menhirami istnieje dla kontrastu, reszta będzie dżunglą, zgodnie z moim wyobrażeniem. Roślinność będzie się pienić i piąć, będą zwieszały się liany. Liście będą lśnić ciemnozielone w cieniu, kolory niech się dopełniają, niech światło gra z ciemnością.

To będzie jak obraz dżungli, jak obraz dżungli Celnika Rousseau, tyle że mój własny.

Prawdziwa dżungla to piekło komarów, śmierdzące rozlewiska, gnijące szczątki zwierząt, lepkie pnie drzew i czarne pijawki wpijające się w nogi, ramiona i ręce. W szyję. Komary wysysają krew, chmary muszek otaczają chmurą, tak że nic nie widać.

Opędzasz się, wpadasz w panikę. Jak mrówki w moim dzieciństwie, roje mrówek we włosach, u nasady warkoczy. W oczach. Jak w dżungli w Wietnamie, gdzie amerykańscy żołnierze wariowali ze strachu.

Moja dżungla będzie spokojna, bezpieczna jak u celnika Rousseau, poskromiona i podlana.

Każdego wieczora o zachodzie słońca podlewam, to najlepsza pora dnia, kiedy słońce chowa się za horyzont szkarłatne, *ecarlante*.

Woda w Finistere jest droga, bardzo droga w porównaniu z moim dawnym krajem.

Co do kosztów, to trochę tak, jakby podlewać szampanem z kranu.

Panika przy pierwszym rachunku za wodę wywołana jest nie tylko jej ceną. Dają jej powód wszystkie sumujące się nieprzewidziane wydatki i spadający kurs szwedzkiej korony. Spada tak już od roku — opuściłam okręt, ale ten wciąż idzie na dno.

Na wiosnę roku 2000 jeden frank wart był koronę i dwadzieścia sześć óre. W czerwcu dwa tysiące jeden — koronę i czterdzieści trzy. Jeśli tak dalej pójdzie, moja emerytura — *nowa emerytura powszechna* — nie wystarczy na wodę ani na chleb.

Każdego wieczora dopada mnie panika i przykręcam kran z wodą. Muszę wracać i pisać książkę, inaczej nie będzie z czego zapłacić rachunku. Jeśli nie zabiorę się do pracy, nie wytrzymam do

następną zimy w Finistere. Chcę być konikiem polnym, a muszę być mrówką, muszę zbierać słów na zimę, bo inaczej nie będzie dla mnie lata.

Trzeba odwrócić się plecami do królestwa niebieskiego, żeby go nie stracić. Zasiąść do komputera. W ciemnym pokoju, gdzie szumi twardy dysk.

Powinnam wracać do domu, ale czy zwario-  
wałam? Jeśli wrócę, to tak jakbym się zameldowała  
znow w swojej dawnej ojczyźnie, pełzała z powrotem,  
na kolanach, na brzuchu, jakbym cofnęła się do  
stadium płazów, do ślimaków, do ortoceraty-tów —  
jestem rozdarta.

Oto, co znaczy być człowiekiem.

Zwijam wąż i wracam do domu.

Na progu zatrzymuję się i oglądam za siebie, tak  
jest co wieczór.

Patrzę na dokonujące się dzieło stworzenia.

Krople wody na płatkach, lśniące ciemne liście,  
gra cieni i refleksy światła. Nie skorzystać z tej chwili  
wieczornej jasności byłoby świętokradztwem wobec  
zachodzącego słońca, zbrodnią przeciw temu, co  
dostałam w darze. Nie buduje się raj po to, żeby  
odwrócić się doń plecami.

Wracam do ogrodu, rozwijam wąż, odkręcam  
kran, słyszę, jak znowu płynie woda.

Czuję, jak woda pulsuje w środku, uderzenia ser-  
ca, które trafiają prosto w gorące centrum ziemi.



Jednocześnie się z wszechświatem, żadnej mistyki,  
zwykle uczucie przynależności. Nic w tym dziwnego.

#### MONSIEUR GODOT PRZYCHODZI

Pokój gościnny. Przez całą zimę czekałam, aż przyjdzie monsieur Godot i zaczną się roboty w pokoju gościnnym.

Nic nie działa tak paraliżująco jak czekanie. Ten, kto czeka, niczego nie stworzy, ten, kto czeka, nie żyje.

Tego najbardziej tu pragnęłam — przyjmować gości, pokazać im moje Finistere; kiedyż on wreszcie przyjdzie, kiedy mi to umożliwi?

To nie kończące się czekanie na mężczyznę, na jakie narażona jest kobieta w moim wieku, to wpędzanie w tarapaty. Czekać znaczy być pasywnym. Pozbawionym woli przedmiotem zależnym od widzimisię innych, a nie podmiotem, który sam działa.

Ileż bym zrobiła, do czegoż bym doszła, gdyby nie to bezrozumne czekanie na mężczyznę. Najpierw, żeby przyszedł, potem, żeby poszedł.

Ci mężczyźni w sumie do przyjęcia, którzy przez to, że są wyczekiwani, zyskują znaczenie, którego nikt nie może znieść, nie popadając w nerwowość.

Te biedne istoty z własnymi oczekiwaniami, czekaniem nie wiedzieć na co.

Wydawało mi się, że kłopoty z mężczyznami mam za sobą, ale odkąd przyjechałam do Finistere, nabrały od nowa wigoru. W ciągu całego życia nie zaznałam tylu nie spełnionych obietnic. Przyjdzie, nie przyjdzie, nie przyjdzie, przyjdzie. Nie ma łazienki, nie ma światła, nie ma okna w dachu, nie ma kafelków.

Gdyby ktoś mi powiedział: *U nas nie ma łazienek i światła*, wcale by to nie zmieniło mojej miłości do Finistere. Przeciwnie, czułabym dumę jako córka ekologa i wnuczka arystokraty, który miał wizję gminu siedzącego przy świecach zamiast świetlówek albo biegającego do wygodki.

Ale tak przecież nie jest, mają tu wszystkie nowoczesne udogodnienia, tylko nie wiem, jak kogoś zmusić, żeby mi je zainstalował.

Czekam na monsieur Godota.

I w trakcie tego przebrzydłego oczekiwania dostaję list od siostry ze Szwecji. Pisze, że w mojej dawnej ojczyźnie do biura ochrony konsumenta najczęściej wpływają skargi na rzemieślników za niedbalstwo i źle wykonane roboty.

Teraz czekam już w lepszym nastroju.

Monsieur Godot nie jest winien niedbalstwa i źle wykonanych robót, więc tu będzie lepiej. Niech tylko przyjdzie. I któregoś dnia przychodzi. Stuka do

drzwi i staje w progu ze swymi narzędziami. Świe-  
żutki jak dzika róża.

Już zapomniałam, jak wygląda, ale ponieważ  
zaczyna od rur, więc to musi być on, monsieur G.,  
hydraulik. Jest młodszy, niż go zapamiętałam, a ja  
jestem starsza.

— Włosy mi lecieć białe — powiedziałam ma  
dame C. — Pomocy, co tu robić?

Madame C. bezceremonialnie odpowiada, że nie  
jest moją *bebbisiteure*.

— *Bebbisiteure* — mówi. Jestem dorosła, a mój  
problem z monsieur Godotem to mój problem.

Madame C. nader akuratnie określa, czyj problem  
jest czyj i kto za to odpowiada.

Historia ze specem od kafelków i tynku monsieur  
G. sprawia, że zmieniam podejście do wszystkich  
innych panów Godotów.

Zamiast bezradnie czekać i zastanawiać się, który  
tydzień miał na myśli i który rok, kiedy po naszej  
pierwszej wielce obiecującej rozmowie powiedział:  
„No to na początku tygodnia”, jadę prosto do jego  
firmy. Czekam, aż się pojawi, po czym porywam go  
ze sobą:

— W samochód, monsieur Godot, zaraz teraz.  
Nie ma sprawy, idzie za mną jak oswojony pe-  
likan.

Stawia w łazience gipsowe ściany, kładzie kafle i  
klinkier, szkliwione cegły i fugi. W ciągu paru

dni robota jest skończona, wszystko wygląda doskonale.

Muszę się powstrzymać, żeby nie pocałować go w policzek, oboje jesteśmy jednakowo szczęśliwi.

Kiedy potem zapytam madame C, już całkiem bezinteresownie, czy ma jakąś teorię, która by tłumaczyła, dlaczego monsieur Godot nie przychodzi, choć, jak się okazuje, ma czas, usłyszę w odpowiedzi:

— Oprócz zmarłych wszyscy mają czas.

— Tu nie chodzi o czas, ale o zależność. Aby czekać, trzeba dwojga, chere madame. Tego, kto czeka, i tego, kto nie przychodzi. Evidemment.

I tak oto dowiaduję się czegoś, co powinnam była wiedzieć, kiedy w wieku lat jedenastu i pół rozpoczęłam swoje nie kończące się oczekiwanie na mężczyznę. Ach, jaka jestem zmęczona.

#### SYZYF

Jedynym, który zawsze się pojawia, nigdy nie zawodzi, jest Julien Lepers.

Pojawia się co wieczór dwadzieścia po szóstej, w porze „Questions pour un champion”, teleturnieju, który oglądam ze względu na ogólne doksztalcanie, język i osobę prowadzącego, Juliena Lepersa. „Questions pour un champion” to moja uczelnia, mój uniwersytet językowy.

Co wieczór dwadzieścia po szóstej Julien Lepers wbiega do studia owacyjnie witany przez publiczność. Bez czekania, bez przyrowadzania. Lekkim krokiem wbiega tak sześć wieczorów w tygodniu, pięćdziesiąt tygodni w roku. Uczestnicy zmieniają się za każdym razem, trójka nie przechodzi dalej, jeden wygrywa i wraca następnego dnia. Będzie ich gdzieś tak tysiąc dwustu na rok, tysiąc dwustu uczestników i jeden Julien Lepers.

Inaczej niż w programach, które tylko zaśmiecają telewizję, w „Questions pour un champion” nikt nie odpada, w „Questions pour un champion” co najwyżej nie przechodzi się dalej.

W „Questions pour un champion” występuje się nie dla pieniędzy, lecz ze względu na grę i na Julię Lepersa, opowiada się o sobie, swojej miejscowości, zawodzie i zainteresowaniach.

Każdy uczestnik: Michel, Michelle, Pierre, Simone, Lucile, Odile, Didier, David, ma jakieś hobby, a Julien Lepers wszystko dokładnie pamięta i okazuje niespożytą ciekawość:

— Michel, pana hobby to żeglarstwo, nieprawdaż? Koszykówka i siatkówka? Wspinaczka? Uprawa ogrodu, gimnastyka? Scrabble. Konie.

— Zajmuje się pani księgowością w firmie spedycyjnej — interesujące.

— Dziewiętnaście lat, jeden z najmłodszych uczestników w historii!

— Dzieci?

— Dwójka! Wnuki?

— Proszę pozdrowić wnuki, całujemy.

— I żonę, ucałowania dla żony. *Un gros bisou* dla dzieci i *petit coucou* dla męża.

— Czy żona jest wśród publiczności, małżonka, *l' spouse*? Jak ma na imię?

— Jak ma na imię małżonek? Podziękowania dla małżonka, Odile. Ucałowania.

Wszystkie te miejscowości, nadmorskie, alpejskie, wszystkie miasta, skąd pochodzą uczestnicy, wszystkie wioski. Jeśli o miejscowości kandydata nie da się nic powiedzieć, nic zupełnie, Julien Le-pers i tak coś znajdzie.

— Czy to nie tam znajduje się — ależ to stamtąd pochodzi — to przecież u was jest — czyż nie — ludność? Proszę opowiedzieć!

Niemal nigdy nie można dostrzec, czy Julien Lepers jest znudzony, ale gdyby nie był, oznaczałoby, że jest Übermenschem, którym przecież nie jest, bo jest taki jak my wszyscy.

Nawet jeśli my nigdy nie poradzilibyśmy sobie tak jak on.

Jeden z uczestników interesuje się sposobami ustalania, kiedy w kalendarzu wypada Wielkanoc.

— Szalenie interesuję się tym, kiedy wypada Wielkanoc — mówi.

A Julien Lepers odpowiada bez cienia uszczypliwości:

— Wszystkich nas to interesuje.

Czternastego lutego, w walentynki, Julien Lepers pyta jednego z uczestników, czy dostał jakiś liścik. Nie dostał.

— Ja też nie — pociesza Julien Lepers.

— Nikt mnie nie kocha.

Nader rzadko w „Q.” pojawiają się samotni, ale zawsze wtedy Julien Lepers okazuje solidarność.

— Wciąż szukamy? To nie jest łatwe. Singel? — Tak jak ja — mówi Julien Lepers. — Ja jestem *celibataire*. Całkowitym *celibataire*. Nikt mnie nie chce.

Nasze serca rwą się w stronę telewizora, serca milionów kobiet, panien, mężatek, cnotliwych albo rozwiązłych, oglądających właśnie „Questions pour un champion”.

Czasami pytania dotyczą muzyki pop, soul albo rocka:

— Jak nazywa się wokalista *Ze Dozzel*

Uczestnicy są w kropce. Wokalista „The Doors”? Sting? Freddie Mercury? Elton John?

Julien Lepers musi sam odpowiedzieć: *Zim Mor-rizong*, po czym nuci kawałek z *Light myfire*.

Kiedy Julien Lepers śpiewa, rzuca nonszalancko kilka nut, jakby przez ramię. Potem urywa.

Julien Lepers jest *tres cool*.

Miasto Miami w USA nazywa się *Mi-a-mi*.

Stolica Irlandii — *Dubbling*.

To nie jest znak szczególny „Questions pour un champion”, Julien Lepers mówi lepiej po angielsku niż dziennikarze w wiadomościach na trzech francuskich kanałach. Większości frankofonów brakuje genu odpowiedzialnego za naukę języków, mają zamiast niego gen odpowiedzialny za kunszt kulinarny, którego brakuje anglofonom.

Kiedy któryś z uczestników ma cztery trafienia z rzędu i ostatnie w tej samej sekundzie, w której rozlega się końcowy gong, Julien Lepers jest zachwycony i całuje uczestnika w policzki pięć razy.

— *Je suis mvi* — mówi Julien Lepers.

Kiedy jakiś uczestnik ma zaćmienie, Julien Lepers współczuje.

— Co się dzieje, Frederic?

— Mariannę, pobudka.

— Leone, proszę się nie poddawać. Zna pani odpowiedź, to jest pytanie dla pani!

— Marcelle, dlaczego?

— Co z tobą, David?

— Mogło być lepiej.

— Doprawdy!

— *C'est la cata — c'est la cata — c'est la cata-strophe*, Nicole!

— Czarna dziura, Didier?



Kiedy któryś z uczestników nie przechodzi dalej, Julien Lepers współczuje nad wyraz: „I na tym koniec, Michel”.

— *C'arrete la* — mówi Julien Lepers, nie szkodzi, to tylko gra, a teraz prezenty.

Wszystkie te encyklopedie, które dostają uczestnicy nie przechodzący do finału, *Le Petit Larousse*, *Le Petit Larousse* o sztuce, o poezji etc. Prezenty, Nicole, prezenty dla wszystkich, *cadeau*, Didier.

— Na tym koniec, dziękujemy, *cadeau*, Moni-que.

— I tymi uśmiechami uczestników kończymy na dziś — mówi Julien Lepers w czarnej kaszmirowej marynarce.

— Dobranoc, do widzenia. Bonsoir a tous.

Za każdym razem bonjour, za każdym razem ça va?

A demain, bon weekend.

Oglądam „Questions pour un champion” od roku, Julien Lepers nigdy nie miał dwa razy tej samej marynarki. A jeśli miał, to nosił ją, jakby za każdym razem była nowa.

Wszystkie te marynarki, krawaty, spinki, koszule — wszystkie węzły, które dla nas wiąże, i guziki, które zapina.

Szyf to przy tym nic szczególnego.

Toczymy swój kamień, zapinamy guziki, próbujemy napisać książkę. Nie udaje się, ponawiamy

próbę. Zaczynamy od nowa — znów do niczego. Trzeba tak długo zaczynać od nowa, aż zrozumiemy, że o to właśnie chodzi.

Dwadzieścia po szóstej, dzień po dniu, rok po roku Julien Lepers wbiega do studia owacyjnie witany przez publiczność i niecierpliwie oczekiwany przez widzów, aby z uśmiechem, po raz kolejny, do za dziesięć siódma, udowodnić, że syzyfowa praca jest dla człowieka radością, a nie ponurym obowiązkiem.

*Cadeau*, Julien Lepers.

#### KOSZMARY

Dziś w nocy zobaczyłam przed sobą całą książkę, jasno i wyraźnie.

Od początku do końca; kiedy jednak obudził mnie telefon, zniknęła.

Jakiś dziennikarz chce przeprowadzić wywiad na jej temat, w jesiennym katalogu nowości nosi ona tytuł *Według madame C.*

Dziennikarz uznał, że książka jest gotowa.

Powinna być gotowa, ale nie jest nawet zaczęta.

Wiadomo o niej tylko tyle, że na pewno nie będzie się nazywać *Według madame C.*

Mam udzielić wywiadu na temat książki, która nie istnieje, o tytule, którego nie będzie.

Następnej nocy śni mi się koszmar, w którym dziennikarz, mężczyzna, staje się dziennikarką. W moim wieku, choć starszą. W ubraniu z lat sześćdziesiątych, z utapirowanymi włosami, kobietą w typie Kennedych. Wyniosła i zimną. Przyjeżdża do mnie z fotografem i pięcioma krzesłami w stylu Ludwika XV. Mają mnie fotografować na wszystkich pięciu krzesłach, ale najpierw trzeba mi zrobić nową twarz.

Dziennikarka zamówiła operację u chirurga plastycznego w Dublinie. Na tabliczce ma napisane *Morgue*.

Dziennikarka nakazuje włączyć klimatyzację w samochodzie na maksimum.

Chirurg nie będzie mógł zoperować ciepłej twarzy.

Musi być twarda i zimna jak plastik.

Budzę się. Sen można wytłumaczyć tylko w jeden sposób.

Odmawiaj. Żadnych wywiadów. Sen mówi wyraźnie: *Wiesz, że nie chcesz. Nie rób tego. To błąd.*

Sen nie bierze pod uwagę faktu, że książki nie ma. Ale to racja: muszę odmówić. Sen połączył mnie z najgłębszymi pokładami woli, z moją odmową.

Najgłębsze pokłady woli nie są w stanie mi jej narzucić.

Zgadzam się. Dla książki. Jeśli zostanie przemilczana przez media, skąd czytelnicy dowiedzą się, że istnieje?

Nie istnieje.

To koszmar na jawie.

O ile to jawa. Obiecałam udzielić wywiadu o książce, która nie istnieje.

Nie mogę poddać się panice, bo wtedy nic z tego nie wyjdzie.

Książka istnieje.

Tylko nie jest napisana.

#### NARCISSUS POETICUS

Któregoś dnia w lutym, kiedy wciąż jeszcze pada, któregoś z tych deszczowych dni, kiedy najmniej się tego spodziewamy, *Crocus korolkowii* zaczyna nagle kwitnąć na rabacie za szambem.

Zakwitły wszystkie. Wszystkie naraz.

*Crocus korolkowii* pochodzi z Afganistanu, co nie znaczy, że kupiłam go w Kabulu, cebulki kupiłam na lotnisku w Amsterdamie, razem z tulipanami i narcyzami.

Nie wiem, czy *Crocus korolkowii* wciąż jeszcze mają na targu w Kabulu, czy w ogóle jest tam jeszcze targ.

Łatwo natomiast zrozumieć, bez specjalnego treningu w empatii, jak to jest być kobietą w Afga-

nistanie, wszędzie ze sobą nosić ciężkie więzienie z sukien, z małą kratką na wysokości oczu. Nie móc się swobodnie poruszać, rozmawiać z kim się chce. Nie móc pracować.

W połowie marca 2001 talibowie wysadzają pomniki Buddy w Bamiyanie. Zachwycająco piękne figury z V wieku po Chrystusie zamieniają się w kupę gruzu. Fałdy na sukni Buddy, cudowne fałdy zamieniają się w pył, co oglądam na zrobionym z ukrycia filmie w moim telewizorze w Finistere. Oglądam i czytam o tym w gazecie. Wycinam zdjęcia pomników z gazety i wkładam do skoroszytu, w którym gromadzę materiały do swojej historii świata.

Wysadzenie pomników Buddy to nie żaden grom z jasnego nieba, świat został o tym uprzedzony. Wysocy przedstawiciele Zachodu próbowali przekonać talibów, aby oszczędzili pomniki, ale talibowie są bezlitośni. Nie mają względu ani dla dziedzictwa kultury, ani dla kobiet, robią, co chcą, uzbrojeni w broń z Pakistanu. Tylko komendant Massoud walczy przeciwko nim, on i jego kurczące się oddziały. Odważny Massoud będzie walczył z fundamentalizmem do ostatniej kropli krwi. Posunie się nawet do tego, by pierwszy raz wyjechać z Afganistanu na Zachód i apelować o pomoc. Sytuacja jest rozpaczliwa, czytam w swojej gazecie, wiem, jakie są straty i zagrożenie.

Nie da się zbudować nowego pomnika Buddy w Bamiyanie, starszego i piękniejszego niż dawny, podobnie jak nie da się wskrzesić starego mostu w Mostarze.

To, co zburzone, zburzone. Wymagało to dostępu do broni, z którą nikt się nie ma zamiaru żegnać.

Bez broni talibowie musieliby się ograniczyć do procy i pałki. Bez handlu bronią kobiety w Afganistanie nie byłyby więźniami czadorów. Bez handlu bronią świat byłby lepszy, ale tego handlu nie ma jak ukrócić.

Handlarze handlują działami Boforsa, myśliwcami Gripen, okrętami i cekaemami. Niektórzy z nich są szefami rządów, inni mafiosami — wszystko jedno, poruszają się po świecie bezkarnie.

Do czasu.

Jean-Christophe Mitterrand, syn byłego prezydenta, został aresztowany, gdyż jest podejrzany o udział w handlu bronią w Angoli, oszustwa podatkowe i korupcję.

Jean-Christophe Mitterrand jest niewinny, twierdzą jego adwokaci. Fakt, że monsieur M. zataił jakieś dwadzieścia milionów przed francuskim fiskusem i przelał je na tajne konto w Szwajcarii, wynika — twierdzą — z dobrych intencji, chciał przekazać te pieniądze biednym. Jakieś biedne państwo w Afryce miało je dostać na cele rozwojowe, ot, co.

Pani Mitterrand odwiedza syna w areszcie, jest wzburzona, że trzeba za chłopca zapłacić kaucję.

— Szkoda Jeana-Christophe'a — mówi, jakby cały świat był po imieniu z Jeanem-Christophe'em Mitterrandem.

Człowiek potępiony przez prasę może przeżyć. To nie media rozstrzygają, jak wielki jest dyshonor, on sam decyduje, jak wielką hańbą się okryje. Bezwstyd mediów to jedno, bezwstyd ich ofiary to drugie. Nawet jeśli zawsze chcę trzymać stronę skazanego, wiem, jak się sprawy mają.

Skazany czy nie — zhańbiony jest na wolności.

Choć jeszcze nie wiadomo. Odkąd Eva Joly, pochodząca z Norwegii sędzina, i jej współpracownicy wypowiedzieli wojnę korupcji w Europie, nic nie wiadomo. Pożyjemy, zobaczymy.

Za każdym razem, kiedy podobna oczywistość do mnie dociera, przychodzi mi na myśl Jean Genet.

*Clichés* to kłamstwo — powiedział Jean Genet.

Pożyjemy, zobaczymy, monsieur Genet.

Wbrew wszystkim przeciwnościom *Crocus ko-rolkowi* kwitnie. Na tle czarnej jak noc ziemi pur-purowoczarne lśniące kielichy z mosiężnożółtym wnętrzem.

Tli się w nich jednostajne żółte światło, jakby w każdym krokusie była mosiężna lampka. Zaczarowana lampa Aladyna. Wystarczy jej dotknąć,

a spełni się najskrytsze marzenie — *Crocus korolkowii* kwitnie.

Tyle światła na tak czarnym tle.

To niewiarygodne, ale ponieważ istnieje, trzeba w to uwierzyć.

Oczy świadkiem.

Wzeszły wszystkie krokusy i stoją jak mali świecący wartownicy.

Po nocnej ulewie może się zdarzyć, że leżą przygięte do ziemi, ale deszcz ustaje i znowu się prostują. Przygięte, rozpląszczone, znokautowane, a jednak się podnoszą. Wciąż na nowo.

Na moich grządkach w Finistere żaden krokus nie kwitł tak długo jak *Crocus korolkowii*. Niezwykcieżony aż do dnia, kiedy przekwitł, długo po hiacyntach i *Magnolia stellata*.

Krokusy przekwitły, ale powrócą. Nie muszę lecieć na lotnisko w Amsterdamie.

Ich cebulki leżą w ziemi i się rozmnażają.

W tym samym tygodniu, w którym zakwitają krokusy, z grządki od strony ulicy zaczynają wychodzić małe zielone dzióbki.

To nie ryby, to moje *Tulipa sprengeri* oparły się żywiołom. Z trzydziestu posadzonych cebulek wyrastają trzydzieści trzy *Tulipa sprengeri*. Proste lodygi i czerwone kielichy o płatkach dumnie rozpierających się wśród szabłokształtnych zielonych liści. Niesamowite i budzące respekt.



Najbardziej niesamowite tulipany od czasu tych, które tak zdumiały Europejczyków odwiedzających sułtana Mehmeda. Gdyby mieli okazję zobaczyć moje, głowy odpadłyby im z wrażenia i potoczyły się po ulicy.

Tulipan botaniczny, taki jak *Tulipa sprengeri*, jest z natury mały. Ale nie moje *Tulipa sprengeri*. Te są monumentalne. Jakby wzniosły monument na cześć tego, że wzeszły.

Przechodząc tędy, sąsiedzi wyrażają się o moich tulipanach z podziwem, ale bez wielkiego halo. Stwierdzają tylko, że wzeszły mi piękne tulipany, wielkie i czerwone.

Madame C. lubi żartować i nazywa je tulipanami morskimi.

Nie wiem, czy skorupiaki nazwane tulipanami morskimi też tak się tu nazywają, nie ma tego słowa w moim słowniku. Tulipany morskie to rodzaj niedużych skorupiaków żyjących pod skałami — twarde, małe, ostre i białe, bez żadnego związku z moimi tulipanami.

Rozumiem, że madame C. nie ma na myśli nic złego, ale mogłaby okazać choć trochę tradycyjnego europejskiego zdziwienia.

Tulipany kwitną miesiącami, nim w końcu się kurczą, żeby potem, rok po roku, jak tylko niezwykciężone tulipany potrafią, znów rozkwitać na czerwono.

Jeśli otoczyć je odpowiednią opieką, *Tulipa sprengeri* i *Crocus kowlkowi* będą kwitły na moich grządkach tak długo, jak będę żyła, a nawet dłużej.

W pierwszych dniach maja ogród zen jest prawie gotowy. Jestem wykończona. Skonana, ale szczęśliwa. Tu i ówdzie sterczą jeszcze jakieś badyle, ale na to już nic nie poradzę. Podobne do porów, rozlazłe, rozcapierzone, szpetne. Burzą harmonię, ale nie mam siły ich wrywać. Odkładam to na potem.

Nie ma pośpiechu, ogród zen nie ma terminu, to nie książka.

Czuję się, jakbym wypadła spod żaren, jak po miłosnej nocy. Siadam na piasku oparta o jeden z kamieni i z rozkoszą podziwiam rezultat swojej pracy.

Mały Hans ach nie zostanie w  
gorzkim smutku całkiem sam, bo w  
koszyku gdzieś tam na dnie błyska  
perła, jego skarb.

Zapada zmierzch. Na wschodzie odzywa się kukułka, a echo odpowiada ku-ku. Promienie słońca przenikają przez bambusowy płot porośnięty groszkiem pachnącym.

Konwalie zakwitły w swoim kącie, muszla ślimaka lśni na piasku.

Cichną zabawy dzieci, ktoś nawołuje psa, sąsiedzi zamykają okiennice.

Odpoczywam, wsparta o kamień.

Czas zanika, jest tylko spokój. Łączę się ze wszechświatem, ziarnko piasku w dziele stworzenia. Jest ze mną *momma*, mama i młodsze rodzeństwo, ojciec. Wszystko się splata.

Nie zauważam, że zrobiło się ciemno.

Ciemno? Nie, jest jasno. Kamienny ogród rozświetlają jakby białe lampki. Drżące białe żarówki, które migoczą w mroku.

To cebulki narcyzów, które wsadzałam, nie wiedząc, gdzie góra, a gdzie dół. Na śmierć o nich zapomniałam, one tymczasem przeszły podziemną przemianę i z rozcapierzonych porów stały się białymi *Narcissus poeticus*. Wzeszły wszystkie i teraz rozświetlają mrok w moim ogrodzie zen.

Zasadziłam żarówki, *les bulbes*.

Wśród zapachu konwalii, za parawanem z groszku pachnącego, w świetle narcyzów siedzę oparta o kamień i widzę, jak na niebie zapalają się gwiazdy, niby w żyrandolu, jestem cała skąpana w świetle.

#### SAME GWIAZDY

Madame C. nie podoba się tytuł *Cena wody w Fini-ster*. Nie ma dla niego zrozumienia i odrzuca go całkowicie.

Tytuł jest wyniszczająco jałowy, według madame C. Nie żartuje. Takie padają słowa.

*Cena wody w Finistere* to tytuł katastrofa, nie ma w nim nic pociągającego, przeciwnie. *Cena wody w Finistere* brzmi jak tytuł alarmującego raportu na temat coraz gorszej jakości wody. — *Cena wody w Finistere* brzmi jak tytuł książki o kłopotach z wodą w Finistere — mówi madame C.

— Brzmi metodycznie, jak książka o rozwiązywaniu problemów. Albo jak pamflet. Bez romantyzmu i poezji.

W czasie mojego pierwszego roku w Finistere odbywa się tu szereg demonstracji przeciwko niszczeniu zasobów wody, i to jest całkiem w porządku, według madame C. Demonstracje są wyrazem wolności i należą do podstawowych praw człowieka w demokracji. Wystarczy tylko trochę ograniczyć prawo ludzi do wyrażania niepokoju i wzburzenia i zaraz następuje dyktatura. Manifestacja przeciwko niszczeniu zasobów wody jest zupełnie na miejscu, według madame C.

Natomiast tytuł mojej książki jest chybiony, wprowadzający w błąd i odstręczający.

Książka o miłości do miejsca, takiej, jaką ja naj-oczywiściej — *evidemment!* — odczuwam do Finistere, musi mieć tytuł poetycki, coś o namiętności i romantyzmie, choćby *Namiętność ogrodu* albo *Gwiazdy nad Finistere*.

Nie podzielam tej opinii i mówię o tym wprost.

Nie ma nic ohydniejszego niż poetyckie tytuły.

— Degoutant — mówię. — Deguelasse.

Nie ma nic bardziej odstręczającego niż romantyczne tytuły książek napisanych przez kobiety w moim wieku, które kręcą się po ogrodzie w kapelusikach i klapkach, muskając swoje klematysy i ziółka — *les clematites, les herbes*. Wszystkie te gorsze od epidemii, tryskające sentencjami, ociekające bonmotami damulki. Te — szukam ostatecznej inwektywy — poetessy.

— Chętnie potraktowałabym je *Anti-Limace lon-gue duree* — kontynuuję. — Spryskała *Traitement Total, Fungocide, pesticides*. Wytępiła jak ślimaki, norniki, mszyce i inne chwasty i szkodniki.

— Oto jak wyraża się poeta — wykrzykuje zachwycona madame C. — Licentia poetica pozwala wzmocnić sugestywność uczuć wobec tych, jak je pani nazwała, poetess.

— Przesada czyni z pani pisarza. To pani powołanie, przesadzać, *c'est merveilleux*. Tak, przesadzać!

— Jestem nie — sprowadzam nas na ziemię.

— *Cena wody w Finistere* — mówi madame C. sucho i bez entuzjazmu. — To brzmi jak faktura.

— A jednak — odpowiadam. — Neanmoins.

Madame C. jest czarująca, ale bardzo uparta.

Ilekcioć przejeżdża tędy w drodze do piekarni albo do portu po skorupiaki, podnosi sprawę tytułu. Niezmożona korzysta ze swego obywatelskiego prawa do zgłaszania protestów.

Zaczęła już kupować pieczywo dwa razy dziennie, a od takiej ilości skorupiaków ani chybi się rozchoruje.

Ja też nie mogę się prześlizgnąć obok jej domu nie zatrzymana i uniknąć rozmowy na temat tytułu.

— *Cena wody w Finistere* stwarza fałszywe wyobrażenie — madame C. powtarza to wciąż od nowa.

Pierwszy tytuł, *Według madame C*, jest o wiele lepszy, według madame C, która nie wie, że to ona jest tytułową madame.

Pytam, jak brzmiałby po francusku. Madame C. jak zwykle szuka synonimów.

— *Selon madame C.... Suivant madame C.... D'apres madame C...*

Każdy z nich jest lepszy niż *Cena wody w Finistere* — wyrokuję zdecydowanie i podkreśla to ostrym błyskiem pierścionka z brylantem.

Muszę się zgodzić, choć wiem, że tytuł trzeba zmienić. Takie jest moje niezachwiane przekonanie.

Tytuł trzeba zmienić choćby dlatego, że jesienią ukaże się inna książka pod tytułem *Madame*.

Dwie książki pod takim samym tytułem w jednym roku i w tym samym wydawnictwie to według mnie o jedną za dużo.

Według madame C. — nie.

Nawet gdyby w literaturze światowej każda książka nazywała się *Madame*, nie wolno mi się tym przejmować. Jeśli *Według madame C.* jest odpowiednim tytułem, to tak ma pozostać. Muszę mieć na względzie tylko swoją własną książkę i do niej pasujący tytuł — według madame C.

Mogłybyśmy tak dyskutować do końca naszych dni.

Któregoś pięknego dnia jednak, kiedy kukółka wróży na dwoje i na czworo, dochodzimy do wniosku, że nigdy się nie zgodzimy i co do tego zgadzamy się w stu procentach.

— D'accord — mówi madame C. — Nie zgodzimy się.

— C'est normal.

W mojej dawnej ojczyźnie nie jest normalne, by zgodzić się, że nie ma zgody. Nic bardziej nienormalnego. Trzeba zgodzić się, że istnieje zgodność, inaczej wszystko diabli biorą.

Zgoda jest ważniejsza od więzów krwi, od miłości i przyjaźni, życia i śmierci.

W mojej dawnej ojczyźnie trzeba doprowadzać do zgody — inaczej czeka cię tam straszny los.

Chyba że należysz do tych dwóch trzecich, które mają to już za sobą. Dla jednej trzeciej, którą wciąż jeszcze stać na lekarza, ubezpieczenia emerytalne, prywatne szkoły dla dzieci, podróże i odpisy od podatków, groźba pozostaje jednak realna:

*Zgadź się albo zjedziesz jedną trzecią w dół.*

Trzeba się zgadzać, inaczej jest się przeciw, a na to nie stać nikogo. Być przeciw oznacza natychmiastowy Berufsverbot. Gdyby nie fakt, że emigracja to istny proces Kafki, niewielu zwykłych ludzi zostałoby w kraju.

Nie mogliśmy z madame C. być bardziej zgodne co do naszej niezgodności, pod tym względem wszystko w porządku. Mój zawrót głowy nie ma nic wspólnego z naszą niezgodnością, madame C. nie wie naprawdę, dlaczego błędę.

Lekkie mdłości szybko się nasilają i zbiera mi się na wymioty, niemal tracę przytomność. W brzuchu czuję trąbę powietrzną. Największym wysiłkiem udaje mi się nie wybuchnąć i nie dać się roz-włóczyć po całym Finistere.

Stoję zatem z madame C, istniejącą madame C, przy istniejącej furtce do mego istniejącego domu i rozmawiam o istniejącym tytule nie istniejącej książki.

Nie ma żadnej książki, o której tytuł należy się kłócić albo nie.



Nie ma żadnej książki.

Wszystko inne jest. Dom jest. Są piwonie w wędrującym cieniu. Malwy, które, oparte na bambusach, rosną dziesięć centymetrów na dzień, Ingrid Bergman, odrobaczona i podwiązana do fasady, *Heuchera micrantha*.

Dzikiem wino na murku, klematis na kratce, bluszcz i kapryfolium, ziemniaki na grządce, nasturcje pod płotem, krzew pospornicy od frontu, purpurowe bratki, które rozwinęły się z nasion i kwitną od czterech miesięcy bez przerwy; wszystko żyje, rośnie i jest.

Jak będzie z przesadzonymi resztkami piwonii, nie wiadomo, ale na razie są.

Kominek, w którym mogłabym stanąć wyprostowana, gdybym umiała stać wyprostowana. Telewizor, w którym oglądam wiadomości i „Questions pour un champion”. Meble z drogiego sklepu z wyposażeniem mieszkań i z pchlego targu, czerwona lodówka z Conforamy, talerze, miski i fajansowy półmisek z Quimper, wszystko jest.

Jest wszystko poza książką.

Nie ma tylko nieobecnej książki i mnie wraz z nią. Po mojej stronie rzeczywistości nie ma niczego — jest nic; tylko nieobecność, brak. Ani książki, ani mnie.

Madame C. widzi, że coś się ze mną dzieje, że znikam. Przekonana, że to przyływ mocy twórczych, ściska mnie za rękę.

— Bon courage, dobrego pisania. Trzeba uwolnić moce twórcze. A demain.

Brylant rozsyła błyski światła jak latarnia morska w ciemności, kiedy madame C. z większą niż kiedykolwiek gracją wsiada do czerwono-fioletowe-go renault.

Nie ma żadnej książki.

— Adieu, madame C.

*Serce rozdziera się na dwie połowy* — mówi córka boga Indry w *Grze snów* Augusta Strindberga. Gdyby Strindberg nie napisał *Gry snów*, nie byłoby go jak grać, bez pisania nie ma dramatów, nie ma książek.

Istnieje straszliwa choroba, która objawia się tym, że chory staje się więźniem w swoim ciele. Nieubłaganie, kawałek po kawałku, mięśnie się zaciskają. Pewnego dnia choroba dosięga płuc i serca, wtedy następuje koniec.

To nieuleczalna choroba, człowiek zamienia się w kamień i umiera. Dotyka tylko mężczyzn, ta metafora jest chora, padłam ofiarą paradoksu, na granicy szaleństwa stoję skamieniała w progu swojego domu.

Muszę zasiąść do komputera, jego dysk mruczy swój natrętny refren, muszę, muszę, muszę.

Biedni ludzie — powtarza córka bogów, patrząc na ich los.

Szkoda ludzi, ale nic się nie da zrobić.

Skamieniała z przerażenia stoję w progu i słyszę, jak puls huczy w skroniach, młot wali w kowadło, aż czaszka pęka.

Przerażenie rośnie, wypełnia otwór drzwi, nie przecisnę się.

Unieruchomiona, zostałam wydana na śmierć.

Chciałabym napisać książkę o pierwszych miesiącach w Finistere, ale nie jestem w stanie.

Ilekoć próbuję, wszystko zamienia się w słowa, słowa, a to jest nie do zniesienia.

Próbuję przenieść raj na papier, ale on przeniesiony — ginie.

A jednak mam ochotę próbować od nowa, taką mam naturę, bez tego nie byłabym sobą.

Mam ochotę, ale nie mogę się zebrać.

Nie mam nawet kupki suchych kartek do spalania razem z liśćmi żywopłotu, dotkniętymi czarną plamistością.

*Pozbieraj chore liście i spal*, czytam w poradniku ogrodowym. Palę poradnik ogrodowy, iskry wzlatają ku niebu i łączą się z gwiazdami, cudownymi gwiazdami nad Finistere, które są jak rysy na nieboskłonie biegnące ku wieczności.

Chciałabym wyekspediować same gwiazdy, zmierzch i radość, ewangelię, ale bez kazania.

Jestem przepelniona radością, ale to na nic.

Chciałabym zapisać radość, a nie być nią przepełniona.

#### WYSYPISKO W QUIMPERLE

Kiedy jestem w dołku, jadę do Elephant Bleu.

Elephant Bleu to myjnia samochodowa, gdzie myje się samochód samemu, pod tablicą z niebieskim słoniem polewającym się wodą z trąby.

Odkąd dzień po dniu nie udaje mi się zacząć książki, przez pięć miesięcy, które minęły od obietnicy danej madame C, często jeżdżę do Elephant Bleu, niekiedy parę razy na dzień.

Wrzucam jedną po drugiej dziesięciofrankówkę do automatu. Myję, płuczę, poleruję, a potem zaczynam znów od początku.

Wszędzie piana.

Kiedy lśniącym samochodem wyjeżdżam z Elephant Bleu, zawsze czuję się trochę lepiej. Lepka warstwa chandry z powodu książki została zmyta.

Na jakiś czas.

Wszystko się ułoży.

Madame C. nie pochwała notorycznego mycia samochodu. Efekt psychologiczny kwituje machnięciem smukłej ręki. Psychologia to nie jest *cous--cous* madame C.

Madame C. uważa, że swój czas powinnam poświęcić książce.

Kiedy odpowiadam, że poświęcam się książce, myjąc samochód, wydaje z siebie krótkie *pschitt* i robi taki sam gest, jak Jacques Chirac w telewizji, dokładnie wyrażający to, co chce powiedzieć.

— Pschitt — mówi madame C. i bagatelizuje moje argumenty w ten sam sposób, w jaki Chirac zbagatelizował kwotę ukrytą przed podatnikami.

Gdyby jakaś droga do Elephant Bleu omijała dom madame C, jeździłabym tamtędy, ale takiej drogi nie ma. Gdybym znalazła sposób, aby powiedzieć madame C, że Elephant Bleu to moja sprawa i niech się pani do tego nie miesza — ale nie znajduję.

Nie wyleczyłam się jeszcze w Finistere z niezdolności, by stawiać sprawy jasno — jest tak i tak. Jestem wymijająca i podszyta tchórzem. Wstrętna cecha, której nie mogę u siebie znieść, ale nie potrafię wytrzebić.

Kiedy ogarnia mnie wściekłość z powodu takiej zatwardziałości, wszystkich popełnianych błędów, z których cała się składam, kiedy ogarnia mnie szaleństwo z powodu tępoty świata, kiedy już wykopałam wszystkie dołki i przeniosłam kamienie, samochód jest umyty, że bardziej nie można, kiedy nie ma już niczego, co mogłoby poskromić moją wściekłość, nie padając jej ofiarą, wtedy jadę na wysypisko do Quimperle.

Często proponują mi pomoc przy wyrzucaniu najcięższych rzeczy, ale ponieważ jestem tu właś-

nie po to, żeby wyrzucić je własnoręcznie, muszę grzecznie, acz stanowczo odmawiać.

Jestem tu, aby ulżyć wściekłości, wrodzonej, nabytej i wciąż powracającej.

Już samo to, że wciąż powraca, że wciąż na nowo powtarzam stare błędy, daje powód do wściekłości. Wściekłość należy do mnie, tylko ja mogę się z nią uporać, a nic nie denerwuje mnie bardziej, niż kiedy ktoś mówi, że nie mam powodów do zdenerwowania.

Nie mam?

Mam ich więcej, niż jestem w stanie znieść, choć nie wścieknę się nawet w połowie tak strasznie, jak by należało.

— Nie ma powodów do zdenerwowania.

Albo: „Skąd ta złość?“, jak powiedział minister gospodarki w mojej dawnej ojczyźnie, kiedy próbowałam nieco skorygować jego radosny obraz sytuacji w kraju.

— Dlaczego jesteś na mnie taka zła?

Dlaczego nie? Nie jesteśmy per ty i nie jestem na ciebie bardziej zła niż na innych socjaldemokratów, ani specjalnie socjal-, ani demokratów, wszyscy oni stracili kontakt z rzeczywistością, o ile w ogóle go kiedykolwiek mieli.

Lionel Jospin został *zdemaskowany* jako były trockista. Pisze się o tym w gazetach w Finistere i w ogólnokrajowej prasie, socjaldemokrata Jospin

należał w młodości do organizacji opartej na ideach Lwa Trockiego.

Zdemaskowany.

Najgorsza zbrodnia, o jaką można dziś oskarżyć socjaldemokratę, to ta, że kiedyś w coś wierzył.

Brakuje mi ojca z jego wściekłością. Zgodzilibyśmy się co do tego, że nie zgadzamy się w tak wielu sprawach. Albo nie zgodzilibyśmy się zgodzić. Tak czy owak, nigdy nie zgadzaliśmy się co do wniosków i co do środków, jakimi można się posłużyć, aby coś wcielić w życie.

Cholerny ojciec! Kiedy w latach pięćdziesiątych wynajmowałam pokój u prawicowej damulki pisującej felietony w „Lansposten”, zafundował mi prenumeratę „Wiadomości z Kraju Rad”.

Wyrzucam śmieci na wysypisku w Quimper-le. Dźwigam i wywalam do pustego kontenera, ze wszystkich sił, gromadzonych przez pięćdziesiąt pięć lat, targam zepsutą umywalkę, popękane kafelki, skamieniały cement, zwój zardzewiałego drutu, blaszane wiadra, panele, metalową linę, zepsute radio, uszkodzony sedes, kadź do cementu. Klinkier na klinkier, blacha do blachy. Wściekle wyrzucanie przerdzewiałej szafki z łazienki nie przywraca mi równowagi, bo i nigdy przedtem jej nie miałam, ale daje fizyczne wrażenie pewnej stabilności. Używam przy tym całej siły mięśni zaprawionych do pracy w ogrodzie.

Przenoszę szafkę z łazienki.  
Faceci pracujący na wysypisku kiwają głowami.  
O, przenosi szafkę.

## WOLNOŚĆ OBCYCH

Od pierwszych miesięcy w Finistere, kiedy spotykałam się z monsieur Le R., nie przestaje mnie zaprzętać sprawa obcości.

Zastanawiało mnie to właściwie od pierwszych miesięcy życia, a w czasie zmagania z książką powracało raz za razem. W Finistere jestem uprzywilejowanym obcym, w najgorszym wypadku traktują mnie jak dziwaczkę, z tym jej językiem i zwyczajami, ale co by było, gdybym pochodziła spoza — jak precyzują to na urzędowych blankietach — Wspólnoty Europejskiej?

Muszę spytać madame C, czy tacy jak monsieur Le R. należą w Finistere do rzadkości.

Nieraz w ciągu tego roku miałam ochotę pojechać do monsieur Le R. i w jego misternym ogrodzie zaserwować mu porządną porcję wolności, równości i braterstwa, ale jak dotąd niechęć była silniejsza od ochoty.

Zamiast tego zamierzam porozmawiać z madame C. Ona wie, że dziecko nie wybiera kołyski. Jej nie trzeba wyjaśniać spraw podstawowych.



Kiedy przyjeżdżam, madame C. jest w ogrodzie. Odpowiednim do tego narzędziem wrywa chwasty, klęcząc na odpowiedniej do tego poduszce.

W ogrodzie w cieniu wspaniałych lip siedzą jej synowie. Wszyscy trzej, ani chybi tu siedzą. Na mój widok wołają „bonjour madame”, kiwając mi ani chybi papierosami.

Trzej synowie, o których tyle słyszałam, mityczni synowie — jest tu cała trójka. Dwóch blondynów i brunet.

Brunet to musi być *rappeur*, jego żargon okrasza język madame C. Teraz brzdąka coś na gitarze. W koszuli do ziemi, z warkoczykami, wygląda jak wyjęty z *Tysiąca i jednej nocy*. Czarne rzęsy, fiolet wokół oczu, może trochę przesadny, ale to w końcu nie dla mnie. Niestety — myślę sobie — choć może i na szczęście.

Dostrzega mnie madame C, woła „bonjour”, zdejmuje rękawice i wyciąga do mnie ręce.

— Jak dobrze, że pani przyjechała — mówi. — Tak rzadko jesteśmy wszyscy razem, pewnie zwąpiała pani, że mam synów — kontynuuje z perlistym śmiechem i przedstawia mi ich po kolei.

David, średni, jest surferem i spędza czas głównie na wodzie w Australii, najmłodszy, Benjamin, właśnie wrócił z tournée po Europie.

— Jak zwykle pobity przez strażników na granicy — mówi madame C. — Może nawet bardziej niż zwykle, bardziej niż ostatnio.

Benjamin i madame C. przybijają piątkę, tak jak młodzież na powitanie, co nazywa się *high five*.

Mnie Benjamin pozdrawia skinieniem głowy i przeprasza — „Madame” — że nie może się podnieść. Strażnicy bili go tym razem w kolana, nie tylko w twarz i głowę.

Na miejscu madame C. oszalałabym z wściekłości, zupełnie niepotrzebnie, podczas gdy ona rzeczowo i nie bez dumy wyjaśnia, że strażnicy biją z powodu wyglądu. Benjamin ma bezkompromisową naturę po ojcu, żywiołowym mężczyźnie, z którym madame C. żyła wiele lat po ostatnim małżeństwie.

— Jak zwykle nie pozostaje nic innego, niż napisać skargę do Trybunału Europejskiego — mówi madame C. — Rzeczową, dobrze uzasadnioną, niepodważalną i zrecznie sformułowaną. Już ją wysłaliśmy, teraz czekamy na potwierdzenie przyjęcia, z numerem sprawy, żeby mogła wylądować w teczce „Trybunał Europejski”.

Na koncertach w Europie Benjamin rapuje teksty tych skarg, ostatni znajdzie się na następnej płycie. Na potwierdzenie madame C. i Benjamin przybijają piątkę.

Tak jak inni wierzą w niepokalane poczęcie, tak madame C. wierzy w Trybunał Europejski.

Moje odwiedziny bierze za znak, że pisanie posuwa się do przodu.

— Rozumiem, że to twórcza przerwa. — Uśmiecha się znacząco i przykłada palec do ust, dziś paznokcie polakierowane są na ciemnoczerwone

Nawet synom nic nie powiedziała o książce — twierdzi, ale w tym samym zdaniu dodaje, że Benjamin jest jej strasznie ciekaw.

Potem przez całe popołudnie siedzimy pod lipami i palimy papierosy. Benjamin gra, a jego bracia i madame C. śpiewają na głosy celtyckie pieśni.

Celtycki folklor to nie jest mój *cous-cous*, ale nucę razem z nimi. Piękne, melancholijne tony przypominają mi ludowe piosenki z dzieciństwa, z ich wieczną skargą, przekwitłym kwiatem, *Małym Hansem*.

Ogarnia mnie europejska melancholia, napotykam wzrok madame C, obie mamy łzy w oczach. Wielkie okrągłe łzy jak kryształowe kulki, podaje mi chusteczkę, wycieramy oczy. Potem wstajemy, przybijamy piątkę i dobitnie, patrząc przed siebie, mówimy *all right*.

#### **POD JESIONEM**

Jest nieziemski czerwcowy poranek. Kiedy po deszczowej zimie przychodzi wreszcie ciepło i słońce, ogród eksploduje zielenią.

Kwitnie groszek pachnący, krzaki jaśminu stoją jak wyperfumowani strażnicy po obu stronach

drzwi do szopy, jej zacięną ścianę pokrywa bluszcz. Malując zeszłego lata szopę na ceglany kolor, chciałam, aby lśniący ciemną zielenią bluszcz kontrastował z brązowoczerwoną ścianą. Zgadza się, kontrastuje.

Wszystko wschodzi i w słońcu, i w cieniu. Rośliny, których nie potrafię nazwać, bo zapomniałam albo kupiłam je z przeceny.

Albo nie chcę znać ich nazw. Monsieur Le R., gdziekolwiek coś posiał, wtykał małe tabliczki. Małe tabliczki, które, drobnym pismem zapisawszy na nich datę i gatunek, wtykał na baczność w grządki, żeby nie zapomnieć, co tam rośnie.

Ja wolę zapominać. Wtedy niespodzianka jest większa, od rana do wieczoru chodzę zachwycona.

Małe kępy czarnych listków w kształcie koni-czyny, z których nagle wykwitają białe dzwonki na wąskich łodyżkach. Jasnozielone listki z intensywnie różowymi dzwoneczkami, kaktusy o nabrzmiąłych pąkach i puszystych kwiatach. *Heuchera mi-cranta*, Pałace Purple, ciemnofioletowa ceniolubna, cztery sadzonki.

Róże roztaczają swój różany zapach, ciemnoczerwone, wielokwiatowe, wielkie jak główki kapusty. Następnego lata także piwonie będą roztaczać swój zapach, który zmiesza się z zapachem róż.

Pergola ma teraz ściany z miękkiej zieleni, nad głową kwitnie mi kapryfolium.

Pnącza *Cobaea* i czerwonożółte nasturcje wspinają się po kracie, zawijając jedno o drugie.

Klematis z cienkich pędów wypuszcza ogromne niebieskofioletowe kwiaty.

Kiedy w końcu października zbijałam pergolę, zaciął ostry deszcz i przewracał kratownice, które starałam się utrzymać w pionie. W pelerynie z kapturem i kaloszach walczyłam z wiatrem. Klełam, wbijając gwoździe, woda lała mi się po plecach, ale w końcu jakoś ją postawiłam.

Trudno uwierzyć, że tamta chwiejna kratownica teraz tak zarosła listowiem i kwiatami. Kiedy ją zbijałam, zamiast schować się w domu i napalić w kominku, miałam właśnie nadzieję na coś takiego.

Na cud.

Powinłam siedzieć w gabinecie przed komputerem i pisać książkę, ale w taki dzień jak dziś byłaby to głupota.

Gdybym nie potrafiła skorzystać z tak cudownego dnia, nie miałabym czego szukać w Finistere.

Muszę napisać książkę, ale nie w tej chwili, jeszcze nie zwariowałam. Nie miałam zresztą nigdy tak dużo czasu na pisanie, liczę, ile mi go zostało, zanim książka ma pójść do druku.

Dwa miesiące plus cztery dni, razem sześćdziesiąt pięć dni.

65 dni plus 65 nocy.

1560 godzin.

93 600 minut. Jeśli każdą minutę rozciągnąć do tej długości, jaką osiąga, kiedy mierzymy czekanie — każdy kiedyś odliczał minuty długie jak lata — mam prawie 100 000 lat do złożenia książki.

Spokojnie. Bez pośpiechu. Czasu mam aż nadto. Mogę cieszyć się słońcem w ogrodzie, dopóki nie wypali nas efekt cieplarniany.

Niebo jest błękitne, w koronach jesionów łagodna bryza. Zapach kwiatów miesza się z lekką wonią palonych liści wawrzynu i gałęzi.

Wszystko się porusza i wszystko jest bezruchem.

Światło migocze jak u Moneta, dzień niby namalowany przez impresjonistów. Nic tylko leżeć w trawie pod jesionem i przyglądać się jego wie-łopalczastym liściom. Stopić się w jedno z trawą, czuć pod sobą jej elastyczność. Przyłożyć ucho do ziemi, słuchać mruczenia kretów w podziemnych korytarzach. Leżeć bez ruchu jak szpieg i podsłuchiwać, zbierać informacje, może uda się je przepędzić w jakiś kreci sposób.

W taki dzień tylko leżeć na wznak i czytać książkę, w taki dzień czytać Prousta. Pozwolić, by płynęły długie zdania, i z radością uświadomić sobie, że można pisać jak Proust. Zamknąć oczy i zasnąć w zapachu róż i jaśminu.

To jest dzień na marzenia, dzień na twórczą przerwę.

Kładę się na plecach pod jesionem i rozkładam ręce, niech zarośnie mnie trawa, aż odzyskam spokój.

## WOJNA ŚWIATÓW

Chcę napisać książkę o pierwszym okresie w Fini-sterie, ale jakoś się nie składa.

Chcę, ale się nie składa, to pieprzone „się” podstawia mi nogę, nieboracze, która dała słowo madame C.

Rzecz jasna, to nie dla madame C. chcę napisać książkę o Finistere, ani dla niej, ani do niej, i absolutnie nie dla siebie samej. Pisać, wyrzucając z siebie — co za nieprzyjemny koncept. Jakby przy wszystkich iść do toalety. Pisząc, wyrzucać z siebie smutek, zawód, ból.

Jeśli pisaniem można się uwolnić od smutku, znaczy to, że nie jest godzien tego miana.

Pewną dozę smutku należy zawsze mieć w sobie, aby zachować godność.

To nie ja i moje uczucia są interesujące. Interesuję się tym, co się wydarza, ale nie dlatego, że wydarza się mnie. Nawet jeśli książka będzie w pierwszej osobie, to nie „ja” ma stać w centrum. Nie moje „ja”, nie moje ciało.

To na ogół usłużne ciało nie ma większego znaczenia. Takie sobie. Chociaż praktyczne, określone,

wyznaczające granice. Kończy się tu, gdzie skóra. Poza nią już coś innego. Dobrze jest mieć ciało, aby temu, co poza nim, pokazać, że jest obce i należy je respektować.

Ktoś musi przeżywać to, co się wydarza, i dlatego potrzebuję siebie. Siebie jako świadka, mniej lub bardziej wiarygodnego, oto ja, ja patrzę, widzę. „Ja” jest potrzebne percepcji i odczuwaniu. Przyływy, odpływy i pory roku muszą być przez kogoś postrzegane, inaczej będzie jak z tym odwiecznym drzewem w lesie, które pada bezgłośnie, jeśli nikt nie słucha.

— To nie „ja” jest bohaterem, madame C. Bohaterem jest Finistere i wszystko, co się tu dzieje, samo wydarzenie się, zmienność.

Niebywała zieleń lata, rdzawa jesień, fioletowa finisterska zima. Intensywny fiolet pól, pnie drzew, moje dwa jesiony. Fioletowe światło nad polem w przerwie między deszczami. Wiosna, jej delikatna sepia i zaraz znowu zieleń.

W ciele interesujące są zmysły, bo potrafią chłonać. Ich swoisty, niepowtarzalny, osobny świat, który umiera wraz ze śmiercią człowieka i nie da się niczym zastąpić. *Fin des terres. Finis terrae.* Koniec światów.

Nie trzeba nawet umierać, aby zniszczyć swój świat: wystarczy go zapisać.



Nie chcę pisać książki o niemożności napisania książki o Finistere, tak samo zresztą, jak nie chcę pisać książki o Finistere. Ani o, ani dla, ani z. Chcę zapisać samo Finistere, a tego nie da się zrobić, nie unicestwiając go.

— *Ecrire c'est finir*, madame C. Pisanie-unicestwianie.

Znam już język na tyle dobrze, aby poradzić sobie — jako tako — z podobnymi wywodami przed madame C. Madame C. ich nienawidzi.

Niewiele rzeczy jest w stanie ją rozsierdzić, ale kiedy pogrążam się w filozoficznych oczywistościach, doprowadzam ją do szału.

— Proszę natychmiast przestać — *immediate-ment* — mówi. — Ani miligrama metafizyki więcej.

— Proszę pisać swoje Finistere, wszystko jedno, dla, o, z czy do, *n'importe quoi*, ale proszę pisać. Jak się pani żywnie podoba, ale pisać. Proszę milczeć i pisać.

„Milczeć” brzmi surowo, jeśli przełożyć to na szwedzki. Może w milczeniu Szwedów jest chęć uniknięcia konfrontacji z taką surowością, kiedy jednak madame C. mówi *taisez-vous*, brzmi to zdecydowanie, ale nie surowo.

— Pisać rdzeniem nerwowym, jak muzykę. Pisać ze szczęścia, milczeć i pisać.

— *Impossible*, madame C.

W szczęściu nie ma dramatu. Bez dramatu pisanie jest nieciekawe, nieintrygujące i niepotrzebne.

— Jest za dużo książek — mówię madame C.

— Ale nie o szczęściu — reaguje z szybkością jaskółki.

— Bo o tym się nie da — upieram się. — Pisać o swoim szczęściu to banał. Szczęście pisze na biało.

— To proszę tak pisać — mówi. Krótko i sucho. W długim i chropawym wywodzie próbuję wytłumaczyć madame C, dlaczego to niemożliwe.

— Otwieram drzwi do ogrodu wczesnym rankiem. Wszystko pokryte rosą. Ogrodzenie lśni od rosy, wszystkie rośliny, furtka, między łodygami widać pajęczyny, setki maleńkich pajęczyn.

Na pajęczynach błyszczy rosa, małe lśniące krople rosy, każda kropla lśni. Wszystko mieni się na biało. Łagodnie. Ogród nie jest ukryty w rosie, nie chowa się za jej prześwitującą zasłoną, przeciwnie. Wszystko jest podkreślone, obramowane lśniącym konturem. Wyraźne, ale wyzbyte ciężaru.

Iść ścieżką nad zatokę, widzieć, jak tysiące pajęczyn lśni na krzakach głogu, to znaczy widzieć te pajęczyny, być tam.

Pisać to znaczy zrywać pajęczyny, pisać to znaczy ścierać lśniącą rosę szczotką.

Róża pod rosą jest różą pod rosą, a nie wygląda jak róża pod rosą. Nie jest aksamitną różą z per-

łą rosy w środku, jest cudowna i zadziwiająca. Jak osobne serce, biała błona rosy na purpurowej róży.

Porównanie, madame C, porównanie jest prze-kleństwem i uśmierca wszystko, róża pod rosą jest różą pod rosą.

Napisane — przepadło, zginęło.

Jest tylko to, co jest.

Szczęście jest samym sobą, madame C.

Szczęście pisze na biało.

Madame C. ma tego dosyć, wybucha. Brylant błyska jak klinga, tnie powietrze jak sztylet.

— Proszę milczeć, proszę milczeć. Przez panią oszaleję, proszę milczeć i pisać. Proszę wracać do domu. Nie ma czasu do stracenia. *Allez!*

Madame C. odwraca się do mnie plecami, otwiera drzwi samochodu, zbiera sukienkę, siada na miejscu kierowcy i zapina pas.

Nim zatrzśnie drzwi, mówi głucho, ale wyraźnie, z nie skrywaną groźbą w głosie:

— A więc do jutra.

Nie mogę odpowiedzieć, usta mam suche jak wyschła studnia, wargi przywarły do zębów, wstrząsa mną dreszcz.

Drżąc na całym niepotrzebnym ciele, widzę, jak czerwony samochód znika w kierunku piekarni. Różniłyśmy się z madame C. i zgadzałyśmy co do tego, by się różnić, ale takiego gniewu nigdy jeszcze u niej nie widziałam.

Domyślałam się go, ale go nie zazałam.  
Jestem wstrząśnięta.  
Na chwiejnych nogach idę do domu, po schodach.  
Włączam komputer.  
Gapię się w ekran. Twardy dysk brzęczy.  
Światło ekranu opalizuje. Gapię się.  
Zapada zmrok.  
W oknie odbija się biała twarz, migocze.  
Tyle lat w niej, tyle doświadczeń, uczuć i wiedzy.  
Ciemna studnia ust, zagłębienia oczu, twarz migocze i  
znika.  
Wzeszedł księżyc.

W Finistere jest noc. Blask księżycy. Chodzę po  
ogrodzie.

Powinam spać, ale jak tu spać?

Jeśli miałabym spać teraz, to równie dobrze mo-  
głabym spać wiecznie, księżyc oświetla ogród, widać  
każdy liść na jesionach.

W blasku księżycy wydaje się, że widać zapachy,  
jak lekko się unoszą.

Struga srebra od morza pobłyskuje wśród drzew  
wiśni w ogrodzie sąsiadów, owoce lśnią, jakby były z  
hebanu.

Podążam za nią aż do zatoki. Staję na brzegu,  
przede mną Atlantyckie skały bronią zatoki, jest przy-

plyw. Nie gwałtowny, spokojny, jak stal w świetle księżyca.

Jeśli to sen, to śnię go ja, pojedyncza ja w ogromie snu. Sen, samotne ja.

#### DNI PEŁNE WSTYDU

Mija trochę czasu. Dużo czy mało, nie wiem — okno w dachu rozjaśnia się i ciemnieje z regularnością, na którą nic nie potrafię poradzić.

Odłączam telefon. Unikam madame C, unikam wszystkiego i wszystkich. Nie robię zakupów, nie wychodzę.

Powaga sytuacji wzięła górę.

Co ja wyprawiam?

Za kogo się mam?

Nie wytrzymuję swojego odbicia w szybie. Zamykam okiennice.

Samochód stoi w garażu, nie będzie pokoju gościnnego, nie mam *siiy* jechać po monsieur Godota.

Minął czas uniesienia i gadania w ekstazie.

Czuję wszędzie ukłucia wstydu, tysiące bolesnych igieł na skórze, u nasady włosów, pod stopami, pod powiekami.

Przez rok wystawiałam się na pośmiewisko, stary człowiek, który beztrosko się bawi, jest żalosny i bezwstydney.

Marnować wodę dla kwiatków, kiedy większość ludzi na ziemi nie ma co pić.

Wiem o tym, a jednak bawiłam się jak dziecko w kałuży. Igrałam z rzeczywistością, krygowałam się i kompromitowałam. Nie można uciec od powagi sytuacji, ja uciekałam.

Obie babki — jakim prawem postępuję bez szacunku dla zmarłych? Lęk jednej, troska o kapitał drugiej.

Murek zbudowany przez mamę — dlaczego nie pomogłam jej układać kamieni, tak potrzebnych dla ochrony przed północnym wiatrem od gór?

Jej murek był potrzebny, mój to zabawa na niby.

Polityczne przekonania ojca — jego utopię diabli wzięli, a jednak trwał przy nich.

Dziadek zbudował świat, w którym chłop mało-rolny, parobek i idiota mieli tę samą wartość, co bogacz. Solidarność dla niego nie była tylko słowem, wcielał ją w życie. Zamiast pielęgnować to marzenie, zdradziłam je i zbrukałam.

Pluję, jakbym miała pięć lat.

Różne są zapatrywania na życie, wszystkie równie zakłamanie, istnieje tylko jeden punkt widzenia, nie można od niego uciec.

Ciemny, bo prawdziwy.

To ja nie potrafię wyzbyć się broni. Amunicją słów, bronią języka chciałam zaatakować to, co mi się nie podoba.

Moja własna praworządność przyprawia mnie o mdłości, tak się skompromitować, olaboga.

Słusznie brakuje mi słów, bo nie ma słów na moją śmieszność i niedorzeczność.

W moim gniewie nie ma nic świętego, nie potrafię nim kierować.

Przepelnia mnie wstyd. Porównuję się do madame C, do jej bezpretensjonalnej natury. Tam czystość, tu plucie.

Słyszę, jak jej samochód zatrzymuje się przy furtce, słyszę dźwięk silnika, widzę, jak wysiada, rozgląda się po ogrodzie, stwierdza, że mnie tam nie ma, i przekonana, że piszę, zamyka ostrożnie drzwi samochodu i odjeżdża, aby nie przeszkadzać w procesie twórczym.

Nie ma żadnego procesu twórczego.

Jest tylko wstyd.

Co teraz począć, dokąd się zwrócić?

Tak daleko całkiem sama, przyjaciele mieli rację. Chcieli mojego dobra, a ja ich zdradziłam.

Zdradzam wszystkich. Zdradzam i wydaję.

Igrałam w swoim różanym świątku — teraz pokazują się kolce.

Ogród — po jakie lichy?

Mój ogród jest niepotrzebny, nie ma z niego pożytku, nic nie znaczy, ot, letnie harce, a teraz przyszła jesień.

Pięgi na rękach ciemnieją, mnożą się, nie mogę na nie patrzeć, wykręcam żarówki.

Przeszywa mnie ostre światło z góry, z okna w dachu, czuję, że serce mi staje jak od uderzenia piorunem. Złośliwy nowotwór w piersi, zaraz wszystko obróci się w popiół, ślimak dokona dzieła.

Ściany w domu pokrywają się ślimakami, ich lepkie ślady na telewizorze, po kątach pajęczyny.

Ciche krzyki nietoperzy.

Nie ma nadziei, wstyd mnie uwięził. Dopadł mnie.

Nie ma nikogo w domu, jest tylko wstyd.

#### PRZEZROCZYSTE SERCE

Nie nauczyłam się niczego, nie jestem *nowym człowiekiem*. Po dniach pełnych wstydu.

Ciągnę dalej.

Mam jedno życie, nie podlegające wymianie.

Któregoś dnia w końcu lipca, dwudziestego czwartego lipca roku 2001 — termin oddania książki wypada pierwszego sierpnia — pojawia się natchnienie.

Podnosi się klapka w głowie, rozświetla mrok, otwierają się drzwi. Ustępują stres i napięcie, wracają sity, mam dostęp do swoich zasobów, znów potrafię.



Czuję, jak płyną słowa, nie wiem, z jakiego źródła, ale źródło bije. Jestem w stanie łaski zwanym „flow”, bo uwolnił się przepływ zatamowanych i niedostępnych przedtem zasobów wiedzy i umiejętności. Wszystko płynie, tak że nie muszę się wysilać, płynie bez przeszkód i układa się w całość.

Przezroczyste jak źródłana woda.

Książka jest gotowa, całkiem gotowa. Wypłynęła z zatamowanego dotąd źródła i oto jest gotowa.

Tylko ją spisać.

Akcja rozwija się jak na ekranie. Wyjazd, podróż, poszukiwania. Przeciwności, kryzys, obietnica książki, monsieur Godot, monsieur Le R., krety. Jak w greckim dramacie opowieść posuwa się ku katharsis.

Treść, ton, forma — wszystko wydaje się oczywiste.

Książka będzie w pierwszej osobie i w czasie teraźniejszym.

To, co się wydarza, należy do „teraz” i spotyka fikcyjnych bohaterów.

Wszelkie podobieństwo do osób realnych jest nie zamierzone, to będzie powieść, proza z wymyślonymi postaciami, opowiadanie w pierwszej osobie liczby pojedynczej.

Nic z tego, co dzieje się w mojej historii, nie należy do zdarzeń coraz bardziej przeze mnie cenionej rzeczywistości, wszystko dokonuje się na

stronicach książki między tekstem a czytelnikiem i teraz wiem już, jak to ma wyglądać.

To będzie jasna opowieść. Ale żeby pojedyncze obrazy chwili zdołały rozświetlić strony książki, tło musi być ciemne.

Kompozycja musi trafiać prosto do rdzenia nerwowego jak muzyka.

To będzie opowieść, jakiej nie mogła pragnąć madame C, ponieważ to, co napiszę, nigdy się nie zdarzyło.

Wśród wielu ograniczeń człowieka jest i takie, że nie potrafi pragnąć czegoś, czego nie zna. Człowiek nieuchronnie pragnie tylko odwrotności tego, co znajome. Jak w przypadku mojego wyjazdu.

Wiedziałam, gdzie nie chcę być, ale nie wiedziałam, że istnieje Finistere, więc nie mogłam pragnąć tu przyjechać.

Dzień, w którym pojawia się natchnienie, jest jednym z najgorętszych dni lata. Groszek pachnący przekwitł, na jego miejscu wybuchły słoneczniki, wysokie na trzy metry, ciemnoczerwone słoneczniki.

Przeniosłam się z papierami do ogrodu. Odłożyłam czytana książkę, *Memoires de Finistere*, dziennik ubogiego chłopca z XIX wieku, odsunęłam na bok nieprzydatne papiery i czasopisma.

Na stole w pergoli rozłożyłam wszystko, czego potrzebuję do pracy: notatki, gumkę, owoce, wodę

mineralną, papierosy. Zjadłam lekki lunch i jestem gotowa. Mam przed sobą notatnik, w ręce pióro, na ziemi rozrzuciłam trochę okruchów, które dziobie ruzdzik.

I właśnie kiedy mam przyłożyć pióro do kartki, spojrzenie pada na jedno z czasopism. Przyciągnął je artykuł na temat opowiadania w pierwszej osobie liczby pojedynczej. Nie mogę już oderwać wzroku.

Autor o międzynarodowej renomie pisze dokładnie o tym, co mam zamiar robić, biorę ten zbieg okoliczności za dobry znak i postanawiam szybko przeczytać artykuł.

Nie powinnam była.

Człowiek to tępa istota pozbawiona instynktu samozachowawczego.

W artykule powiedziane jest, że tekst w pierwszej osobie musi być napisany w czasie przeszłym; opowiadanie musi toczyć się w przeszłości, aby czytelnik je zaakceptował.

Jeśli opowiadać ma „ja”, rzecz nie może dziać się teraz.

Żeby opowiadanie w pierwszej osobie mogło być odczytane na serio, musi *przeniknąć ułudę pamięci, nieprzejrzystość serca, spowity ciemnością dystans między „wtedy” a „teraz”*.

Pióro tkwi w mojej ręce jak wskazówka nie istniejącego zegara.

*Narracja jest relacją — czytam.*

Może się pojawić dopiero po czasie. Dopiero po upływie czasu można chwycić za pióro albo położyć rękę na klawiaturze.

Trudno sobie wyobrazić coś głupszego, bardziej absurdalnego, debilnego — mam odsunąć opowiadanie aż do chwili, kiedy przejdzie mi miłość do Finistere, czekać, aż umrę i ostygnę. Opowiadanie ma być pośmiertne jak wydania dzieł Kafki.

Artykuł jest po angielsku, więc mam nadzieję, że czegoś nie zrozumiałam. Że umknął mi jakiś głęboki i istotny detal. To na pewno dlatego, że nie mam matury. Odkładam pióro. Idę po okulary — które cały czas mam na nosie — i słownik. Odgradzam się od wszystkiego, co mnie rozprasza — od zapachu kapryfolium, granatowofioletowych kwiatów powojnika, które spiralnie zwieszają się z per-goli, gigantycznych słoneczników i rudzika dziobiącego okruchy.

Wszystko, co rozprasza, musi zniknąć; równoczesna obecność wszystkiego musi zostać przerwana. Koncentracja polega na wybiórczym unicestwianiu, więc unicestwiam siebie. Czytam artykuł powoli i dokładnie, osiemnaście gęsto zadrukowanych stron. Z zabójczą stanowczością obraca w perzynę mój plan.

Dobrze zrozumiałam.

Wyrok śmierci po raz drugi.

Nawet jeśli jest źle skonstruowany i mętny w swoich niewątpliwie doktrynalnych tezach, autoritarnych wnioskach i nadętych komunałach o nie-przejrzystości serca, artykuł sprawia, że całe moje natchnienie i pierwszoosobowa narracja w czasie teraźniejszym obracają się wniwecz.

Opowiadanie w pierwszej osobie musi bezwzględnie rozgrywać się w czasie przeszłym.

To nieuchronne, czytamy — *inevitable*.

Ta *nieuchronność* dosięga mnie jak kula w serce, strzał w potylicę, jak śmierć na krzyżu. Jak gwóźdź przebija mi dłonie, dwoje dłoni, które mam po babce, prawa właśnie miała zacząć pisać książkę.

Żeby opowiadanie się udało, trzeba opróżnić je z uczuć, rozbroić.

Narzucić dystans.

Moje opowiadanie zostało anulowane, nieuchronnie.

Argument siły — tacy jak ty są niepotrzebni, zbyteczni.

Anulujemy.

Tak jak monsieur Le R. w swoim ogrodzie pod sznurek dyskryminuje ludzi, tak autor artykułu dyskryminuje opowiadania.

Ogarnia mnie wściekłość: rozżarzona do białości i lodowata.

Nie zwraca się wyłącznie przeciw gwałtowi, jakim jest anulowanie mojego opowiadania, zwraca się przeciw zagrożeniu, które dotyczy wszystkich opowiadań.

Każdy z nas jest światem, o którym tylko sam może opowiedzieć, a tu raptem pojawia się fundamentalista literacki i twierdzi, że możliwa jest jedna jedyna forma opowiadania. Ma być jeden gatunek i wyglądać tak i tak.

Twierdzenie, że ma istnieć tylko jeden rodzaj opowiadania, jest zbrodnią równie poważną, co podżeganie na tle rasowym. To jest nienawiść rasowa, zbrodnia przeciw ludzkości.

Nie bronić wszechświata, jakim jest człowiek, to znaczy godzić się na gułag. Skrajny indywidualizm tworzy największą demokrację — jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Jeśli *jeden* nie będzie respektowany, nie będzie też *wszystkich*. Ot, co.

Jeśli nie przeciwstawię się temu unicestwiającemu artykułowi, tak jak przed rokiem nie przeciwstawiłam się monsieur Le R., będę gorsza od sultana Mehmeda, Gorana Perssona, Berlusconiego, Busha i Susan Sontag.

Milczenie jest najgorszą zbrodnią, to zachęcanie do zbrodni, podżeganie.

Nikt nie powinien milczeć wobec groźby unicestwienia swojego albo cudzego opowiadania.

Pamięć to nie ułuda, jest absolutnie wierna; pamięć to tożsamość. Między „wtedy” a „teraz” nie ma żadnego zaciemniającego dystansu. „Wtedy” to „teraz”. „Teraz” to „wtedy”. Kto nie żyje jednocześnie w teraźniejszości i przeszłości, nie ma korzeni, nie ma życia. Jeśli coś jest nieuniknione, to właśnie przezroczystość serca — jak inaczej można by przez nie patrzeć na świat? Siedzę pochłonięta takimi myślami, kiedy w swoim czerwono-fioletowym renault zjawia się madame C, otwiera drzwi, zbiera sukienkę, stawia na ziemi zgrabną stopę w sandałku, otwiera furtkę i woła „bonjour”. Potem idzie kamienną ścieżką, lekko i z gracją, jak tylko ona potrafi na tej krętej ścieżce, dochodzi do pergoli i pyta, czy skończyłam książkę.

— Cest fini?

— Madame C. — odpowiadam. — Celestine, Celeste.

— Książka nie jest napisana. Ani jedno słowo, ani jedna litera. Ale zapewniam, że kiedy przyjdzie czas, za siedem dni, Celeste, Celestine, będzie gotowa.

— Nie dla ciebie, Celestine. Nie dla mnie i nie dla Finistere. Dla samej radości pisania, nieodzownej, by żyć. Radości i wściekłości. Wściekłości, która domaga się, abym to ja napisała tę książkę, a nie ty, Celestine.

— Trzymaj się tylko z daleka, a siódmego dnia będzie gotowa.

— Niebo mi świadkiem, Celeste, rudzik i kapry-folium, gwiazdy nad Finistere i krety pod ziemią mi świadkiem.

Madame C. staje i pochyla głowę. Tak jak łodyga groszku przegina się w miejscu, gdzie wyrasta kwiat, tak ona pochyla głowę. Składając dłonie niby buddystka, mówi z naciskiem i całkowitą powagą:

— Życzę ci powodzenia w pisaniu.

Brylant odbija światło wszystkimi pięćdziesięcioma ośmioma płaszczyznami.

— Bon courage, chere amie.

Wiem, że jej wiara, iż książka będzie gotowa za siedem dni, jest bezgraniczna, i bardzo dobrze.

— Za siedem dni — mówi madame C.

— Za siedem dni — przytakuję, po czym całujemy się w policzki, jakbyśmy nigdy nic innego nie robiły, żadnych wahań, w który najpierw.

Madame C. jeszcze nie zdążyła wsiąść do samochodu, kiedy pióro zapisało pierwszą stronę.

Obficie płynie atrament, piszę wielkie, zdecydowane litery.

Zapach atramentu miesza się z wonią kapryfo-lium i szamba. Na papierze ląduje płatek, jest na swoim miejscu.



Ogromne tarcze słoneczników osłaniają mnie od świata, a świat ode mnie. Rudzik drepcze mi pod nogami, słońce przesuwa się po nieboskłonie.

Wiatr osusza atrament, od góry do dołu wypełniam strony opowiadaniem, którego początek na razie brzmi tak:

„Tak daleko całkiem sama

Siedzę w swoim ogrodzie w Finistere. Jest popołudnie, koniec lipca roku 2001, łagodna mgła wokół. Od Atlantyku czuć przyływ i wodorosty. Uspokajający dźwięk boi sygnalizacyjnej, jak głos sowy.

Mieszkam w Finistere, ponieważ

Redaktor prowadzący  
Waldemar Popek

Redakcja  
Anna Topczewska

Korekta  
Aneta Tkaczyk, Barbara Wojtanowicz,  
Urszula Srokosz-Martiuk

Projekt okładki i stron tytułowych  
Marek Pawłowski

Redaktor techniczny  
Bożena Korbut

Książkę wydrukowano na papierze Ecco Book 70 g, vol. 2,0

Printed in Poland  
Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2007  
ul. Długa 1, 31-147 Kraków  
bezpłatna linia telefoniczna: 0 800 42 10 40  
księgarnia internetowa: [www.wydawnictwoliterackie.pl](http://www.wydawnictwoliterackie.pl)  
e-mail: [księgarnia@wydawnictwoliterackie.pl](mailto:księgarnia@wydawnictwoliterackie.pl)  
fax: (+48-12) 430 00 96  
tel.: (+48-12) 619 27 70  
Skład i łamanie: Scriptorium „TEXTURA”  
Druk i oprawa: Drukarnia EKODRUK s.c.

